Grochmalski: Wojna cienia Rosji z Polską

Lisiewicz: Gra o wszystko. Tak chcą rozbić obóz niepodległościowy

Bitwa Warszawska: Jeżeli Bóg z nami, któż przeciw nam?

Strefa Wolnego Słowa

GAZETA POLSKA

#TYGODNIK NIEPODLEGŁEGO KAŻDĄ ŚRODĘ W TWOIM KIOSKU

Niemiecki sprzęt dla fundacji syna, setki tysięcy euro z Emiratów Arabskich dla ojca i miliony od wielkiego biznesu. Czy za zagraniczne pieniądze buduje się polityczne zaplecze, które ma wynieść Radosława Sikorskiego na fotel premiera?

MINISTER SPONSORÓW ZAGRANICZNYCH

GAZETAPOLSKA.PL

CENA 10,90 PLN (w tym 8% VAT)

www.gazetapolska.pl

ISSN 1230-4581

Numer w sprzedaży do 18.08.2026

#33 (1718) 12.08.2026 indeks 320919

OKŁADKA: FAFIK – WYGENEROWANA ZA POMOCĄ AI

Wspieraj Media Strefy Wolnego Słowa

Dla wolnej i niezależnej Polski!

GAZETA POLSKA | Gazeta Polska codziennie | niezależna.pl | REPUBLIKA | NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO | radio REPUBLIKA

REPUBLIKA

Numer konta: **90 1240 6003 1111 0010 6960 7476**
Tytuł przelewu: **Darowizna na rzecz TV Republika**

Konto do wpłat zagranicznych: **PL 90 1240 6003 1111 0010 6960 7476**
SWIFT/BIC: PKOPPLPW

Adres: Telewizja Republika S.A. Plac Bankowy 2, 00-095 Warszawa

SKANUJ KOD

FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA

Numer konta: **62 1240 1053 1111 0010 5517 7864**
Tytuł przelewu: **Darowizna na rzecz Fundacji Niezależne Media**

Konto do wpłat zagranicznych: PL 62 1240 1053 1111 0010 5517 7864
SWIFT/BIC: PKOPPLPW

Adres: Fundacja Niezależne Media ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

FUNDACJA REPUBLIKA

Numer konta: **23 1090 1883 0000 0001 5859 5543**
Tytuł przelewu: **Darowizna na wolne media**

Adres: Fundacja Republika ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

FELIETON { WRÓG LUDU }

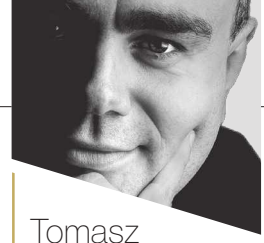

Tomasz
Sakiewicz

RÓBMY SWOJE

Pewnie w ostatnich tygodniach Donald Tusk mógł poczuć, że wraca do niego życie. Niemal stuprocentowa pewność utraty władzy zamienia się w niepewność, czy ją utrzyma. Taki jest skutek podziałów po prawej stronie. O ile jeszcze podział Konfederacji, po odejściu Grzegorza Brauna, dawał szansę, że Prawo i Sprawiedliwość stworzy koalicję z drugą, i to większą połową konfederatów, tą Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka, to już rozpad PiS niczego nie ułatwia.

Jak na razie Mateusz Morawiecki w bardzo niewielkim stopniu przejmuje elektorat obozu rządzącego. Oczywiście na to trzeba jeszcze czasu. Nawet 5 proc. utraty przez ten obóz elektoratu na rzecz Morawieckiego to efekt gorszy niż 5 proc. utraty elektoratu PiS, który by przeszedł do byłego premiera. Dlaczego? Bo Morawiecki, nawet gdyby chciał, z Tuskiem się nie dogada, a z Kaczyńskim nadal ma szanse. Czyli w sytuacji głosowania przez zwolenników PiS na Morawieckiego, o ile wejdzie do Sejmu, głosy nie są zupełnie stracone (straty jednak będą ze względu na metodę liczenia głosów), ale każdy wyborca odebrany Tuskowi jest dla obecnego premiera stracony.

Uśmiech Tuska po podziale w PiS może się zamienić jeszcze w większą nerwowość niż przed podziałem. Bardzo wiele zależy od tego, czy podział nie doprowadzi do medialnej wojny domowej. Tego wyborcy nie chcą najbardziej.

Tusk łatwo władzy nie odda i szykuje kontrofensywę. Jak na razie wszystkie jego kampanie po wyborach w 2023 roku wzmacniały prawą stronę. Teraz będzie tak samo. Brutalność i bezprawie działań rządu mobilizuje prawą stronę do walki i ułatwia zapomnienie o podziałach. Plan Tuska ataku na Trybunał Konstytucyjny czy niezależne media skończy się dla niego katastrofą poparcia. Dlaczego? Bo po trzech latach rządów przestał być teflonowy i ludzie już nie chcą mu wybaczać błędów i porażek. Nie zmienia to faktu, że musimy robić swoje. A najważniejsza rzecz to budować niezależne media i ruchy obywatelskie.

Jak Państwo widzą, tworzymy własnym bufor biznesowy wokół Telewizji Republika. Republika energetyczna, Stowarzyszenie Przyjaciół Republiki i Republika Mobile – to biznesy zawiązane wokół najważniejszych sektorów gospodarki: energetyka, ubezpieczenia i telekomunikacja. Ich rozwój to szansa na przełamanie bojkotu ekonomicznego naszych mediów, ale też na dobre, korzystne usługi dla Państwa. Musimy przetrwać i organizować się w każdym etapie rozwoju naszej sceny politycznej. To nasza i Wasza szansa. **GP**

Rafał **Zawistowski**

W numerze

TEMAT NUMERU

6 Minister Sponsorów Zagranicznych
Grzegorz Wierzchołowski

KRAJ

14 Śląska pajęczyna posła KO
Piotr Nisztor

18 Lawina procesów o powietrze?
Jacek Liziniewicz

20 „Joker" z Gdyni w rękach policji. Tak wpadają mordercy dzięki technice DNA
Grzegorz Wszołek

PUBLICYSTYKA

24 Tanie i głupie państwo Tuska. Przepis na katastrofę
Krzysztof Wołodźko

26 Krajobraz po grillu
Wojciech Mucha

30 Bezbronna Polska Tuska
Piotr Grochmalski

36 Niemoralna sztuczna inteligencja
Mateusz Matyszkowicz

38 Jak sprzedać Polskę?
Jakub Maciejewski

40 Szaleńczy upór lefebrystów?
Ewa Polak-Pałkiewicz

ŚWIAT

48 Unijny plan: Ponad 350 tys. nowych migrantów rocznie
Hubert Kowalski

HISTORIA

58 Armia Polska w ZSRS. Wybawienie z „nieludzkiej ziemi"
Tomasz Łysiak

ŚRODOWISKO

72 Niedźwiedzi interes
Jacek Liziniewicz

Gra o wszystko. Tak chcą rozbić obóz niepodległościowy
Piotr Lisiewicz

Stałe

1 Tomasz Sakiewicz
4 ZYZIU NA KONIU HYZIU
9 Jacek Liziniewicz
9 Krzysztof Karnkowski
13 OKIEM KAPELANA
17 Dawid Wildstein
23 Witold Gadowski
43 Marcin Wolski
43 Tomasz Łysiak
47 ROSJA ABSURDEM STOI
50 OBRONNOŚĆ
55 WIEŚCI Z UE
56 KLUBY „GAZETY POLSKIEJ"
61 Tadeusz M. Płużański
61 Józef Wieczorek
65 TECHNIKA
70 PODRÓŻE

79 KULINARIA
80 LISTY

Czy czekają nas pogromy Ukraińców?
Dawid Wildstein

Za inwazją afrykańskich imigrantów stoi Rosja
Antoni Rybczyński

Jeżeli Bóg z nami, któż przeciw nam?
Tomasz Panfil

Bitwa Warszawska 1920 roku to nie tylko zwycięstwo militarne.
To symbol odwagi, determinacji i odpowiedzialności za przyszłość Europy.

Odkryj historię, która zmieniła bieg świata.

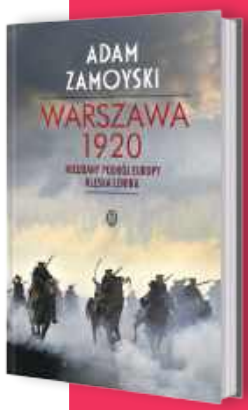

WARSZAWA 1920. NIEUDANA KONKWISTA LENINA

ADAM ZAMOYSKI

Porywająca opowieść o jednej z najważniejszych bitew XX wieku. Adam Zamoyski przedstawia dramatyczne wydarzenia wojny polsko-bolszewickiej, ukazując Bitwę Warszawską jako moment, który zatrzymał marsz rewolucji komunistycznej na Zachód. To fascynująca lektura dla wszystkich, którzy chcą zrozumieć, jak Polska wpłynęła na bieg historii Europy.

Format: 155x225 mm | **Liczba stron:** 292 | **Oprawa:** półtwarda

ZWYCIĘSTWO POLSKI, OCALENIE EUROPY! BITWA WARSZAWSKA 1920

ELŻBIETA SZUMIEC-ZIELIŃSKA, GRZEGORZ ŁUKOMSKI

Książka przypominaja o wielkim triumfie polskiego oręża i jego historycznych konsekwencjach. Przystępnie przedstawia przebieg Bitwy Warszawskiej, sylwetki jej bohaterów oraz znaczenie zwycięstwa, które wielu historyków określa mianem przełomowego dla losów Europy. Doskonała lektura dla zainteresowanych historią Polski i jej wkładem w obronę wolności.

Format: 165x235 mm | **Liczba stron:** 368 | **Oprawa:** twarda

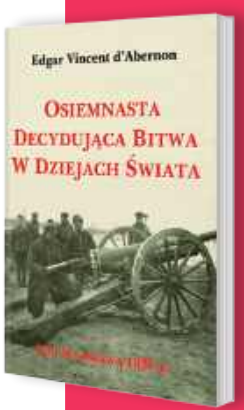

OSIEMNASTA DECYDUJĄCA BITWA W DZIEJACH ŚWIATA. POD WARSZAWĄ 1920 R.

EDGAR VINCENT D'ABERNON

Klasyczne świadectwo brytyjskiego dyplomaty i naocznego obserwatora wydarzeń. D'Abernon uznał Bitwę Warszawską za jedną z najważniejszych bitew w historii świata, która ocaliła Europę przed bolszewicką ekspansją. To wyjątkowa perspektywa zagranicznego autora, podkreślająca międzynarodowe znaczenie polskiego zwycięstwa.

Format: 165x240 mm | **Liczba stron:** 464 | **Oprawa:** twarda

PIERWSZA ZDRADA ZACHODU. 1920 – ZAPOMNIANY APPEASEMENT

ANDRZEJ NOWAK

Wybitny historyk Andrzej Nowak odsłania kulisy polityki mocarstw wobec odradzającej się Polski. Autor pokazuje, jak w obliczu bolszewickiego zagrożenia Zachód często przedkładał własne interesy nad bezpieczeństwo Europy Środkowej. To ważna książka o geopolityce, odwadze i samotnej walce Polski o wolność. Poznaj kulisy dyplomacji, która w 1920 roku zadecydowała o losach milionów, i przekonaj się, jak blisko byliśmy utraty wszystkiego. To nie tylko lekcja historii, to ostrzeżenie i przypomnienie o wartości suwerenności i konieczności czujności wobec politycznych gier mocarstw.

Format: 165x240 mm | **Liczba stron:** 464 | **Oprawa:** twarda

Zamów w naszym sklepie pod adresem **sklep.gazetapolska.pl | tel. tel. 22 232 37 70**

Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp z o.o.
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

Konto **61 1240 6003 1111 0010 7516 5807**
sklep@gazetapolska.pl

SKLEP GAZETY POLSKIEJ

Piotr
Lisiewicz

ZYZIU NA KONIU HYZIU

Co wyniknie z odłączenia się Mateusza Morawieckiego od PiS? Najbardziej optymistyczny dla byłego premiera scenariusz brzmi, że w 2027 roku wystartuje on do Sejmu z listy o nowatorskiej nazwie: PiS-Zjednoczona Prawica.

Pierwszy raz o tym, że Jarosław Kaczyński jest za stary, żeby być przywódcą prawicy, usłyszałem jakieś 30 lat temu. To określenie najbardziej deprecjonujące z możliwych, bo ktoś nazwany głupim może zmądrzeć. Natomiast stary dziad może tylko jeszcze bardziej się zestarzeć, czyli zgłupieć. No i jakoś Kaczyński wytrzymał przez 30 lat tę presję.

Oczywiście, Morawiecki, wychodząc z PiS, zdecydowanie zmniejsza swoje szanse na bycie premierem. W PiS mógłby zostać wicepremierem od finansów u premiera Czarnka, a potem, kto wie, przecież sam Morawiecki zmienił niegdyś Beatę Szydło. Z kim w koalicji miałby teraz zostać szefem rządu? Z oboma Konfederacjami, które uważają go za symbol sprzedania się przez PiS? Z PSL? Wolne żarty.

O antyalkoholowym bełkocie, na którym chce w Polsce wyjechać także tak pozytywna postać jak Jan Śpiewak, pisze w kontekście brytyjskim Jakub Majmurek w „Krytyce Politycznej": „Wśród pierwszych decyzji nowego brytyjskiego premiera Andy'ego Burnhama znalazła się też ta o obniżeniu tzw. stawek biznesowych – podatku od nieruchomości, które nie służą jako miejsce zamieszkania – dla pubów, klubów i lokali z muzyką. Pub, tłumaczył swoją decyzję Burnham, to często »kręgosłup lokalnej społeczności«, »to część naszego dziedzictwa i kultury klasy pracującej«. W Polsce lewicowy polityk mówiący w ten sposób o miejscu, gdzie ludzie chodzą jednak głównie po to, by konsumować alkohol, może brzmieć dziwnie. Lewica w ostatnich latach mówi raczej o zdrowotnych, społecznych i innych kosztach konsumpcji alkoholu i kojarzy się z politykami publicznymi mającymi ograniczyć do niego dostęp (…) mamy też jednak środowiska robotnicze postrzegające pub jako drugi dom robotnika, miejsce,

Pierwszy raz o tym, że Jarosław Kaczyński jest za stary, żeby być przywódcą prawicy, usłyszałem jakieś 30 lat temu.

Dla większości Polaków gej jest równie często spotykany w życiu codziennym jak krasnolud.

gdzie tworzą się braterskie więzi, gdzie ludzie pracy mogą złapać chwilę oddechu. Z niechęcią patrzą one na trzeźwościowy język, widząc w nim próbę dyscyplinowania klasy pracującej przez klasę średnią”. Albert Einstein pisał o tym samym w kontekście prohibicji: „Szynk jest miejscem, w którym ludziom nadarza się sposobność do wymiany myśli i zdań o sprawach publicznych. Otóż, mnie się zdaje, że brak takiej właśnie sposobności daje się w Ameryce we znaki, wskutek czego prasa, kontrolowana przeważnie przez zrzeszenia wielkich przedsiębiorstw, zdobyła nadmierny wpływ na opinię publiczną”. Więcej pić i mniej oglądać TVN – oto recepta na racjonalne społeczeństwo obywatelskie!

Ta sama „Krytyka Polityczna” alarmuje, że za mało jest w polskich książkach o gejach: „Większość wydawanych w Polsce książek z motywami queerowymi należy do podgatunków fantastyki. Zupełnie jakby tylko w świecie elfów i krasnoludów można było wyobrazić sobie geja… Udział queerowych książek na polskim rynku to tylko 1,9 proc. wszystkich książek wydanych w 2025 roku. Często postać, której dotyczy queerowość, jest drugoplanowa albo stanowi jedynie tło dla fabuły”. No więc nadal to jest tak, że dla większości Polaków gej jest równie często spotykany w życiu codziennym jak krasnolud. Mimo propagandy usiłującej udowodnić, że mamy z nim do czynienia w Polsce na porządku dziennym.

FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA, ADOBE STOCK

Bartosz T. Wieliński znany z głoszenia niemieckich poglądów w „Gazecie Wyborczej”: „Prowadzone na szeroką skalę deportacje to fetysz polskiej skrajnej prawicy. Ależ się im marzą rządy twardej ręki. Bojówki, które będą mogły dopaść i spałować każdego, ludowe trybunały, które każdego puszczą w skarpetkach. I deportacje. Bo bez deportacji suwerennej Polski nie będzie”. Na razie wasze rządy silnej ręki polegają na tym, że kazaliście sikać księdzu Michałowi Olszewskiemu do butelki. To ogromny sukces społeczeństwa obywatelskiego, które od zawsze buduje „Gazeta Wyborcza”. Sukces na miarę jej stalinowskiego rodowodu.

Agnieszka Kublik w alternatywnej rzeczywistości o prezydencie Karolu Nawrockim: „Pierwszy rok uzurpatora z kompleksem pomazańca Narodu”. I dalej taki bełkot: „Dostał pytanie o ułaskawienie »Starucha«, kibola z doświadczeniem i po przejściach: w 2011 roku był skazany na dwa lata pozbawienia wolności w zawieszeniu na pięć lat za pobicie i kradzież barw klubowych kibica Polonii Warszawa. W 2014 roku dostał pół roku prac społecznych za spoliczkowanie piłkarza Legii Jakuba Rzeźniczaka”. Kublikowa udaje, że nie wie, iż „Staruch”, znienawidzony przez władzę za hasło „Donald matole”, został skazany nie za winy sprzed 15 lat, ale za prowadzenie dopingu na płocie, do czego miał prawo. Oraz że to ojciec bandyty „Starucha” stworzył dział Praca w „Gazecie Wyborczej”. Wtedy, gdy miała być ona gazetą całej Solidarności, a nie poststalinowców.

Jak wiedzą stali Czytelnicy, moje ulubione góry to Beskid Niski, czyli według niektórych ostatnie puste góry w Europie. Ale okazuje się, że są jeszcze inne takie góry, są to Góry Czerchowskie na Słowacji, po których łaziłem w poprzedni weekend. Słowacy mają w górach zaskakujące hobby. Zawsze wiedziałem, że istnieje kolarstwo szosowe, to, w którym sukcesy odnosił Ryszard Szurkowski, nazwany przez Bohdana Tomaszewskiego „cudownym dzieckiem dwóch pedałów”. Coś tam słyszało się też o kolarstwie torowym, w którym triumfował Lech Piasecki, gdy przeniósł się na tor z szosy. A w późniejszych latach głośno było o kolarstwie górskim, za sprawą wygranych Mai Włoszczowskiej. Ale na Słowacji został wynaleziony czwarty odłam tej dyscypliny – górskie kolarstwo piwne. Jest ono tam bardzo popularne. Otóż panowie (a i czasem panie) w średnim wieku, ubrani w kolarskie uniformy, jeżdżą od schroniska do schroniska, a ściślej od baru do baru. Wypijają tam jedno czy dwa piwa i ruszają dalej w trasę. I tak dalej w schroniskach kolejnych. Nikomu nie przychodzi do głowy, by ów styl życia potępiać.

Wzruszające spotkanie ze Słowakiem, który przed szczytem góry Łysej (słow. Lysa) opowiada, że po tych górach chodzi od 55 lat i zna je na pamięć, a najważniejszym człowiekiem w jego życiu jest Jan Paweł II. No i ten błysk w oku, gdy słyszy ode mnie, że w moim też. **GP**

Mirosław **Andrzejewski**

{ RODZINA WACIAKÓW }

Grzegorz
Wierzchołowski
RED. NACZELNY NIEZALEŻNA.PL

MINISTER SPONSORÓW ZAGRANICZNYCH

Fundacja Zryw, założona przez syna obecnego szefa MSZ, korzysta ze sprzętu wartego blisko 140 tys. zł, który oficjalnie pozostaje własnością rządu Niemiec – ujawnił niedawno portal Niezależna.pl. To jednak zaledwie wierzchołek góry lodowej. Wokół Radosława Sikorskiego i intensywnie promowanych projektów jego syna Alexandra krążą gigantyczne fundusze oraz mnożą się niejasne międzynarodowe powiązania. Od sowicie opłacanego doradztwa dla prorosyjskich szejków ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich, przez niemieckie fundacje i amerykańskich demokratów, aż po wsparcie od milionerów z Polskiej Rady Biznesu. Kto i w jakim celu pompuje pieniądze w zaplecze polityczne rodziny Sikorskich?

NIEMIECKI SPRZĘT, ARABSKIE PETRODOLARY I MILIONY Z BIZNESU

Ostatnie miesiące przyniosły wyraźne ożywienie w działalności Fundacji Zryw, założonej w grudniu 2023 roku przez Alexandra Sikorskiego, syna obecnego ministra spraw zagranicznych. Oficjalnie organizacja deklaruje, że jej celem jest zajmowanie się dialogiem, budowaniem świadomości obywatelskiej i edukacją, co ma stanowić „odpowiedź na brak młodych w polskim życiu publicznym". W praktyce jednak profil działalności młodego Sikorskiego nabiera coraz wyraziściej politycznego charakteru. Na wrzesień i październik 2026 roku fundacja zaplanowała cykl kilkudniowych zjazdów dla młodzieży w sześciu województwach. Na liście zapowiedzianych prelegentów brylują czynni politycy obecnej władzy. Wśród nich mają się pojawić m.in. sam szef MSZ Radosław Sikorski, wiceszefowa MON Magdalena Sobkowiak-Czarnecka, była unijna komisarz Elżbieta Bieńkowska, europoseł Borys Budka czy minister do spraw równości Katarzyna Kotula.

Wzmożona aktywność organizacji młodego Sikorskiego nie jest bynajmniej przypadkowa, a jej horyzont sięga znacznie dalej niż jesienne spotkania z młodzieżą. Według naszych informacji Fundacja Zryw i organizowane przez nią wydarzenia mają w rzeczywistości budować pozycję Radosława Sikorskiego jako potencjalnego koalicyjnego premiera obozu lewicowo-liberalnego po wyborach w 2027 roku. Przyciągnięcie młodych aktywistów ma pomóc w stworzeniu lojalnego zaplecza społecznego polityka.

Potwierdzeniem tego, że Zryw to projekt ściśle powiązany z bieżącą polityką, są struktury kadrowe fundacji. W jej radzie programowej zasiada m.in. Agnieszka Homańska, szefowa gabinetu politycznego Radosława Sikorskiego. Z kolei wiceprezesem organizacji jest Alicja Kępka, „doradczyni i ekspertka ds. migracji i bezpieczeństwa" pracująca w Kancelarii Premiera. W kręgu osób związanych z fundacją figuruje również Paweł Mastalerz, pełniący wcześniej funkcję doradcy ministra spraw zagranicznych.

Sprzęt od rządu w Berlinie

Jak wynika z ustaleń portalu Niezależna.pl, Fundacja Zryw korzysta z majątku należącego do obcego państwa. Konkretnie – do rządu Republiki Federalnej Niemiec.

JAKI OJCIEC, TAKI SYN

Fundacja Zryw należąca do młodego Sikorskiego korzysta z majątku należącego do obcego państwa. Konkretnie – do rządu Republiki Federalnej Niemiec. Płyną do niej ogromne środki finansowe z Niemiec, od polskich milionerów oraz zza oceanu.

Sprawa wyszła na jaw dzięki analizie sprawozdania finansowego fundacji za 2025 rok. Dokument ten wprost ujawnia nietypowe wsparcie zza zachodniej granicy dla inicjatywy zapoczątkowanej przez syna szefa polskiej dyplomacji.

W informacji dodatkowej do sprawozdania organizacja przyznaje: „Fundacja użytkuje środki trwałe o wartości 140 849,69 zł, niezaklasyfikowane do majątku organizacji". Wyjaśnia dalej, że wspomniany sprzęt jest użytkowany na podstawie umów darowizn, a „przez okres 2 lat od ich podpisania, sprzęty objęte umowami pozostają we własności Rządu Federalnego Republiki Federalnej Niemiec". Dokument precyzuje również mechanizm księgowy całej operacji: „Z tego powodu majątek ten wykazywany jest jedynie w ewidencji pozabilansowej jako »obce środki trwałe«. Dopiero po upływie dwuletniego okresu fundacja może uzyskać prawo własności do sprzętu". Co ciekawe, w dokumentacji wykazano daty umów darowizn jako 17 listopada 2027 roku oraz 15 grudnia 2027 roku. Są to daty przyszłe względem okresu sprawozdawczego, co wskazuje na błąd pisarski – prawdopodobnie chodziło o terminy wygaśnięcia umów.

Oficjalny dokument nie tłumaczy, jakiego dokładnie sprzętu dotyczy to porozumienie ani przez jaką instytucję z ramienia rządu w Berlinie został on przekazany. Bardzo wymowny jest jednak fakt, że Fundacja Zryw figuruje na oficjalnej liście organizacji partnerskich polskiego biura Fundacji Konrada Adenauera (KAS). Jest to niemiecka fundacja polityczna ściśle związana z partią CDU i finansowana wprost ze środków budżetu federalnego Niemiec. Niemiecki podmiot, posiadający swoje biuro w Warszawie od 1989 roku, zalicza fundację syna Sikorskiego do grona swoich „wieloletnich i strategicznych partnerów", stawiając ją w jednym rzędzie z takimi podmiotami jak Fundacja im. Kazimierza Pułaskiego czy Fundacja Szkoła Liderów.

W związku z tak poważnymi wątpliwościami „Gazeta Polska" skierowała do Fundacji Zryw szczegółowe pytania. Próbowaliśmy ustalić, jakiego dokładnie sprzętu dotyczą umowy, w jakim celu i na jakich zasadach rząd federalny Niemiec udostępnił swój majątek oraz czy wsparcie to wiązało się z realizacją jakiegoś konkretnego projektu bądź grantu. Zapytaliśmy również, dlaczego w sprawozdaniu widnieją daty z 2027 roku i czy umowy darowizn zawierają specyficzne klauzule dotyczące przyszłości. Do chwili zamknięcia numeru fundacja nie odpowiedziała na przesłane zapytania prasowe.

Miliony od wielkiego biznesu

Kontrowersje wokół zaplecza politycznego Sikorskich związane są również z gigantycznymi pieniędzmi płynącymi do Fundacji Zryw od organizacji, w której radzie nadzorczej zasiada Wojciech Kostrzewa – były prezes Grupy ITI mający notabene silne powiązania z Niemcami (w latach 80. studiował w RFN, potem pełnił funkcję członka zarządu regionalnego Commerzbanku, drugiego co do wielkości banku w Niemczech, kierował też Polsko-Niemiecką Izbą Przemysłowo-Handlową). Jak ujawnił wiosną 2026 roku tygodnik „Sieci", do organizacji kierowanej przez Alexandra Sikorskiego trafiło ponad milion złotych z Fundacji Polskiej Rady Biznesu (PRB). Kwoty te robią wrażenie: w 2024 roku było to 510 tys. zł, a rok później już 665 tys. zł, co łącznie daje niemal 1,2 mln zł.

Sprawa rodzi poważne pytania o transparentność. Polska Rada Biznesu to organizacja zrzeszająca największe firmy, które utrzymują stałe relacje z administracją rządową. Sama PRB otwarcie deklaruje reprezentowanie interesów przedsiębiorców w procesie stanowienia prawa – jak wskazują media, rada „opiniuje projekty ustaw, wydaje stanowiska i apele do rządu". Sytuacja budzi tym większe kontrowersje, że Radosław Sikorski 25 maja w Warszawie bawił się na gali Polskiej Rady Biznesu.

Sekretarz PRB Beata Kopyt tłumaczyła, że Zryw regularnie przekazuje raporty ze swoich działań, a same projekty są oceniane „bardzo wysoko". Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie odpowiedziało na pytania dziennikarzy w tej sprawie, a sama fundacja Alexandra Sikorskiego ograniczyła się do wydania ogólnikowego oświadczenia.

Na Niemcach i polskich milionerach lista darczyńców oraz niejasnych powiązań jednak się nie kończy. Telewizja wPolsce24 opisała mechanizm stricte zagranicznego finansowania, z jakiego środowisko to korzystało podczas kampanii wyborczej w 2023 roku. Równolegle do kampanii wyborczej kandydatki KO Aleksandry Wiśniewskiej trwała bowiem wówczas finansowana z zagranicy „kampania profrekwencyjna", której Wiśniewska była twarzą. Szefem obu tych kampanii był właśnie Alexander Sikorski. Źródłem finansowania miała być zarejestrowana w USA fundacja Action for Democracy, prowadzona przez Węgra Davida Koranyiego. Co kluczowe, w jej radzie zasiadała Anne Applebaum-Sikorska – żona obecnego szefa dyplomacji i matka Alexandra. Warto dodać, że ta sama amerykańska

FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA; X

organizacja dotowała również inne akcje w kampanii 2023 roku, dając pieniądze m.in. Strajkowi Kobiet, Akcji Demokracja czy Komitetowi Obrony Demokracji.

Ponieważ Action for Democracy formalnie nie przekazuje środków osobom fizycznym, a ani kandydatka KO, ani młody Sikorski nie byli wówczas związani z żadnym NGO, do przetransferowania pieniędzy do Polski potrzebny był „finansowy montaż". Rolę wehikułu odegrała fundacja związana z Romanem Giertychem (dawna „Nadzieja dla Rodziców", od 2016 roku funkcjonująca jako Fundacja Obrony Demokracji – FOD). W lipcu 2023 roku młody Sikorski został prezesem FOD, a po przeprowadzeniu kampanii równie szybko z niej zniknął (w listopadzie 2023 roku), by w grudniu założyć swój własny Zryw.

Wśród partnerów zagranicznych inicjatyw Sikorskich odnajdujemy zresztą więcej śladów prowadzących za ocean. Jak ujawnił portal Niezależna.pl, to m.in. The Messina Group (TMG) – firma doradcza założona przez Jima Messinę, byłego szefa kampanii prezydenckiej Baracka Obamy w 2012 roku, a także Apolitical Foundation, zajmująca się szkoleniem liderów politycznych, oraz wspierana przez giganty technologiczne inicjatywa Tech To The Rescue. Jeszcze w lipcu 2025 roku wśród partnerów i donatorów Fundacji Zryw na jej stronie internetowej widniała nazwa „The Messina Group". Teraz próżno jej szukać. Administratorzy ją wykasowali.

Arabskie petrodolary z rosyjskim rewersem

Źródła dochodu samego Radosława Sikorskiego również są – delikatnie mówiąc – nieprzejrzyste. Najgłośniejszy skandal wybuchł w lutym 2023 roku, gdy holenderski dziennik „NRC" ujawnił, że ówczesny europoseł PO otrzymywał 100 tys. dolarów rocznie za doradztwo dla konferencji Sir Bani Yas Forum, organizowanej przez Zjednoczone Emiraty Arabskie. Gazeta poinformowała wprost, że polski polityk „otrzymał już prawie pół miliona euro od ministerstwa spraw zagranicznych Zjednoczonych Emiratów Arabskich". Konferencja miała z definicji charakter zamknięty – według doniesień prasa nie

Źródła dochodu Radosława Sikorskiego zawsze były nieprzejrzyste. Najgłośniejszy skandal wybuchł w lutym 2023 roku, gdy holenderski dziennik „NRC" ujawnił, że ówczesny europoseł PO otrzymywał 100 tys. dolarów rocznie za doradztwo dla konferencji Sir Bani Yas Forum, organizowanej przez Zjednoczone Emiraty Arabskie.

była tam mile widziana, a wszystko odbywało się w tajemnicy.

Kontrowersje wokół tych zarobków są tym większe, że Zjednoczone Emiraty Arabskie pełnią funkcję kluczowego hubu dla rosyjskich oligarchów i państwa umożliwiającego Moskwie omijanie zachodnich sankcji. Jak alarmował na początku 2023 roku prestiżowy ośrodek Soufan Center, to m.in. do ZEA przemycano złoto z Sudanu, z którego wydobycia finansowała się powiązana z Kremlem i odpowiedzialna za zbrodnie wojenne Grupa Wagnera. W marcu 2022 roku Emiraty trafiły nawet na „szarą listę" państw piorących brudne pieniądze.

Mimo tych faktów Sikorski regularnie jeździł na Bliski Wschód. Z ustaleń „Gazety Polskiej" i portalu Niezależna.pl z końca 2023 roku wynika, że uczestniczył on w forum w listopadzie 2022 roku, gdy na tej samej konferencji obecny był szef rosyjskiego MSZ Siergiej Ławrow. Dziennikarze ujawnili również, że Sikorski brał udział w spotkaniach doradczych, m.in. w kwietniu i maju 2023 roku, a ostatnie zanotowano 17 października 2023 roku – zaledwie dwa dni po wyborach parlamentarnych w Polsce. Dopiero po objęciu teki ministra spraw zagranicznych zawiesił działalność swojej firmy doradczej Sikorski Global, która tylko w 2022 roku przyniosła mu dochód rzędu 1,7 mln zł.

Zarabianie w ZEA to jednak nie tylko problem wizerunkowy. Rozmówcy dziennika „NRC" twierdzili, że zachowanie Sikorskiego „podczas głosowań w połączeniu z płatnościami budzi podejrzenia". Wskazywano, że w Parlamencie Europejskim zajmował on stanowisko przychylne Emiratom oraz Arabii Saudyjskiej. Co więcej, polityk nie zgłosił wyjazdu na koszt organizatora do stosownych rejestrów europarlamentu, tłumacząc holenderskiej prasie, że „to była część moich zewnętrznych płatnych zajęć". Belgijski „Le Soir" wyliczył z kolei, że Sikorski był na trzecim miejscu wśród europosłów pod względem zagranicznych wyjazdów finansowanych przez inne państwa lub organizacje (27 noclegów w trakcie 14 wyjazdów). Brukselskie Politico pisało zaś, że zarabiał on gigantyczne kwoty „za nieokreślone konsultacje".

Na tym tle szokująco brzmią ustalenia organizacji Transparency International. Zwróciła ona uwagę, że Radosław Sikorski zarabiał rocznie od 588 do 804 tys. euro z innych źródeł niż praca w Parlamencie Europejskim. Jak wyliczył portal Niezależna.pl, kwoty te nie pokrywały się z oświadczeniami majątkowymi składanymi przez polityka w Polsce. Według szacunków dziennikarzy nawet przy maksymalnym zaniżeniu danych Transparency International w oficjalnych dokumentach Sikorskiego z tamtego okresu brakowało od 1,5 mln do 1,8 mln zł rocznie.

Sikorski od początku afery konsekwentnie się bronił, przekonując, że rzetelnie informuje o swoich finansach. „Moja działalność pozaparlamentarna jest wymieniona w moim oświadczeniu majątkowym złożonym w Parlamencie Europejskim oraz – bardziej szczegółowo – w polskim parlamencie, w którym wyraźnie zaznaczam moją rolę jako członka Rady Doradczej Sir Bani Yas Forum" – twierdził i dodał, że jego dochód jest w Polsce opodatkowany. **GP**

FELIETON

{ PAN JACEK DLA CIEBIE }

Jacek **Liziniewicz**

JUŻ NIC NIE JEST ŁATWE

Polska to jedna wielka stajnia Augiasza. Mam wrażenie, że zajęcie się jakimkolwiek elementem, tak do spodu, zawsze spowoduje dalekosiężne konsekwencje, które zachwieją rządem. Obecny gabinet Donalda Tuska na nieco ponad rok przed wyborami poddał się i wybrał słodkie lenistwo. Oczywiście wrzuca jakiś polityczny PR, ale jest to wtórne, reaktywne i nudne. Gdy Donald Tusk ogłasza, że będzie budował statek kosmiczny, to w zasadzie jest okazja do toczenia ogólnopolskiej beki. Nikt tego nie bierze na poważnie. Premierowi będzie trudno przebić tę obietnicę. Bo co będzie następne? Izabela Leszczyna z Jolantą Sobierańską-Grendą obiecają lekarstwo na raka? Miłosz Motyka wpadnie nagle na to, jak przemienić pioruny w energię elektryczną? A może minister sportu obieca polski klub w Lidze Mistrzów? Nikt już tego nie kupuje. Rządzenie po wyborach w 2027 roku nie będzie jednak wcale łatwiejsze. Tym bardziej że politycy prawicy podwyższyli sobie poprzeczkę. Dyskutują o problemach wyjątkowo trudnych do rozwiązania. Bo czy naprawdę ktoś ma realny pomysł na to, aby zreformować rynek rolny, tak by producenci mieli najwięcej do powiedzenia? Czy w ogóle ktoś takiej reformy oczekuje? Albo NFZ… Naprawdę ktoś wymyśli stworzenie takiego ekosystemu, aby było uczciwie i bez kolejek? To samo z wyzwaniami populacyjnymi. Polska ma olbrzymi problem demograficzny. Czy na pewno mamy diagnozę i rozwiązanie? Wyzwań jest dużo i naprawdę nie wiadomo, od której wojny zacząć. Jeżeli chcemy zbudować silne państwo, to potrzebujemy przemyślanych reform. Pora zwykłego administrowania się kończy. Do utrzymania władzy konieczne są aktywność i tłumaczenie społeczeństwu, dlaczego podejmuje się konkretne decyzje. Era łatwej polityki, gdy game changerami były orlik i program Rodzina 500+, skończyła się. Rzeczywistość nas dogania. Nadchodzi czas trudnych decyzji. **GP**

Jeżeli chcemy zbudować silne państwo, to potrzebujemy przemyślanych reform. Pora zwykłego administrowania się kończy.

FELIETON

{ KRÓTKO I NA TEMAT }

Krzysztof **Karnkowski**

RADEK FICTION

Gdy byłem młodszy i miałem więcej czasu, lubiłem sięgnąć po polską fantastykę, która zresztą wtedy uchodziła jeszcze za raczej prawicową. Czytywałem często książki Jacka Piekary, Rafał Ziemkiewicz dopiero porzucił beletrystykę na rzecz felietonów i publicystyki książkowej, a czasem udało się trafić jakieś perełki mniej znanych autorów. Jakub Małecki czy Łukasz Orbitowski dopiero się rozkręcali, wpisując horror w ramy polskich ulic i osiedli. Trochę mi tych czasów brakuje nie tylko dlatego, że dziś nie mam sił ani głowy, by czytać tyle, co kiedyś. Brakuje mi też tradycji recenzji z cyklu „Książki najgorsze", zaczętej jeszcze przez Tuwima i Słonimskiego, a potem w PRL obecnej w prasie podziemnej. Obie te tęsknoty mam okazję połączyć dzięki jednemu z moich przyjaciół, który dał mi na imieniny książkę Jacka Inglota „Polska 2.0". Oczywiście, nie ma się co czepiać warsztatu uznanego pisarza, zwłaszcza drugie z dwóch tworzących tom opowiadań jest naprawdę klimatyczne, wpisując się w tradycję polskiej SF. Problemem jest ideowy punkt wyjścia obu historii: Polską rządzą straszni populiści, jakiś nowy, gorszy PiS (pisane to było przed 2016 rokiem), aż kraj ratuje nowy Piłsudski, który nazywa się… Władysław Sidorski (przez D). Były opozycjonista, absolwent Oksfordu. To znaczy w jednej historii ratuje, w drugiej nie ratuje, kraj upada i staje się dziką dżunglą rządzoną przez fanatycznych bogoojczyźnianych starców. I niestety, gdy Inglot opisuje, jak ten pół-Piłsudski, pół-Radek Sikorski buduje polskie imperium, pisze jak bardzo oczytana, mądra, ale jednak nastolatka zakochana w swym idolu. Druga z historii jest lepsza, bo tu Inglot już hołdu swym uczuciom nie składa, a po prostu tworzy swoją antyutopię i utopię w jednym. Jeśli kiedyś wpadnie Wam to w ręce w bibliotece czy na wyprzedaży, polecam. W innych wypadkach, tylko jeśli jesteście koneserami polskiej fantastyki lub Radka S. **GP**

Brakuje mi tradycji recenzji z cyklu „Książki najgorsze", zaczętej jeszcze przez Tuwima i Słonimskiego, a potem w PRL obecnej w prasie podziemnej.

GRA O WSZYSTKO. TAK CHCĄ ROZBIĆ OBÓZ NIEPODLEGŁOŚCIOWY

Piotr **Lisiewicz**
z-ca red. naczelnego „GP"

MUSIMY PRZEBIĆ GŁOWĄ MUR

„Tusk czeka na partnera. Może się okazać, że Lewica i PSL to za mało, więc być może trzeba rozpocząć rozmowy choćby z Morawieckim" – powiedział Aleksander Kwaśniewski w tygodniku „Polityka". W tym samym czasie partia Grzegorza Brauna zapowiedziała spotkanie z Jarosławem Bratkiewiczem, twórcą polityki resetu Tuska i Sikorskiego. Co łączy te dwa, pozornie tak różne, wydarzenia? To część tego samego planu dezintegracji obozu niepodległościowego. Jego elektorat ma poprzeć niewielkie ugrupowania, które albo są wrogie niepodległościowej linii, albo zbyt słabe, by ją realizować. I mają rozmyć ową linię, wchodząc w układy z siłami ubekistanu III RP.

Oba wspomniane wyżej wydarzenia obfitują w bardzo wyrazistą symbolikę. Oto komunista Kwaśniewski, minister w komunistycznych rządach Mieczysława Rakowskiego i Zbigniewa Messnera, człowiek, który jako prezydent był głównym sprawcą wszechwładzy powiązanych z Moskwą Wojskowych Służb Informacyjnych, udziela wywiadu tygodnikowi „Polityka", byłemu organowi KC PZPR z siedzibą w Pałacu Kultury im. Józefa Stalina.

I składa bardzo konkretną propozycję: „Tusk czeka na partnera. Może się okazać, że Lewica i PSL to za mało, więc być może trzeba rozpocząć rozmowy choćby z Morawieckim". Dodaje też: „Oczywiście warunek tego ostatniego może być taki: zbudujemy rząd z Platformą, ale pod warunkiem, że nie będzie tam Donalda Tuska. Na co z kolei młode pokolenie Platformy nie musi patrzeć tak znowu niechętnie".

TEN SAM PROCES

Nie porównuję Mateusza Morawieckiego do Grzegorza Brauna, ale obaj stali się częścią tego samego procesu dezintegracji obozu niepodległościowego, zastąpienia go rachityczną prawicą w dwóch odmianach.

FOT. ANDRZEJ PIEKARSKI/GAZETA POLSKA, TOMASZ JEDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA, FOTOMAG/GAZETA POLSKA, FACEBOOK, WIKIPEDIA

Kwaśniewski to zbyt ważny polityk ubekistanu, by takie słowa wypowiadał przypadkowo. Warto przypomnieć, że wcześniej miał on kontakt z ludźmi Morawieckiego – w maju wywiad z Kwaśniewskim przeprowadził z jakichś powodów prof. Krzysztof Szczucki. To było zaskoczenie. Ale jak to? Kwaśniewski u posła PiS?!

Grzegorz Braun sięga po człowieka Platformy Obywatelskiej

Równie symboliczne wydarzenie zapowiedziane zostało w Szczecinie. Mateusz Piskorski, który ma być kandydatem partii Brauna do Sejmu, zapowiedział spotkanie z Jarosławem Bratkiewiczem, byłym działaczem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, autorem prorosyjskiego zwrotu w polityce zagranicznej w czasie rządów PO-PSL z lat 2007–2015, który w życie wprowadzili Donald Tusk i Radosław Sikorski.

Oto partia, która udaje nową siłę na scenie politycznej, sięga po człowieka Platformy Obywatelskiej. A robi to Mateusz Piskorski, niedawno przeprowadzający na swoim kanale wywiady z Marią Zacharową, rzecznik MSZ Kremla, która grozi Polsce zagładą atomową, ideologiem Kremla Aleksandrem Duginem, który wielokrotnie mówił, że nie widzi miejsca dla niepodległej Polski na mapach, a śmierć prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Smoleńsku uważał za akt dziejowej sprawiedliwości, oraz ambasadorem Rosji w Polsce Siergiejem Andrejewem.

Piskorski jest oskarżony o szpiegostwo na rzecz Rosji, ale nawet gdyby nie był, jego jawne działania są dowodem zdrady. Dodajmy, że Piskorski protestował niedawno przeciwko zburzeniu Pomnika Wdzięczności Armii Czerwonej w Pyrzycach. A kto mógł go do tego namówić? Gdy w zeszłym tygodniu pomnik został zburzony, oburzenie w tej sprawie wyraziła ambasada Rosji w Warszawie: „Bezprawne burzenie pomników jest jawną próbą fałszowania historii i wymazania ze świadomości Polaków pamięci o bohaterskich czynach żołnierzy radzieckich”.

Morawieckiego tolerancja kompromisów

Nie porównuję Mateusza Morawieckiego do Grzegorza Brauna, ale obaj stali się częścią tego samego procesu dezintegracji obozu niepodległościowego, zastąpienia go rachityczną prawicą w dwóch odmianach: z jednej strony gotową na flirt z postkomunistycznym establishmentem, z drugiej – nie tylko głoszącą prorosyjskie brednie, ale mającą związki z nienawidzącą Polski rosyjską władzą, której celem jest likwidacja państwa polskiego.

Oba przypadki są o tyle niepodobne, że Braun wypisał się z obozu niepodległościowego, gdy zmienił głoszone przez siebie poglądy na Rosję o 180 stopni, co stało się w momencie, gdy zaczął wyznawać debilną teorię maskirowki o Smoleńsku, zgodnie z którą inny samolot wyleciał z Warszawy, a inny rozbił się w Rosji.

Mateusz Morawiecki na razie z obozu niepodległościowego się nie wypisał. Krytycy z PiS przypomnieli mu, że w 2010 roku został powołany w skład Rady Gospodarczej przy Prezesie Rady Ministrów (premierem był wówczas Donald Tusk), w której zasiadał przez blisko dwa lata. Ale potem był premierem, który podjął wiele dobrych decyzji, konsultując swoją politykę z prezesem PiS Jarosławem Kaczyńskim.

Czy nadaje się na przywódcę obozu niepodległościowego? Dotychczasowe funkcjonowanie Morawieckiego w polityce pokazuje, że jego tolerancja dla kompromisów z establishmentem III RP jest większa niż w wypadku Jarosława Kaczyńskiego. Stąd należy bacznie przyglądać się

jego posunięciom i osobom, którymi się otacza.

Reseciarz, obalacz rządu PiS i Rokita

Mateusz Morawiecki zawarł sojusz z Kanałem Zero Krzysztofa Stanowskiego i w jego ramach na jego „grillu" pojawili się Sławomir Dębski i gen. Romuald Andrzejczak. Dębski za rządów PO i PSL, od 2011 roku, był dyrektorem rządowego Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia. Publicznie mówił, że polsko-rosyjskie stosunki po Smoleńsku są najlepsze od kilkuset lat. Powtarzał tezę Bronisława Komorowskiego, że Rosja będzie się reformować i zbliżać do Europy. I Polska powinna jej w tym pomóc.

To nie jest reprezentant nurtu niepodległościowego, ale sprawiedliwie trzeba dodać, że również PiS nie zachował się w jego sprawie właściwie. 25 lutego 2016 roku z nadania PiS Dębski został dyrektorem podlegającego MSZ Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych (PISM).

Z kolei gen. Andrzejczak przyczynił się do obalenia rządów PiS, gdy nagle zrezygnował ze stanowiska szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego na pięć dni przed wyborami 15 października 2023 roku.

Na „grillu" u Morawieckiego pojawił się też w jednej z głównych ról inny komentator Kanału Zero – Jan Rokita, błyskotliwy mówca, ale fatalny polityk, skompromitowany faktem, że to on składał wniosek o obalenie rządu Jana Olszewskiego i do dziś twierdzi, że miał rację. Atakując Przemysława Czarnka, Rokita w „Rzeczpospolitej" posunął się do słów: „Czarnek, wykorzystując przydzieloną mu przez Kaczyńskiego pozycję kandydata na premiera, próbuje teraz przeciągnąć PiS do tego grona nienawidzących Zachodu sprzymierzeńców »osi zła«. Chce to zrobić niepostrzeżenie, tak by wyborcy PiS, owładnięci słusznym oburzeniem na kult UPA na Ukrainie, nie zorientowali się nawet, że ich partia staje się – paradoksalnie – największą na Zachodzie organizacją dywersyjną, propagującą intencje i cele polityczne nie tylko samej Moskwy, ale całego antyzachodniego sojuszu wschodnich despotii".

PiS, będąc najsilniejszym, niekwestionowanym reprezentantem obozu niepodległościowego, by pozyskać wyborców, którzy odpłynęli do dwóch Konfederacji, zaczął mówić ich językiem.

Kij ma dwa końce. Czy warto mówić językiem Konfederacji?

Powyższe słowa to oczywiste brednie, ale paradoks polega na tym, że PiS, będąc najsilniejszym, niekwestionowanym reprezentantem obozu niepodległościowego, by pozyskać wyborców, którzy odpłynęli do dwóch Konfederacji, zaczął mówić ich językiem. Przemysław Czarnek, który zawsze był w tej sprawie w PiS na prawym skrzydle, ma szansę dobrze odegrać tę rolę.

Ale ten kij ma dwa końce. Bo PiS, który zaczyna w sprawach relacji z Ukrainą mówić językiem podobnym do obu Konfederacji, może pozyskiwać ich wyborców, ale może też ich liderów uwiarygadniać. Kiedy prezydent Karol Nawrocki i PiS ostro mówią o Ukrainie, wyborcy mogą pomyśleć: to może ten Braun nie jest taki zły?

Nastroje antyukraińskie wśród Polaków wynikają z zakorzenionych w nas od wieków cech: polskiego honoru i oburzenia faktem, że inni mogą nie kierować się nim w życiu tak bezkompromisowo jak Polacy. Ale ta zmiana podejścia do Ukrainy – od miłości do nienawiści – jest niebezpieczna. Pisał o tym Józef Piłsudski: „Najgorszą rzeczą w polityce jest polityka zygzaków. Polska nie może się do tego przystosować, jest to niemożliwe, w swym położeniu geograficznym musi być przewidująca i nie może prowadzić polityki o linii zmiennej".

Niezmiennie polskim interesem jest sojusz państw leżących między Rosją a Niemcami, pozwalający się przeciwstawić owym potęgom. Gorący konflikt pomiędzy Polakami i Ukraińcami jest w interesie Rosji i Niemiec. I bez wątpienia antypolska postawa Wołodymyra Zelenskiego wynika z niemieckiej inspiracji.

Gdy Mateusz Morawiecki mówi o tym, że polityka Polski wobec Ukrainy za jego rządów była słuszna, ma rację. Gorzej, gdy używa tego argumentu jako instrumentu do ataku na Przemysława Czarnka, który realizuje niepodległościową misję w zmienionych warunkach.

Damy radę

Wszystko, co napisałem powyżej, jest opisem choroby polskiej prawicy, co ma być wstępem do jej uzdrowienia i powrotu do tożsamości obozu niepodległościowego. Inaczej czekają nas drugie cztery lata rządów Tuska. Ewentualnie rządy prawicy skarlałej, bez niepodległościowych aspiracji.

Przechodziliśmy wiele razy tę chorobę w III RP, gdy rządziła AWS z UW, czyli hybryda prawicy z ubekistanem, z przewagą tego drugiego. Albo gdy w latach 2005–2007 PiS musiał stworzyć koalicję z LPR i Samoobroną, czyli ugrupowaniami prorosyjskimi. Skończyło się tym, że rząd ów został zdmuchnięty przez ubekistan po dwóch latach. PiS kompromitował się tą koalicją i gdy po dwóch latach z badań wyszło, że Tusk wygra przyspieszone wybory, Rosja zadysponowała koniec rządów Jarosława Kaczyńskiego. A Roman Giertych ogłosił, że od początku w rządzie był Konradem Wallenrodem Tuska.

Mamy jeszcze trochę czasu, by przed wyborami w 2027 roku powstrzymać dezintegrację obozu niepodległościowego. Zmarginalizować ruskich od Brauna i zagonić szczerych patriotów od Morawieckiego z powrotem do obozu niepodległościowego. To ciężka robota, tysiące rozmów z prawicowymi wyborcami. Ale jeśli tego nie zrobimy, historia oceni nas jako fajtłapów, efekciarzy i nieudaczników.

Jak pisał Marszałek: „Gdy w życiu mądra spotka cię przestroga: głową muru nie przebijesz – nie wierz temu". Damy radę, a ten artykuł był po to, by to, o co toczy się gra, zostało opisane i zdefiniowane. Reszta w naszych i Państwa rękach. **GP**

FELIETON

{ OKIEM KAPELANA / PREZYDENT KAROL NAWROCKI }

ks. Jarosław **Wąsowicz** SDB

ROK **pokornej służby**

„Jeśli upokorzy się mój lud, nad którym zostało wezwane moje Imię, i będą błagać, i będą szukać mego oblicza, a odwrócą się od swoich złych dróg, Ja z nieba wysłucham i przebaczę im grzechy, a kraj ich ocalę".

To fragment z Biblii, a dokładniej z 2 Księgi Kronik. Stał się nam szczególnie bliski za sprawą Pana Prezydenta Karola Nawrockiego, który od niego rozpoczął swoje przemówienie po wstępnych wynikach II tury wyborów, kiedy wielu traciło nadzieję na zwycięstwo. Słowa te okazały się prorocze. Pan Bóg kraj nasz ocalił. Klimat tego wieczoru oddawał zresztą nastroje całej kampanii, kiedy trzeba było walczyć wbrew wszystkiemu, wszystkim i walczyć o wszystko. To była ciężka walka. Jakże nie przywołać w tym miejscu słów jednej z pieśni naszego drogiego zmarłego w tym roku przyjaciela Andrzeja Kołakowskiego: „Trudno jest wytrwać, gdy wszystko zdaje się stracone. Trudno jest marzyć, gdy marzenia Twoje depczą. Trudno jest stać, gdy chcą Cię rzucić na kolana, marzyć o słońcu, gdy wokoło strugi deszczu".

Było trudno, ale z Bożą pomocą się udało. Otrzymaliśmy w ubiegłym roku w tej walce potężne wsparcie z nieba. Kiedy skala hejtu, kłamstwa i pospolitego chamstwa w czasie kampanii przekroczyła wszelkie granice, wielu z nas spontanicznie chwyciło za różaniec, zaczęło zamawiać msze św., aby modlić się za ojczyznę. Powróciliśmy w tym względzie do zwyczajów dobrze nam znanych z czasów trudnych dla Polski, kiedy jedynie w Panu Bogu pozostało nam szukać nadziei na zmianę rzeczywistości, w której przyszło nam żyć.

Dzisiaj z pokorą w sercach dziękujemy za rok prezydentury Pana Karola Nawrockiego. W mediach dokonuje się przy tej okazji różnych bilansów, przypomina znaczące sukcesy, ale i sytuacje trudne. Każdy ze swojej perspektywy. Dla mnie był to przede wszystkim rok, kiedy mogłem doświadczyć, jak wielu ludzi w kraju i na świecie wspiera naszą ojczyznę i Pana Prezydenta osobiście swoją modlitwą. Miałem ten dar w wielu takich nabożeństwach uczestniczyć. Udało się też stworzyć duchowe więzi pomiędzy ludźmi patrzącymi oczyma wiary na wydarzenia, w których uczestniczymy. Dziękuję Panu Prezydentowi za możliwość przyjmowania gości w kaplicy Pałacu Prezydenckiego, gdzie przez cały ten rok regularnie odprawiane były msze św. w intencji Polski. To jest wielkie duchowe dzieło. Dość wspomnieć, że przez rok Najświętszą Ofiarę sprawowało w niej dwa razy tylu kapłanów, ilu łącznie przez 10 ostatnich lat. Modliło się z nami kilka tysięcy wiernych, rodaków z kraju i zagranicy, młodzieży i dzieci. Regularnie w mszach św. raz w miesiącu biorą udział członkowie Klubów „Gazety Polskiej", Rycerze Jana Pawła II, Rycerze Kolumba, wspólnota modlitewna „Jesteśmy z Tobą" i wielu, wielu innych. To wielkie modlitewne zaplecze dla Pana Prezydenta, jego rodziny i współpracowników.

Duchową więź między nami wszystkimi pogłębia również fakt, że Pan Prezydent codziennie modli się za tych, którzy modlą się za niego. 6 sierpnia dziękczynienie za pierwszy rok prezydentury rozpoczęliśmy w gronie rodziny i najbliższych współpracowników Karola Nawrockiego wspólną Eucharystią właśnie w intencji tych, którzy wspierają modlitwą ojczyznę i Pana Prezydenta. Przez ostatni rok w wielu ważnych przemówieniach Pan Prezydent Nawrocki regularnie przypomina o tym, że jesteśmy chrześcijańskim narodem i naszym obowiązkiem jest budowanie codzienności na ewangelicznych wartościach. Wydaje się, że jest obecnie jedyną głową państwa na świecie, która tak często przypomina o wartościach chrześcijańskich. Nie tylko w słowach, ale i czynach. Zawsze taki był i pozostaje wierny swoim przekonaniom, dlatego nie musi udawać czy kłamać.

> Pan Prezydent Nawrocki regularnie przypomina o tym, że jesteśmy chrześcijańskim narodem i naszym obowiązkiem jest budowanie codzienności na ewangelicznych wartościach.

Taką wizję względem przywódców narodu miał przed wielu laty wielki charyzmatyczny duchowy przywódca naszej wspólnoty kard. August Hlond. Nieustannie wzywał też do modlitwy różańcowej za Polskę, także tych, którzy stoją na czele państwa. Wzywał do duchowego odrodzenia wspólnoty narodowej. Ono wciąż się dokonuje. Niech Bóg będzie z nami! Niech Bóg błogosławi Polsce! **GP**

Piotr **Nisztor**

NIE TYLKO KRÓL

Dotychczas w całej sprawie prowadzonej przez Prokuraturę Europejską jest 11 podejrzanych. Nie wiadomo jeszcze, kiedy Wojciech Król usłyszy formalnie zarzuty.

ŚLĄSKA PAJĘCZYNA POSŁA KO

OPERACJA CBA, 1,9 MLD ZŁ UNIJNYCH ŚRODKÓW I... ODRZUCONY WNIOSEK O ARESZT

Prokuratura Europejska, badając nieprawidłowości przy zawieraniu przez Tramwaje Śląskie kontraktów na modernizację i rozwój infrastruktury, wpadła na trop korupcyjnego układu prowadzącego do śląskiej Koalicji Obywatelskiej. Pierwsze skrzypce miał w nim grać wiceszef regionu i wpływowy poseł Wojciech Król, któremu Sejm zgodził się uchylić immunitet. Zarzuty usłyszał też skarbnik śląskiej KO.

To może być poważny problem dla Koalicji Obywatelskiej, obnażający hipokryzję ugrupowania Donalda Tuska. Prokuratura Europejska, prowadząca śledztwo w sprawie korupcji przy zlecaniu przez spółkę Tramwaje Śląskie (większościowy pakiet akcji kontroluje prezydent Katowic) finansowanych z unijnych środków kontraktów budowlanych, wystąpiła na początku maja br. o uchylenie immunitetu oraz zgodę na zatrzymanie i tymczasowe aresztowanie 41-letniego Wojciecha Króla. To wpływowy poseł Koalicji Obywatelskiej, jeszcze do niedawna wiceprzewodniczący śląskich struktur tej partii. Ze złożonego wniosku wynika, że polityk miał powoływać się na wpływy m.in. u marszałka województwa śląskiego i prezydenta Katowic oraz przyjąć przynajmniej 37 tys. zł i 350 tys. euro łapówek, m.in. za załatwienie stanowisk oraz kontraktów finansowych ze środków unijnych w spółkach samorządowych ze Śląska, w tym w Tramwajach Śląskich. „Byłbym gotowy zrzec się immunitetu (…), natomiast muszę wziąć pod uwagę to, że ze względu na to, iż w Polsce postępowania są przewlekłe, mógłbym nie mieć możliwości dowodzenia swojej niewinności przed sądem, gdyby się okazało, że został popełniony błąd proceduralny” – tak starał się przekonywać członków sejmowej komisji regulaminowej, spraw poselskich i immunitetowych polityk KO. Nie przekonał. 31 lipca br. – niespełna dwa miesiące po wpłynięciu wniosku – Sejm uchylił mu immunitet. Nie zgodził się jednak na jego zatrzymanie i tymczasowe aresztowanie, które według Prokuratury Europejskiej jest niezbędne do uniemożliwienia politykowi mataczenia w śledztwie. „Gazeta Polska” przyjrzała się, kim jest Wojciech Król i jak wysoko sięgał układ korupcyjny rozpracowywany przez unijnych śledczych.

FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA

Jak polityczny patron wspierał karierę

Wojciech Król, rocznik 1985, to absolwent Uniwersytetu Śląskiego (zdobył tam licencjat) i Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi (zdobył tam tytuł magistra). Zaczynał jako instruktor teatralny w Mysłowickim Ośrodku Kultury, a potem pracował jako dziennikarz, m.in. w TVP. Bardzo szybko, bo już w wieku 25 lat, postawił jednak na karierę samorządową. Najpierw w grudniu 2010 roku został dyrektorem kancelarii i rzecznikiem prasowym Edwarda Lasoka, prezydenta Mysłowic. Cztery lata później przeszedł pod skrzydła Wojciecha Saługi, świeżo powołanego marszałka województwa śląskiego, wpływowego polityka ówczesnej Platformy Obywatelskiej. Król objął stanowisko szefa jego gabinetu. Źródła „GP" związane z KO zgodnie wskazują, że to właśnie Saługa, od ponad dekady szef śląskich struktur partii, od początku jest patronem politycznym 41-letniego polityka. Nie tylko dba o jego miejsce na listach wyborczych, ale także doprowadził do powołania go na swojego zastępcę – wiceprzewodniczącego KO na Śląsku. Tym samym Król stał się jedną z najbardziej wpływowych osób w województwie, utrzymując doskonałe relacje na szczytach niemal wszystkich tamtejszych samorządów. Jego rola wzrosła po wyborach parlamentarnych w 2023 roku. Po raz trzeci został posłem, a jego partia w koalicji z Polską 2050, PSL-em i Lewicą stworzyła rząd, na czele którego stanął Donald Tusk. Został on zaprzysiężony 13 grudnia 2023 roku. Jedną z pierwszych decyzji rządu Tuska było przystąpienie do Prokuratury Europejskiej zajmującej się m.in. sprawami nadużyć i korupcji związanych z unijnymi środkami.

2 mln zł łapówek i zbrodnia korupcyjna

Ulica 1 Maja 152 w Katowicach. To tam mieści się siedziba Tramwajów Śląskich, samorządowego przedsiębiorstwa odpowiadającego za infrastrukturę i przewóz tramwajowy na terenie Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii, m.in. Katowic, Gliwic, Sosnowca, Zabrza, Chorzowa czy Bytomia. Większościowym akcjonariuszem spółki jest miasto Katowice, którego prezydentem od 2014 roku jest Marcin Krupa. W ramach programów unijnych przewidziano dla Tramwajów Śląskich ponad 1,9 mld zł na modernizację i rozwój infrastruktury. Centralne Biuro Antykorupcyjne ustaliło jednak, że przy zlecaniu kontraktów finansowanych z tych środków może dochodzić do korupcji. Z nieoficjalnych informacji „GP" wynika, że prowadzono w tej sprawie wielomiesięczną operację, podsłuchując rozmowy telefoniczne, m.in. Romana M., który od stycznia 2021 roku zajmował stanowisko dyrektora ds. inwestycji Tramwajów Śląskich, odpowiadającego za realizację inwestycji ze środków unijnych. Według CBA zbudował on układ korupcyjny, w skład którego wchodziły firma z Katowic, która formalnie pod koniec 2021 roku wygrała przetarg na inżyniera kontraktów, oraz podmiot z Gliwic. Realizował on większość inwestycji finansowanych ze środków unijnych. Zgromadzony materiał wraz z zawiadomieniem CBA, ze względu na właściwość – korupcję przy inwestycjach finansowanych ze środków unijnych – skierowało do Prokuratury Europejskiej. Ta z kolei 2 grudnia 2025 roku wszczęła w tej sprawie śledztwo. Formalnie prowadzi je Biuro Delegowanego Prokuratora Europejskiego przy Prokuraturze Regionalnej w Katowicach. Nieco ponad dwa tygodnie po jego rozpoczęciu – 17 grudnia 2025 roku – zostały zatrzymane pierwsze cztery osoby, w tym „mózg" całego procederu – Roman M. Dyrektor Tramwajów Śląskich usłyszał 17 zarzutów, głównie związanych z przyjęciem od grudnia 2021 do grudnia 2025 roku ponad 2 mln zł łapówek za kontrakty budowlane, finansowane w większości ze środków unijnych. Ze względu na wartość korzyści zaklasyfikowano je jako tzw. zbrodnię korupcyjną. Grozi mu więc od 3 do 20 lat więzienia.

„Ekwiwalent" za posadę w zarządzie

„GP" dotarła do wniosku o uchylenie immunitetu Królowi wraz z uzasadnieniem (jako pierwszy jego treść ujawnił portal Zero.pl). Z dokumentu wynika, że polityk miał skontaktować się z Romanem M. w czasie kampanii wyborczej do parlamentu w 2023 roku, proponując mu, aby jako „jego człowiek" wszedł do zarządu lub nawet został prezesem Tramwajów Śląskich. Według europejskich śledczych Król w zamian oczekiwał od M. „ekwiwalentu" za pośrednictwo w załatwieniu posady. W sumie dyrektor Tramwajów Śląskich miał mu przekazać 20 tys. zł w dwóch transzach. Jak poseł KO miał załatwić stanowisko M.? „Wojciech Król wskazał, że prowadził na ten temat rozmowy z Marcinem Krupą – Prezydentem Miasta Katowic" – wskazała we wniosku Prokuratura Europejska, podkreślając, ze poseł KO miał powoływać się na wpływy, m.in. właśnie u włodarza Katowic. Faktycznie Król bardzo dobrze zna Krupę. Wspólnie uczestniczyli w wielu oficjalnych spotkaniach, a także wspierali się w kampaniach wyborczych. „GP" zapytała prezydenta Krupę o relacje z Królem, Romanem M. oraz trwające śledztwo. Do momentu zamknięcia tego wydania nie otrzymaliśmy jednak odpowiedzi.

Obietnica posady w GDDKiA za 7 tys. zł

Według unijnych śledczych Roman M. na prośbę posła Króla miał zorganizować spotkanie w jednej z katowickich kawiarni z osobami, które były zainteresowane pomocą polityka w znalezieniu posady lub zdobyciu kontraktu. „Wojciech Król opowiedział [na spotkaniu – red.] o wykonywaniu mandatu posła, o pracy w Sejmie Rzeczypospolitej Polskiej. Powoływał się również na swoje znajomości w podmiotach i spółkach publicznych. Celem spotkania, co było jasne dla wszystkich jego uczestników, było pozyskanie przez Wojciecha Króla pieniędzy w zamian za wykorzystanie znajomości posła Króla" – czytamy we wniosku o uchylenie immunitetu Królowi. Oprócz M. uczestniczyła w nim także dwójka jego znajomych: Krzysztof F. i Michał P. Ten pierwszy zarządzał katowicką firmą, która jako inżynier kontraktów nadzorowała realizację dla Tramwajów Śląskich zleceń modernizacji infrastruktury, finansowanych ze środków

unijnych. To właśnie ten podmiot CBA wymieniło jako zamieszany w korupcyjny układ stworzony przez Romana M. Król miał obiecać F. załatwienie stanowiska dyrektora w Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad lub Zarządzie Dróg Wojewódzkich w Katowicach. Obydwa podmioty – jak podkreśliła Prokuratura Europejska – są beneficjentami środków unijnych. W zamian F. miał przekazać Królowi w sumie 7 tys. zł. Z kolei Michał P. to przedsiębiorca z branży budowlanej. Za pośrednictwem M. miał przekazać Królowi w sumie 10 tys. zł. W zamian polityk KO miał mu obiecać „zamówienia i kontrakty na roboty budowlane od publicznych podmiotów gospodarczych, zwłaszcza Górnośląskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów SA z siedzibą w Katowicach". Firmę tę kontroluje patron polityczny Króla – marszałek województwa śląskiego Wojciech Saługa. Oprócz prezydenta Krupy także na wpływy u niego – jak ustaliła Prokuratura Europejska – miał powoływać się Król. To jednak nie wszystko.

5 proc. od wartości załatwionej dotacji

Według Prokuratury Europejskiej Król miał również załatwić firmie budowlanej z Gliwic (tej samej, która dzięki Romanowi M. otrzymała finansowane z unijnych środków kontrakty z Tramwajów Śląskich) opiewającą na ponad 27,3 mln zł dotację na „Utworzenie Kompleksu Biurowego Stara Huta jako elementu infrastruktury lokalnej w budynkach pomocniczych byłej Huty Kościuszko". Środki przyznało Śląskie Centrum Przedsiębiorczości nadzorowane przez Zarząd Województwa Śląskiego, kierowany przez… Wojciecha Saługę. Według unijnych śledczych pierwotnie wniosek gliwickiej firmy został odrzucony. Wówczas do Jarosława Sz., właściciela spółki, zgłosił się Roman W., który reprezentując Króla, obiecał załatwienie dotacji w zamian za 5 proc. wartości, czyli ponad 1,3 mln zł. Biznesmen zgodził się na propozycję, po czym faktycznie dotacja została przyznana. „Jarosław Sz. w okresie od czerwca do sierpnia 2025 roku, w kilku ratach, przekazał pieniądze w łącznej kwocie niemniejszej niż 350 000 euro Romanowi W., a ten przekazał je następnie Wojciechowi Królowi, zostawiając z tego dla siebie około 20 000 euro" – wskazała we wniosku o uchylenie immunitetu Prokuratura Europejska. „GP" zapytała marszałka Saługę o relacje z Królem oraz ustalenia europejskich śledczych. Do momentu zamknięcia tego wydania „GP" nie otrzymaliśmy jednak żadnej odpowiedzi.

Wojciech Król miał powoływać się na wpływy m.in. u marszałka województwa śląskiego i prezydenta Katowic oraz przyjąć przynajmniej 37 tys. zł i 350 tys. euro łapówek, m.in. za załatwienie stanowisk oraz kontraktów finansowych ze środków unijnych w spółkach samorządowych ze Śląska.

Odwołani wiceprzewodniczący i skarbnik

Niespełna miesiąc po wpłynięciu do Sejmu wniosku o uchylenie Królowi immunitetu oraz przeszukaniach w jego mieszkaniu i biurze polityk – na wniosek marszałka Saługi, jako szefa śląskiej KO – został odwołany ze stanowiska wiceprzewodniczącego tamtejszych struktur. W tym samym czasie fotel skarbnika śląskiej KO stracił Marcin M., w latach 2010–2024 wiceprezydent Chorzowa, od września 2024 roku wiceprezes Tramwajów Śląskich. W czerwcu br. wraz z prezesem przedsiębiorstwa Bolesławem K. został zatrzymany przez agentów CBA i usłyszał zarzuty w tym samym śledztwie prowadzonym przez Prokuraturę Europejską. Obydwaj zostali odwołani z zarządu. Dotychczas w całej sprawie jest 11 podejrzanych. Nie wiadomo jeszcze, kiedy Wojciech Król usłyszy formalnie zarzuty. Z wniosku Prokuratury Europejskiej wynika, że dowodami wskazującymi na istnienie wysokiego prawdopodobieństwa popełnienia przestępstwa przez posła KO są m.in. wyjaśnienia części podejrzanych: Romana M., Krzysztofa F., Michała P. oraz Romana W. i Jarosława Sz., a także dane z rachunku bankowego tego ostatniego.

Mataczenie w śledztwie? Naleganie „wielokrotne" i „nieustępliwe"

Według europejskich śledczych ze zgromadzonego materiału wynikało, że Król może mataczyć w śledztwie. Stąd oprócz uchylenia immunitetu prokuratura wnioskowała także o jego zatrzymanie i tymczasowy areszt. Podstawą do tego były próby wywierania przez posła wpływu na Romana W. Tak opisano to we wniosku, który trafił do Sejmu: „Po raz ostatni miało to miejsce dzień przed zatrzymaniem Romana W. Po zatrzymaniu i tymczasowym aresztowaniu podejrzanego Romana W. Wojciech Król podjął działania mające na celu wpływ na osobę najbliższą dla Romana W., aby ta udzieliła adwokatowi wskazanemu i opłaconemu przez Wojciecha Króla pełnomocnictwa do obrony Romana W. Pozyskiwał lub próbował pozyskiwać od tej osoby także informacje o treści zarzutów przedstawionych Romanowi W. oraz zastosowanych wobec niego środków zapobiegawczych. Nalegania ze strony Wojciecha Króla w tym zakresie, pomimo oporu osoby najbliższej dla Romana W., były wielokrotne i nieustępliwe. Wojciech Król doprowadził również do spotkania z osobą najbliższą dla Romana W. I to pomimo oporów tej osoby, przeprowadzając to spotkanie w sposób wskazujący na istnienie po jego stronie obaw, że może on być obiektem inwigilacji". Większość sejmowa nie zgodziła się jednak na zatrzymanie i areszt dla posła Króla. Sam polityk KO, którego obrońcą jest adwokat Ryszard Kalisz, od początku przekonuje, że jest niewinny. **GP**

FELIETON

{ LUBIĘ DINOZAURY }

BRAUN Z MICHNIKIEM

Dawid **Wildstein**

Ugrupowanie Brauna już od lat z otwartymi ramionami przyjmuje ludzi powiązanych z obecną władzą. Najczęściej są to rozmaite postkomunistyczne złogi, które znajdują w Konfederacji Korony Polskiej uznanie i bezpieczną przystań. W ochronie i dopieszczaniu akurat tego środowiska Braun dzielnie sekunduje Tuskowi. Ostatnio jednak poszedł krok dalej i już wprost jako „swoje autorytety" przedstawia ludzi z samego jądra uśmiechniętej Polski. Idealnym przykładem tego zjawiska jest promowane przez Konfederację Korony Polskiej szczecińskie spotkanie z Jarosławem Bratkiewiczem, byłym dyrektorem Departamentu Wschodniego MSZ. To jeden z najważniejszych dyplomatów za czasów pierwszych rządów Tuska, bardzo bliski pracownik Sikorskiego, współtwórca tuskowego resetu. Dodatkowo, co chyba najzabawniejsze, wieloletni gość łamów „Gazety Wyborczej" (jego ostatni artykuł, z wdzięcznym dopiskiem „Adam Michnik poleca", ten biuletyn partyjny Tuska opublikował w styczniu 2026 roku). Jak widać współpraca środowisk związanych z Uśmiechniętą Polską z ludźmi od Brauna staje się coraz bardziej ostentacyjna. Tylko czy powinno nas to dziwić? Przecież, niezależnie od deklaratywnych różnic, więcej te grupy łączy, niż dzieli. Żywią tę samą miłość do postkomunizmu i gotowe są na wszystko, byle bronić jego stanu posiadania i reprezentantów. Trawi je ta sama niechęć do Ameryki i gotowość torpedowania wszelkich inicjatyw pogłębiających polskie relacje transatlantyckie. W końcu, co najważniejsze, w ten sam sposób i w tym samym stopniu nienawidzą Kaczyńskiego i PiS-u. Dziś więc Konfederacja Korony Polskiej promuje Bratkiewicza, ale naprawdę nie powinniśmy być zdziwieni kiedy zobaczymy plakat reklamujący rozmowę Brauna z Michnikiem. I możemy być bardziej niż pewni, że obaj ci panowie świetnie się dogadają i będą sobie spijać nawzajem z dziubków... **GP**

Jak widać współpraca środowisk związanych z Uśmiechniętą Polską z ludźmi od Brauna staje się coraz bardziej ostentacyjna.

REKLAMA

FUNDACJA KLUBÓW GAZETY POLSKIEJ

PODSTAWOWYM CELEM FUNDACJI JEST WSPIERANIE I PROMOWANIE KLUBÓW GAZETY POLSKIEJ

BUDUJEMY SPOŁECZEŃSTWO OBYWATELSKIE

DANE DO PRZELEWU W POLSCE
74 2490 0005 0000 4500 8274 0046

DANE DO PRZELEWU Z ZAGRANICY
PL 41 2490 0005 0000 4600 2469 2784
SWIFT CODE – ALBPPLPW

TYTUŁEM – DAROWIZNA NA RZECZ FUNDACJI KLUBÓW GAZETY POLSKIEJ
FUNDACJA KLUBÓW GAZETY POLSKIEJ ul. Bracka 15 I piętro 31-005 Kraków

DZIĘKUJEMY
WWW.KLUBYGAZETYPOLSKIEJ.PL

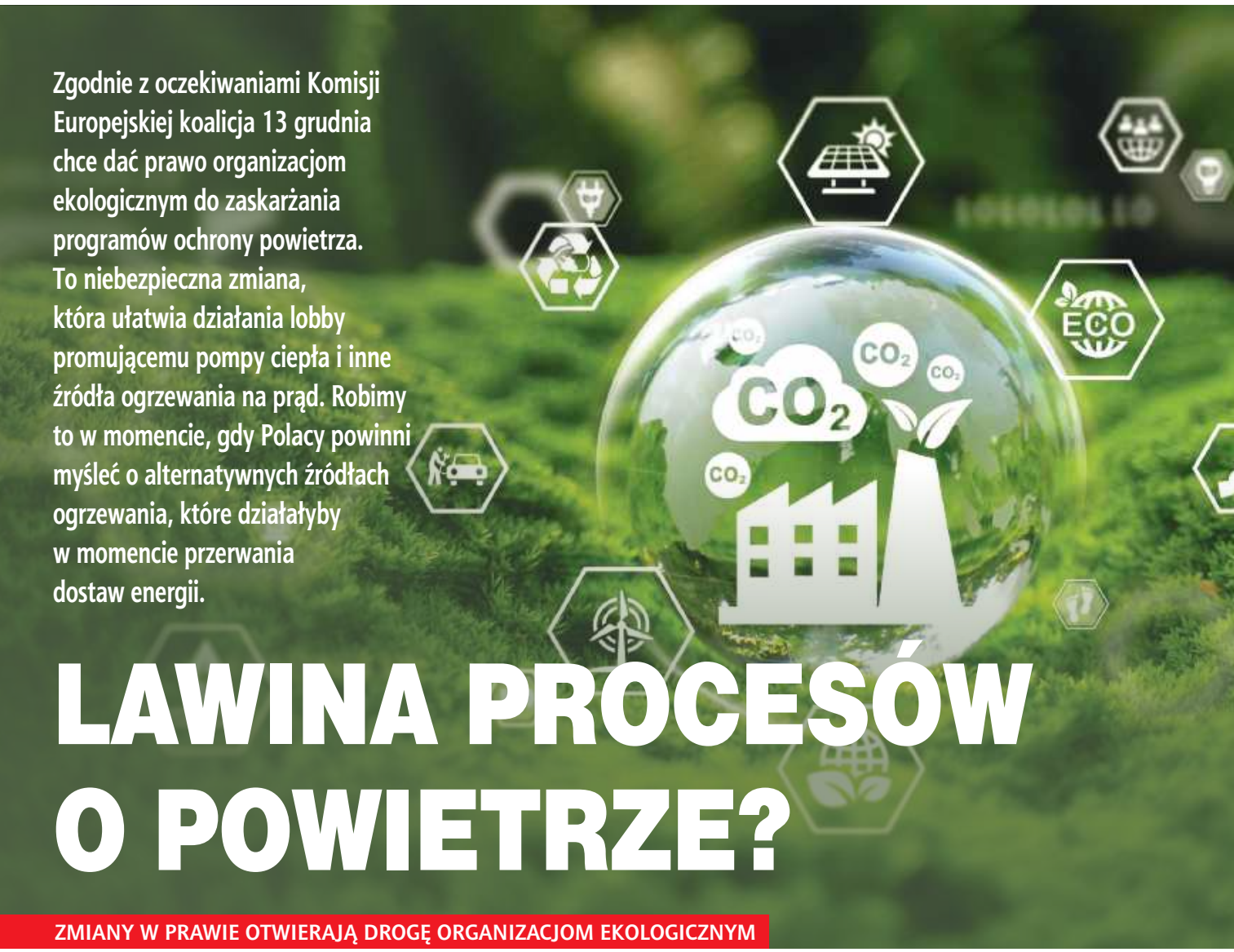

Zgodnie z oczekiwaniami Komisji Europejskiej koalicja 13 grudnia chce dać prawo organizacjom ekologicznym do zaskarżania programów ochrony powietrza. To niebezpieczna zmiana, która ułatwia działania lobby promującemu pompy ciepła i inne źródła ogrzewania na prąd. Robimy to w momencie, gdy Polacy powinni myśleć o alternatywnych źródłach ogrzewania, które działałyby w momencie przerwania dostaw energii.

LAWINA PROCESÓW O POWIETRZE?

ZMIANY W PRAWIE OTWIERAJĄ DROGĘ ORGANIZACJOM EKOLOGICZNYM

Program Ochrony Powietrza to dokument, który ustala, jakie działania należy podjąć, aby poprawić jakość powietrza na obszarach, gdzie przekraczane są normy. Każdego roku do 30 kwietnia Główny Inspektor Ochrony Środowiska (GIOŚ) ocenia poziomy substancji w powietrzu w poszczególnych strefach. Na podstawie tej kwalifikacji w urzędach marszałkowskich pracują zespoły mające poprawić sytuację. Właśnie tam znajdują się przepisy, które obligują na przykład właścicieli nieruchomości do przejścia na bezemisyjne źródła ciepła. Od takich dokumentów można było się odwołać, ale trzeba było mieć interes prawny, czyli ewentualne zakazy powinny dotyczyć użytkowników osobiście. To sprawiało, że często sądy odrzucały protesty organizacji pozarządowych, które nie były w żaden sposób zobowiązane lokalnym prawem.

KE zmienia nam prawo

Dlatego postanowiono zacząć działać przez Brukselę, która z kolei nacisnęła na polski rząd, aby zmienił prawo. Wszystko pod groźbą skargi, którą KE złożyła do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w grudniu ubiegłego roku. Można przeczytać o tym wprost w uzasadnieniu ustawy. „Komisja wskazuje, że polskie sądy administracyjne interpretują wymóg wykazania interesu prawnego w sposób restrykcyjny, odrzucając jako niedopuszczalne skargi wnoszone przez mieszkańców obszaru, którego sprawa dotyczy, oraz przez organizacje ekologiczne, ze względu na brak wykazania interesu prawnego” – czytamy w uzasadnieniu przegłosowanej w zeszłym tygodniu ustawy. Teraz ma być więc tak, że prawo zaskarżania POP, ale także skargi na brak podjęcia uchwał będą mogły złożyć osoby mieszkające na danym terenie, firmy tam działające i… dowolne

Jacek
Liziniewicz
albicla.com/JacekLiziniewicz

organizacje ekologiczne powołujące się na swoje cele statutowe.

Konkretne problemy

Co to oznacza w praktyce? – Można się spodziewać, że czeka nas lawina procesów – mówi nam Krzysztof Motel z Cechu Zdunów Polskich. Jak podkreśla, dotychczasowe sprawy sądowe pokazują, że za organizacjami walczącymi ze smogiem stoi olbrzymi biznes. Największa organizacja Polski Alarm Smogowy współpracuje też z potężnymi grantodawcami z Europy, w tym z Europejską Fundacją Klimatyczną (w której roi się od byłych polityków), ale także z Funduszami Norweskimi. Profesjonalizm widać również po obsłudze prawnej. Tą zapewniają prawnicy Fundacji Frank Bold. To ta sama organizacja, która doprowadziła m.in. do kłopotów kopalnię Turów i która jest zaangażowana w niemal każdy projekt w Polsce dotyczący energetyki.

Czasami jednak i to nie wystarcza. Na początku lipca Naczelny Sąd Administracyjny wydał orzeczenie, w którym uchylił zakaz palenia w kominkach na terenie Mazowsza. Prywatny właściciel zaskarżył POP dla Mazowsza. Wszystko dlatego, że miał nowy dom z kominkiem, który spełniał wszystkie normy jakościowe oraz standardy ekoprojektu, a faktycznie wrzucono go do jednego worka z prymitywnymi paleniskami. Ostatecznie sąd uchylił ten restrykcyjny dokument, który zabraniał palić w kominkach przez 3/4 roku. To jednak wcale nie kończy sprawy. Organizacja Frank Bold podkreśla bowiem, że w zasadzie zakaz został „zaostrzony, bo obecnie obejmuje nie tylko kominki, ale wszystkie urządzenia na paliwo stałe (zarówno biomasę, jak i węgiel), pod warunkiem alternatywnego źródła ogrzewania". – Gdyby doszło do przyjęcia tej ustawy, organizacje społeczne mogłyby zaskarżać programy ochrony powietrza z uwagi na to, że za słabo dociskają właścicieli nieruchomości. Otwiera się tu bardzo szerokie pole. Wydaje się, że w większości województw te dokumenty będą zaskarżane. Celem jest całkowite wykluczenie spalania biomasy w energetyce. Robi się to pomimo tego, że technika grzewcza rozwinęła się w taki sposób, że sprzęt praktycznie nie emituje spalin. Nie da się tego stwierdzić gołym okiem. Organizacje ekologiczne dążą do tego, aby wszystko było na prąd – mówi nam Krzysztof Motel.

Zapomnieli o bezpieczeństwie?

Utrudni to funkcjonowanie całej branży, ponieważ społeczeństwo nie będzie chciało inwestować w technologię, której nie będzie można używać. Sprawa wpłynie również na bezpieczeństwo. Po pierwsze, spalanie biomasy w standardach UE to odnawialne źródła energii. Jest to również liczone do bilansu emisyjnego. Konieczność przestawienia nieruchomości na ogrzewanie na prąd może oznaczać wyższe koszty.

> *Teraz ma być tak, że prawo zaskarżania POP będą mogły złożyć osoby mieszkające na danym terenie, firmy tam działające i... dowolne organizacje ekologiczne.*

Dodatkowo ten segment ciepłownictwa niemal w całości należy do rodzimego biznesu. Polska jest producentem biomasy, ale również kotłów. Okazuje się również, że piece są ważne także z perspektywy bezpieczeństwa. – Biomasa, pellet, zrębki, drewno kawałkowane to nasze bezpieczeństwo energetyczne w ujęciu lokalnym, szczególnie w okresie zimowym. Pompy ciepła nie będą pracować przy braku energii elektrycznej, a zwykły polski kominek to niezależność, bezpieczeństwo i swoboda decyzji, jak ogrzewać swój dom. Przy tej okazji należy wspomnieć, że Polska jest liderem w produkcji kominków, pieców, miejscowych ogrzewaczy pomieszczeń, kotłów na biomasę, a to ważny czynnik krajowej gospodarki i biznesu. Czy kolejne ograniczenia w Programach Ochrony Powietrza doprowadzą do zapaści krajowej branży grzewczej, bankructwa małych firm instalacyjnych oraz utraty tysięcy miejsc pracy w polskim małym i średnim biznesie? – pyta Paweł Sałek z Prawa i Sprawiedliwości. Co ciekawe, na alternatywne źródła ciepła wskazuje również słynny i zachwalany przez rząd poradnik bezpieczeństwa. Wychodzi więc na to, że z jednej strony rząd promuje tworzenie niezależnych od prądu źródeł ogrzewania, ale jednocześnie zmierza do ograniczenia ich używania. **GP**

FOT. ADOBE STOCK/AI

Grzegorz
Wszołek

„JOKER" Z GDYNI W RĘKACH POLICJI

Tak wpadają mordercy dzięki technice DNA

SPRAWIEDLIWOŚĆ PO LATACH

Skończył studia, pracował jako laborant, ożenił się i miał dwójkę dzieci. Wiódł spokojne życie, bez konfliktów z prawem. Michał S. żył w masce – z jednej strony wycofanego mężczyzny, zaangażowanego ojca, a z drugiej zabójcy dziecka i pedofila. Po 15 latach od brutalnego morderstwa 13-letniej Izy Strzałkowskiej dzięki szeroko zakrojonym badaniom DNA śledczy wpadli na jego trop.

Cała Polska była wstrząśnięta śmiercią Izy Strzałkowskiej w sierpniu 2011 roku. Dziewczyna poszła odprowadzić koleżankę na przystanek autobusowy po godzinie 20. Mimo wskazówek mamy, pani Małgorzaty, która doradzała córce wyjście z psem ze względów bezpieczeństwa, nastolatka uznała, że nic jej nie grozi. Przecież było jeszcze widno, a do domu miała kilkaset metrów. Iza mogła wybrać jedną z trzech dróg – w tym ścieżkę wiodącą przez las, której do tragicznego wieczoru unikała. Około godziny 20.40 okoliczni mieszkańcy dzielnicy Dąbrowa w Gdyni usłyszeli krzyki. Ktoś w niebogłosy wołał: „Mamusiu, ratunku!". Małgorzata Strzałkowska, zaniepokojona nieobecnością i brakiem odzewu telefonicznego od córki, po godzinie 22.00 wyszła z psem na spacer. Podeszła pod przystanek, potem skierowała się w stronę leśnej dróżki. Znalazła but, a kilka metrów dalej natrafiła na roznegliżowane zwłoki swojej jedynej córeczki. Policja natychmiast rozpoczęła poszukiwania. Ustalono, że doszło do uduszenia i próby gwałtu, którego ostatecznie nie było – prawdopodobnie dziewczyna się broniła. Sprawca był na tyle zwyrodniały, że pozostawił swój materiał genetyczny na kilku miejscach na ciele ofiary – już po śmierci nieletniej. Matka Izy nie miała wątpliwości – zrobił to ktoś, kto ją śledził, kojarzył i mieszkał blisko. Do ataku na bezbronną nastolatkę doszło 300 metrów od jej domu. Nikt 15 lat temu nie wiedział, że kilkaset metrów dalej mieszka napastnik.

Żył jak każdy z nas

Nie tylko okoliczności zbrodni, ale też to, co działo się później, jest szokujące. Michał S., jakby nic się nie stało, prowadził normalne życie. W chwili dokonania ataku miał 22 lata. Studiował, wyjechał do Bydgoszczy. Tam zaczął biegać w maratonach. Na swoim Facebooku udostępniał zdjęcia i podsumowania biegów, ale nie tylko. Przejrzeliśmy jego wpisy. Niecałe trzy lata po morderstwie podzielił się przemyśleniami, które po fakcie muszą być zastanawiające: „Czasem pewne rzeczy nie wychodzą, tak jakbyśmy chcieli... Trzeba mieć tylko nadzieję, że wypowiedziane słowa nie zmienią zbytnio tego, co było... Trzeba iść dalej z podniesioną wysoko głową i nie martwić się, choć może być to trudne, ale z czasem może będzie lepiej?" – zwierzał się Michał S. To inna jego facebookowa rozterka: „Pewne rzeczy trudno powiedzieć... Myśląc o nich, wydaje się, że jest to bardzo proste, lecz czasem jest jednak odwrotnie... Lecz trudności są po to, aby je pokonać i iść". Na profilu Michała S. znajdziemy filmiki z wieczoru kawalerskiego, zdjęcie ze ślubu z 2018 roku. Są też wątki religijne i polityczne. Mężczyzna skrywający tajemnicę uczestniczył w zlocie katolickiej młodzieży w Lednicy. Agitował przeciwko PiS i prezydentowi Andrzejowi Dudzie. „Pupilek Jarka w 2 turze – będzie żal i pajacowanie przez następne parę lat" – pisał przy okazji wyborów prezydenckich w 2020 roku. „PiS zrobi wszystko, aby utrzymać u władzy Andrzeja Dudę – pseudoprezydenta, marionetkę, bez swojego zdania i słowa. Pupilka jeszcze bardziej zakłamanego Jarosława Kaczyńskiego, człowieka bez skrupułów i sumienia. Ani Duda, ani Trzaskowski nie jest wyborem większości Polaków, którzy chcą zmiany – w II turze możemy wybrać tylko mniejsze zło. Głosując na Dudę, oddajemy rządy w ręce jednego człowieka – zgorzkniałego starca – Jarosława Kaczyńskiego (...)" – analizował, czując się bezkarnie. Mimo piętna brutalnej napaści mieszkaniec Gdyni prowadził zwyczajne życie. Na świat przyszła dwójka jego dzieci, zmienił dzielnicę zamieszkania. Pracował jako laborant, sprawdzając próbki z żywnością i wodą. Jego znajomi z czasu studiów wspominali w „Fakcie", że był totalnie wycofany, unikał imprez, wolał w trakcie posiadówek czytać książki fantasy. Nie dowierzają, że ktoś o takim charakterze mógł napaść na dziecko i je zabić. Wspominali, że Michał S. miał poważne problemy ze słuchem. Nazywali go „Jokerem" – co brzmi szczególnie złowieszczo, bo mowa o psychopatycznym mordercy z filmów, antagoniście Batmana o szyderczym uśmiechu i wymalowanej twarzy.

Genealogia genetyczna pozwoliła złapać mordercę Izy

Michał S. wpadł przez przypadek. Archiwum X, przejmując kilka lat temu śledztwo, jeszcze raz przesłuchało ponad 900 osób i sprawdzało wszystkie tropy. Najważniejszym dowodem był profil DNA sprawcy zabezpieczony na ciele 13-letniej Izy, ale śledczy nie mogli go do nikogo dopasować. Próbkę z materiałem biologicznym przechowywano od 2011 roku w Laboratorium Genetyki Sądowej Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego. Przełomowe okazały się nowoczesna wiedza i metody sprawdzania DNA – mowa o genealogii genetycznej, która pozwoliła wytypować konkretną linię rodzinną napastnika. Metoda stosowana jest z powodzeniem w Stanach Zjednoczonych od dekady. Dzięki niej doszło w 2018 roku do przełomu w ujęciu groźnego przestępcy Josepha Jamesa DeAngelo – byłego policjanta, który z zimną krwią zamordował co najmniej 13 osób w latach 70. i 80. XX wieku w Kalifornii. Na jego koncie były liczne gwałty i włamania. Został skazany po dwóch latach od zatrzymania na dożywocie. „Na podstawie przeszukania baz genealogicznych trafiono na osobnika, który miał podobne do mordercy elementy DNA, co pozwoliło na identyfikację DeAngelo. Obserwując dziś media amerykańskie, niemal codziennie natrafiam na informacje o zidentyfikowaniu dzięki genealogii genetycznej kolejnego sprawcy lub osoby zaginionej.

FOT. KWP GDAŃSK

FOT. FACEBOOK

Schwytania podejrzanego nie doczekała jednak matka Izy. Zmarła pięć lat temu na skutek m.in. traumy po stracie dziecka.

W Polsce mamy już pierwszy przypadek zakończony sukcesem, w Europie było ich kilka" – tłumaczył portalowi „Zawsze Pomorze" prof. Ryszard Pawłowski, kierownik Pracowni Genetyki Sądowej Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego.

Biegli zaczęli porównywać zabezpieczone DNA podejrzanego o zbrodnię w Gdyni z ogólnodostępnymi, komercyjnymi bazami genealogicznymi, do których ludzie dobrowolnie przesyłają swoje DNA, aby odnaleźć krewnych lub poznać swoje pochodzenie. Do amerykańskiej bazy ktoś przekazał wynik zbieżny w dużej mierze z profilem jeszcze nieznanego służbom napastnika. Po opracowaniu drzew genealogicznych z przodkami – począwszy od XVIII wieku – zawężono listę wytypowanych. Oprócz Michała S. sprawdzano jeszcze jednego mężczyznę. Na podstawie przygotowanego stopnia pokrewieństwa odrzucono jego personalia. Pozostał już tylko 37-latek. Intensywne badania z użyciem metod genealogii genetycznej trwały łącznie dwa lata. Michała S. zatrzymano 21 lipca w Gdyni przed jego domem. Na podstawie pobranego materiału biologicznego dwa niezależne od siebie ośrodki z Gdańska i Krakowa potwierdziły, że to on napadł na 13-letnią Izę Strzałkowską w sierpniu 2011 roku. Michał S. przyznał się do winy. Kiedy służby go zatrzymały,

Przełomowe okazały się nowoczesna wiedza i metody sprawdzania DNA – mowa o genealogii genetycznej, która pozwoliła wytypować konkretną linię rodzinną napastnika.

miał krótko powiedzieć, że spodziewał się, że po niego przyjdą. Odmówił jednak składania zeznań, istnieje więc ryzyko, że nigdy nie poznamy motywów i okoliczności tej wstrząsającej zbrodni. Gdyby nie zrządzenie losu, to prawdopodobnie żyłby dalej nieniepokojony przez policję. Schwytania podejrzanego nie doczekała jednak matka Izy. Zmarła pięć lat temu na skutek m.in. traumy po stracie dziecka. Prokuratura sprawdza teraz, czy „Joker" przed lub po napaści na 13-latkę miał związek z innymi morderstwami na terenie Trójmiasta i Bydgoszczy. Michał S. zniszczył życie nie tylko rodziny Izabeli. Z pewnością szok przeżywa jego żona, która prawdopodobnie nie znała kryminalnej przeszłości ukochanego. Informacja o zatrzymaniu 37-latka lotem błyskawicy rozeszła się na gdyńskich forach. Internauci bez trudu namierzyli profil Michała S. na Facebooku, gdzie do dziś trwa zażarta, momentami wulgarna, dyskusja nad motywem sprawy i życiem podejrzanego. Żona mężczyzny usunęła swój profil, zanim opinia publiczna dowiedziała się o akcji służb.

Wpadli dzięki rozwojowi badań DNA

Gdyński przypadek nie jest jedynym w Polsce, gdy po wielu latach napastnik wpadł w ręce policji, nie spodziewając się, że poniesie konsekwencje za zbrodnię z dalekiej przeszłości. Po 29 latach od zamordowania listonosza w gdańskiej Zaspie w lipcu skazany został Jarosław W. W chwili zatrzymania miał 54 lata. Listonosz zginął od strzałów z broni palnej. Od 1997 roku ten, kto pociągnął za spust, unikał odpowiedzialności karnej. Przełom nastąpił dzięki pogłębionym badaniom DNA i zeznaniom nieletniego wspólnika podejrzanego. Akt oskarżenia do sądu trafił w grudniu 2023 roku. Sąd Okręgowy w Gdańsku orzekł 15 lat pozbawienia wolności dla Jarosława W., choć prokuratura domagała się 20 lat.

Funkcjonariusze Archiwum X we współpracy z łódzkimi śledczymi odkryli też, kto stoi za tajemniczą zbrodnią pod Sieradzem z 1994 roku. W lesie znaleziono zwłoki, częściowo zakopane pod ziemią. Policja nie miała wątpliwości, że ofiara została zamordowana. Do lipca nie wiedziano, kto dokonał egzekucji. Podobnie jak w przypadku Michała S., zabezpieczono profil DNA z ciała denata, badano też próbki jego ubrań. Na podstawie wyodrębnionego materiału genetycznego ustalono profil DNA sprawcy. Pasował on do 50-letniego mieszkańca Łodzi, kryminalisty z odsiadką na koncie, który w chwili zabójstwa miał 17 lat. Podejrzany wiedział, że poszukują go służby, ale w zupełnie innej sprawie – niedawnej kradzieży z włamaniem. Ukrywał się w lesie, ale dzięki rozwojowi nauki i kryminalistyki nie mógł tego robić w nieskończoność. Został zatrzymany i w areszcie oczekuje na proces. **GP**

Witold
Gadowski

Dlaczego ludzie GRZEBIĄ PO ŚMIETNIKACH?

Jakie efekty może przynieść zamordowanie wszystkich inwestycji prorozwojowych i odgrywanie roli komplementarnej, broń Boże, niekonkurencyjnej, wobec interesów niemieckich?

Rośnie katastrofalne zadłużenie finansów publicznych, doskwiera bezrobocie, trwają masowe zwolnienia i spada realna siła nabywcza pensji obywateli. Do tego obrazu należy dodać ukrywane przed obywatelami dotowanie obcego, coraz bardziej Polsce nieprzychylnego kraju, jakim jest Ukraina. W tym wypadku nikt nie potrafi wytłumaczyć, jakie względy powodują, że okrada się Polaków tylko po to, aby wysyłać na Ukrainę wciąż nowe dotacje i pomoc. Jaki interes gospodarczy za tym stoi – odpowiadam: żaden!

Jeżeli w gospodarce nie ma towarów będących własnymi markami, to taki system skazany jest na bycie podwykonawcą, uzupełnieniem dla obcych planów i obcego interesu gospodarczego. Jeżeli nawet na słynnym przekopie przez Mierzeję Wiślaną nie zatrudniono polskich firm do pogłębiania toru wodnego wiodącego do Elbląga, tylko – w miejsce Polaków – pojawiły się tam firmy niemieckie i holenderskie, to jakim cudem polska gospodarka ma się rozwijać?

W czasach pierwszych rządów Donalda Tuska z Polski wyjechało prawie dwa i pół miliona młodych i kreatywnych ludzi, zaczęli budować swój byt w Wielkiej Brytanii i kilku innych krajach. Wytworzyła się gigantyczna luka na krajowym rynku pracy, w tę lukę napłynęli obcy, przede wszystkim Ukraińcy. Nie ma sensu dociekać też, czy była to zaplanowana operacja, czy działania chaotyczne, faktów się nie cofnie. Mamy rosnącą mniejszość narodową, która ma coraz większe roszczenia. Do tego dochodzi katastrofalna sytuacja demograficzna Polaków. Będzie to powodowało jeszcze większe napięcia z napływającymi tu obcymi nam kulturowo ludźmi, którzy będą wprowadzać swoje zwyczaje, a wśród nich rozrastającą się korupcję, i drugie, nieformalne, życie gospodarcze. Burzący się porządek społeczny to także wyjątkowy i zupełnie nieplanowany koszt gospodarczy zachodzących u nas przemian.

Koszt niesuwerennych rządów Donalda Tuska jest zresztą coraz większy. Przykładem tego jest właściwie wygaszenie niezbędnego dla rozwoju projektu Centralnego Portu Komunikacyjnego, który został rozmyty niejasnymi deklaracjami i pozorowanymi działaniami. Trwa regres istotnych badań naukowych, które w każdym kraju stoją na czele innowacji i nowych technologii, które zawsze są przecież najważniejszymi czynnikami bogacenia się narodów i wzrostu stopy życiowej. Brak wspierania rozwoju najnowszych technologii odbija się fatalnym echem w całej gospodarce. Rosną czarne leje służby zdrowia i systemu emerytalnego, które prędzej czy później doprowadzą do katastrofy publicznych finansów państwa.

Jeżeli nawet na słynnym przekopie przez Mierzeję Wiślaną nie zatrudniono polskich firm do pogłębiania toru wodnego wiodącego do Elbląga, tylko – w miejsce Polaków – pojawiły się tam firmy niemieckie i holenderskie, to jakim cudem polska gospodarka ma się rozwijać?

Krach budżetowych finansów zbiega się niestety z lawinowo rosnącymi długami polskich samorządów. Finanse dużych miast chwieją się coraz mocniej i tylko księgowe sztuczki powodują, że – z powodu bankructwa – nie rządzą w nich jeszcze komisarze.

Rozbudowany program zasiłków społecznych coraz częściej staje się łupem zorganizowanych grup przestępczych – przede wszystkim ukraińskich.

Sytuacja polskiej gospodarki – od czasu wprowadzenia przez Mateusza Morawieckiego tzw. Polskiego Ładu – stale się pogarsza i niestety wróciły obrazy dobrze ubranych ludzi, którzy grzebią po śmietnikach. To dużo ważniejszy miernik stanu gospodarki kraju niż bełkotanie opłaconych „ekspertów”. **GP**

Krzysztof
Wołodźko

TANIE I GŁUPIE PAŃSTWO TUSKA
PRZEPIS NA KATASTROFĘ

„Strona internetowa jest niedostępna: ERR_CONNECTION_RESET" – krótki komunikat pojawiający się po próbie załadowania rządowego „Poradnika bezpieczeństwa" budzi od wielu dni gromki śmiech. A przecież historia felernego alertu RCB powinna wywoływać trwogę. Ekipa Donalda Tuska to już nie tylko tanie państwo. To państwo głupie i stwarzające dodatkowe ryzyka w i tak niepewnych czasach.

PUBLICYSTYKA

Historia rosyjskiej rakiety Ch-101, która w nocy z 29 na 30 lipca wybuchła na polach niedaleko miejscowości Tarnawa-Kolonia na Lubelszczyźnie, od wielu dni żyje swoim życiem. Inaczej, rzecz jasna, sprawę opisują branżowe portale militarne, skupione na technicznych i wojskowych sprawach; na inne aspekty zwracają specjaliści od bieżącej polityki. Olbrzymi jest również memogenny potencjał obrazków z premierem Donaldem Tuskiem, szefem MON Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem i ministrem od spraw wewnętrznych i pogłosu Marcinem Kierwińskim. Metafora gangu Olsena, rozpowszechniona za poprzednich rządów Donalda Tuska, jeszcze zanim został przewodniczącym Rady Europejskiej (2014–2019), znów ożyła. Nigdy nie byłem do niej do końca przekonany, bo fajtłapowata ekipa kryminalisty Egona była raczej śmieszna niż straszna. W tym wypadku sytuacja jest odwrotna: nawet jeśli rządy „gdańskiego liberała" to dla nas śmiech przez łzy, to aspekt politycznego thrillera przeważa nad elementami komediowymi. A im mniej niespokojny świat wokół nas, im większe wyzwania dla polskiego bezpieczeństwa, tym bardziej robi się ponuro, że rządzą ludzie, których do władzy wyniosły przede wszystkim kulturowe kompleksy, postkomunistyczne zależności i brzydkie nieraz interesy elit III RP.

Nic nie działa

W piątek 31 lipca o godz. 7.31 jako przykładny obywatel kliknąłem w link alertu RCB: „Bądź przygotowany. Pobierz: poradnikbezpieczenstwa.gov.pl". Okazało się, że gorzej ode mnie przygotowani są ludzie, którzy kazali wysłać alert. Chwilę później było już głośno o tym, że link z dokumentem nie chce się załadować. A kolejne informacje potwierdzały fatalną komunikację między rządem a społeczeństwem w tak ważnej dla bezpieczeństwa Polaków sprawie.

Alert był tak naprawdę plasterkiem na głęboko zionącą ranę, miał poprawić wizerunek ekipy Donalda Tuska. I pokazywać, że rząd się troszczy i trzyma rękę na pulsie. W zamian trzynastogrudniowcy zafundowali sobie jeden z największych blamaży od przejęcia władzy zimą 2023 roku. Im głębiej poskrobać, tym lepiej widać, jak groteskowo spełnia się w tej sprawie łacińskie powiedzenie: „Finis coronat opus" („Koniec wieńczy dzieło"). Wiemy przecież, że po naruszeniu polskiej przestrzeni powietrznej przez rosyjską rakietę alarm powinien był zabrzmieć w 17 powiatach. Jednak w aż 10 z nich nie włączono syren! System ostrzegania ludności nie zadziałał prawidłowo – choć nieco wcześniej był ćwiczony w całym kraju. Gdy do tego dodamy obrazek najważniejszych polityków w kraju, tak butnych i zadufanych w sobie, gdy krytykują swoich poprzedników, i tak niewyraźnych i mętnych, gdy schodzi na ich własne rządy, dostajemy smutne podsumowanie: oto tanie i głupie państwo Donalda Tuska.

Zabawny chichot historii: rzadko kto pamięta, że hasło „tanie państwo" pojawiło się jeszcze w czasach pierwszych rządów Prawa i Sprawiedliwości. Już wówczas nie podobało się środowisku lewicy społecznej, sam pomstowałem, że partia Jarosława Kaczyńskiego sięga po tego rodzaju motywy. Wtedy chodziło o oszczędności na biurokracji – wątek dobrze widziany także przez część liberalnej rynkowo prawicy. Jeszcze zabawniejsze jest to, że w trakcie wyborów parlamentarnych w 2007 roku Donald Tusk wykonał manewr, z którym kojarzymy go do dzisiaj: przejął koncepcję „taniego państwa" i wprost powołał się na nie w swoim ówczesnym exposé. Na tym jednak nie koniec: w wykonaniu jego ekipy przestało już chodzić o jakiekolwiek racjonalne oszczędności.

Likwidowali, co się da

Koncepcja taniego państwa stała się pretekstem do ultraliberalnej demolki kraju: minister Michał Boni zaczął program wielkich oszczędności w prowincjonalnych placówkach oświatowych, co poskutkowało m.in. głośnym ruchem ponad podziałami: „Stop likwidacji bibliotek". W tamtych

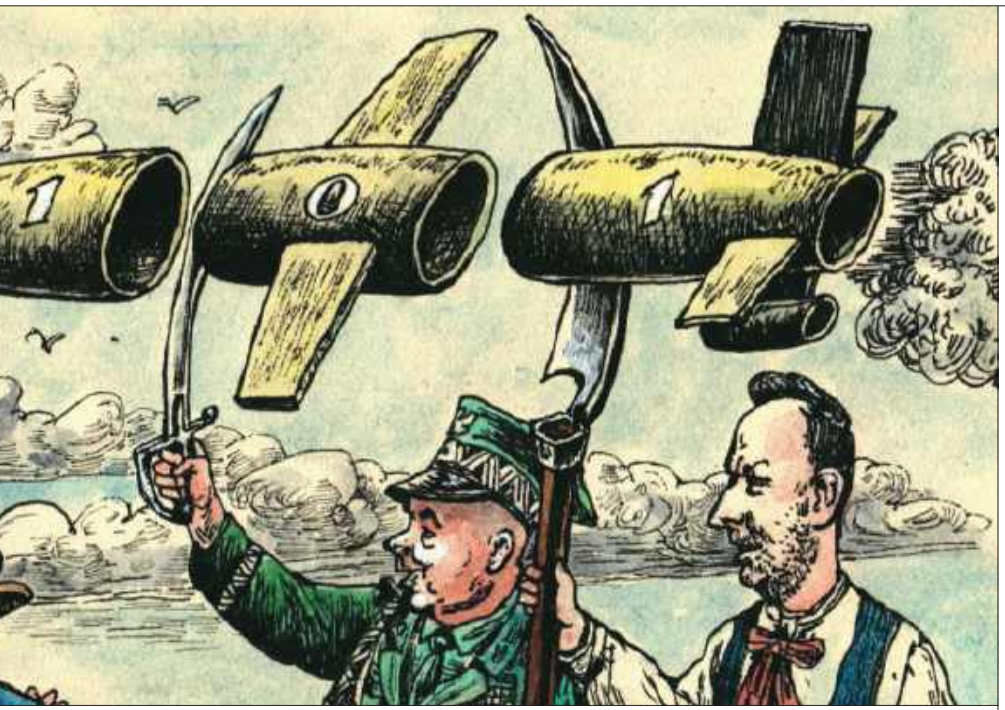

latach zlikwidowano również 1146 szkół w całej Polsce – niż demograficzny służył jako pretekst do realizacji hasła: „pieniędzy nie ma i nie będzie". Do dziś nie potrafię się nadziwić, że środowisko nauczycielskie, mocno doświadczone realiami rządów PO-PSL, wciąż na nowo daje kredyt zaufania tej ekipie. Nie przesadzam: raport NIK dotyczący tamtych czasów mówił jasno, że systemowa likwidacja szkół w latach 2007–2014 skutkowała częściową utratą miejsc pracy dla pracowników oświaty: „W kontrolowanych gminach zatrudnienie w innych szkołach gminnych lub nowo powstałych szkołach znalazło 68,5 proc. nauczycieli szkół zlikwidowanych. Nauczyciele przechodzący do nowo powstałych szkół otrzymywali wynagrodzenie średnio o 40 proc. niższe od przeciętnego wynagrodzenia nauczycieli szkół gminnych przy jednocześnie zwiększonym o 28 proc. wymiarze godzin dydaktycznych". A przecież mówimy o czasach, gdy programy socjalne PiS jeszcze nikomu się nie śniły, a płaca minimalna szorowała po dnie.

Głośno było oczywiście o zamykaniu jednostek wojskowych za rządów PO-PSL. Wbrew temu, co później próbowali wmówić opinii publicznej politycy rządzący Polską w tamtych latach, straty były realne. Powołam się na dane Demagoga: „Za rządów PO-PSL zlikwidowano następujące jednostki wojskowe na wschodzie kraju: 1. Siedlecki Batalion Rozpoznawczy, 1. Warszawską Dywizję Zmechanizowaną im. Tadeusza Kościuszki w Legionowie oraz 3. Brygadę Zmechanizowaną Legionów im. Romualda Traugutta w Lublinie". Faktcheckingowy ośrodek przypominał równocześnie, że „w trakcie rządów Prawa i Sprawiedliwości utworzono 18. Dywizję Zmechanizowaną, której celem jest wzmocnienie ściany wschodniej. W skład dywizji weszły dotychczas istniejące jednostki, a także nowo powstałe, m.in.: 19. Lubelska Brygada Zmechanizowana, 18. Pułk Logistyczny z Łomży i 18. Batalion Dowodzenia z Siedlec". A to przecież tylko drobny przykład diametralnie różnego podejścia do sprawy bezpieczeństwa Polski między rządzącą do niedawna centroprawicą a gangiem Olsena, który za coraz bardziej przerażonym uśmiechem usiłuje ukryć prawdę o swojej nieudolności.

Komu dobrze w antypaństwie?

Być może koncepcje taniego państwa i państwa jako nocnego stróża nie spotkałyby się w 2015 roku z tak dużym oporem społecznym, gdyby nie ośmiorniczki totumfackich Donalda Tuska. Nagrania z nieistniejącej już warszawskiej restauracji Sowa i Przyjaciele, położonej zresztą niedaleko siedziby Ministerstwa Sprawiedliwości przy ul. Czerniakowskiej, pokazały, że Polska platformerskich elit ma się dobrze. Tylko że żeruje na całej reszcie państwowego organizmu. Przedstawiona przez Bartłomieja Sienkiewicza wizja państwa („Ch..., d... i kamieni kupa") zabrzmiała jak dzwonek alarmowy. W 2015 roku chyba tylko najwięksi pożyteczni idioci wierzyli w polsko-putinowski reset. Ale elity od ośmiorniczek cieszyły się z antypaństwa, bo gwarantowało im luksusową konsumpcję – choćby nawet z ludźmi z rosyjskich służb.

Tanie i głupie państwo Donalda Tuska siłą bezwładu zmierzało ku geopolitycznej katastrofie: tzw. elit III RP nie stać było na jakikolwiek wysiłek intelektualny i merytoryczną aktywność, która wyzwoliłaby Polskę z logiki narzuconej przez niemiecko-rosyjski pakt, znany jako Nord Stream 1 i Nord Stream 2. Nikt też na serio nie myślał o jakiejkolwiek infrastrukturze obronnej, która zabezpieczałaby ludność cywilną. Nie bez powodu: ekipa Tuska wierzyła i wciąż chyba nadal wierzy, że na dobrą sprawę to rynek ma zawsze rację. Aż do zmiany władzy w Polsce w 2015 roku pojawiały się kolejne pomysły na niszczenie systemowych zabezpieczeń, łączących swprawną infrastrukturę z efektywną administracją: od likwidacji stacji epidemiologicznych po zamykanie sądów powiatowych – Tusk był zwolennikiem każdego rozwiązania, które zdejmowałoby z niego odpowiedzialność za kolejne fragmenty niszczonych elementów publicznej infrastruktury. Najłatwiej być przecież premierem, który w każdej sprawie może umyć ręce. Widzieliśmy w ostatnich dniach, oglądając premiera przepytywanego przez reportera TV Republika, że tak to właśnie wygląda.

Czy gangowi Olsena znów uda się umknąć przed polityczną odpowiedzialnością? Nietęga mina faceta, nazywanego w pewnych mało szacownych kręgach „kierownikiem", pokazuje, że lider trzynastogrudniowego układu coraz bardziej obawia się gniewu suwerena. I słusznie: tanie i głupie państwo naprawdę jest państwem sezonowym. Tusk musi przestać rządzić. Inaczej pewnego dnia obudzimy się z komunikatem znacznie poważniejszym niż: „Strona internetowa jest niedostępna: ERR_CONNECTION_RESET". **GP**

RYS. RAFAŁ ZAWISTOWSKI

Wojciech
Mucha

Krajobraz PO GRILLU

Gdybym był złośliwy, powiedziałbym, że przedstawiane jako „grill" spotkanie środowiska Rozwoju Plus to zasługa... prezesa Prawa i Sprawiedliwości. I nie, wcale nie dlatego, że powstanie tego klubu poselskiego, a za chwilę zapewne partii politycznej, to konsekwencja rozłamu w PiS, ale dlatego, że przecież nikt inny jak Jarosław Kaczyński powiedział w 2009 roku, że fakt, iż Polacy mogą grillować, to zasługa jego rządów. Skoro tak, to grillować może i Morawiecki, nieprawdaż?

PUBLICYSTYKA

Żarty jednak na bok, bo spotkanie członków i sympatyków „rozłamowców plus" urosło w przestrzeni medialnej niemal do wydarzenia wakacji, przyćmiewając rocznicę prezydentury Karola Nawrockiego, aferę w Warszawskim Szpitalu Południowym i upadek rosyjskiej rakiety.

Czy słusznie? Chyba tak. I choć tuż przed nim Piotr Muller, rzecznik rządów Morawieckiego i członek Stowarzyszenia Rozwój Plus, mówił: „Nie będzie dziś ogłoszonego żadnego projektu politycznego. Obiecaliśmy uczestnikom tego wydarzenia, że to nie będzie miało charakteru partyjnego". To „dziś" miało się okazać szczególnie ważne.

Wzięli namiot i poszli

O tym, że do „grilla" dojdzie 31 lipca, wiadomo było jeszcze przed formalnymi decyzjami dotyczącymi Mateusza Morawieckiego i towarzyszących mu parlamentarzystów, którzy finalnie zdecydowali się nie podpisać słynnej lojalki i opuścić PiS, by założyć odrębny klub parlamentarny. – Chcemy, żeby Prawo i Sprawiedliwość było rzeczywiście partią szerokiego namiotu – mówił ówczesny poseł PiS, a dziś „rozwojowiec", prof. Krzysztof Szczucki.

Wiemy, że stało się inaczej – pisowski namiot się skurczył, a z kolei namiot sympatyków „Rozwoju" rozbił się na warszawskiej Pradze po potężnej awanturze, zakończonej deklaracją opuszczenia partii przez ludzi byłego premiera. I choć mówiono, że obecność na tej imprezie jest równoważna co najmniej z deklaracją sympatii dla Morawieckiego, to obecność niektórych gości może rzeczywiście zaskakiwać.

Kto by pomyślał, że „namiot" będzie tak szeroki, że znajdzie się pod nim miejsce dla Janiny Goss, wyrzuconej niedawno z PiS za niepłacenie składek, wieloletniej przyjaciółki Jarosława Kaczyńskiego? Dodajmy do tego lewicowego posła Marcina Józefaciuka czy Sylwestra Chruszcza, byłego posła do Parlamentu Europejskiego, którego kariera polityczna obejmuje m.in. współtworzenie prorosyjskiej partii Zmiana (wspólnie z podejrzewanym o szpiegostwo Mateuszem Piskorskim), a potem pobyt w Kukiz'15 i w Prawie i Sprawiedliwości.

Na „grillu" mijali się ze sobą na przykład członkowie lewicowych partii i znany doskonale Czytelnikom „Gazety Polskiej" opozycjonista z czasów PRL Ryszard Majdzik. Wokół Morawieckiego pojawili się także „emisariusze z Krakowa", chcący załatwić poparcie „Rozwoju" dla Jana Hoffmana, kandydata na prezydenta miasta, związanego przed laty z Unią Wolności inicjatora referendum (o tym, że środowisko „Rozwoju" skłania się ku poparciu kandydata PiS Michała Drewnickiego, pisaliśmy w ubiegłym tygodniu).

Ogółem przez wydarzenie „Rozwoju" miało według organizatorów przewinąć się nawet tysiąc uczestników: młodych ludzi, osobników wskazywanych jako „pisowskie krety", liderów opinii, osób znanych ze środowisk prawicowych – byłego Ruchu Kukiza czy Klubów „Gazety Polskiej" – a także wielu „normalsów" rejestrujących się indywidualnie.

Mała Warszawa, wielki projekt (light)

Wszyscy oni w piekielnym upale przez cały dzień krążyli po zlokalizowanej

Pisowski namiot się jednak skurczył, a z kolei namiot sympatyków „Rozwoju" rozbił się 31 lipca na warszawskiej Pradze po potężnej awanturze, zakończonej deklaracją opuszczenia partii przez ludzi byłego premiera.

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

na warszawskiej Szmulowiźnie przestrzeni konferencyjnej „Mała Warszawa". Miejsce to symboliczne, bo to tutaj swój wieczór wyborczy organizował prezydent Karol Nawrocki.

Gdy spojrzeć na wydarzenia odbywające się przez cały dzień, trudno nie zgodzić się z jednym z moich rozmówców, który choć całej sprawie nie był przychylny, to podsumował ją celnie: „Polski Wielki Projekt Light". Nawiązał w ten sposób do serii debat środowisk konserwatywnych organizowanych z różnym skutkiem od 2011 roku. Owo „light" nie jest tu oczywiście bez znaczenia, szczególnie biorąc pod uwagę zakres tematyczny organizowanych, wyraźnie pod umiarkowanego słuchacza – przyszłego wyborcę „Rozwoju" – paneli dyskusyjnych.

Bo choć w momencie, gdy słońce było w zenicie, odbył się, owszem, panel „Prawica 2027. Jak wygrać wybory i poszerzyć poparcie?", którego uczestnikami byli: Robert Winnicki, Bronisław Wildstein, Bogusław Sonik i Marek Jurek, to już panel mówiący o wykluczeniach i lewicowej perspektywie na kwestie rozwojowe okazał się plejadą popularnych w środowiskach związanych m.in. z Partią Razem i szeroko pojętymi aktywistami postaci, których nazwiska mogą Państwu niewiele mówić. Panel ów prowadził poseł (do niedawna PiS) Marcin Horała.

Panel zresztą interesujący, a goście w dość ostrych słowach krytykowali niektóre pomysły gospodarcze zarówno PiS, jak i środowiska „Rozwoju". Zresztą – akurat ta debata rozjuszyła co bardziej krewkich publicystów – zdaniem Łukasza Warzechy miał nawet „pokazywać kierunek obrany przez Morawieckiego". To raczej nieprawda, a zaproszenie do tego grona traktować

raczej należy jako ukłon wobec młodszych wyborców będących na lewo od PiS.

Na przedstawianie całej, dość rozbudowanej agendy nie ma miejsca. Dodajmy do tego więc panel poświęcony demografii, przedstawianej jako jedno z najważniejszych wyzwań. Ta dyskusja, choć ciekawa, nie była wolna od uproszczeń, co zauważył m.in. wspomniany i w ostatnich miesiącach zaskakująco trzeźwo myślący poseł Józefaciuk.

„Niestety, wyszedłem rozczarowany. Podczas panelu słowo »mężczyzna« padło raz lub dwa – w kontekście samotności mężczyzn. Słowo »ojciec« również pojawiło się jednostkowo. Było za to wiele o kobietach, żonach, matkach (…). Problemy kobiet i matek są realne i wymagają rozwiązań. Nie kwestionuję tego. Ale polityki demograficznej nie da się prowadzić tak, jakby dzieci pojawiały się bez mężczyzn, a rodzina składała się wyłącznie z matki i państwowego transferu" – napisał poseł Marcin Józefaciuk na X.

Szerokie horyzonty i nowe silniki rozwoju

Największą gwiazdą miał jednak być i był Mateusz Morawiecki, który w otwierającym wydarzenie przemówieniu przedstawił je jako „laboratorium idei" i omówił dwa raporty wypracowane przez „Rozwój" – jeden o wspomnianej demografii, a drugi o presji migracyjnej i związanych z tym wyzwaniach.

– Coś się stało dwa i pół roku temu. Mieliśmy szansę kontynuować naszą misję, ale nasza misja została przerwana. Nasza misja naprawy Rzeczypospolitej i budowy silnych fundamentów pod wielki gmach Rzeczypospolitej została przerwana. Zabrakło nam zdolności do porozumienia się z innymi, chociaż wybory wygraliśmy. Wybory wygraliśmy, ale kto inny rządzi – stwierdził Morawiecki.

– Dlatego tu jesteśmy, żebyśmy potrafili się porozumiewać. I to także z tymi, którzy nas krytykują, ale którzy rozumieją, że ten system tuskizmu musi upaść i upadnie – przekonywał.

Podobnie mówił Morawiecki w głównym wydarzeniu, a więc debacie kończącej „grilla" (samo grillowanie potraw mię-

Choć drwiny byłych kolegów z Prawa i Sprawiedliwości trwały w sieci nieprzerwanie przez cały dzień, trudno nie uznać frekwencji na „grillu" Mateusza Morawieckiego za sukces.

snych, na które dyspensy udzielił właściwy dla warszawskiej Pragi biskup, zakończono wcześniej, a alkohol pojawił się na krótko przed tą dyskusją, by zniknąć do jej zakończenia).

Wówczas to w moderowanej przez byłego szefa Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych Sławomira Dębskiego dyskusji udział obok Morawieckiego wzięli publicysta Jan Rokita i gen. Rajmund Andrzejczak, dziś wspólnie z Dębskim również realizujący się jako publicysta były szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Szerzej znany z niespodziewanej wolty, kiedy to tuż przed wyborami w 2023 roku zrezygnował ze stanowiska, a decyzja ta jest postrzegana jako gwóźdź do trumny wyniku wyborczego Zjednoczonej Prawicy.

O tym jednak nie było, a całość rozmowy istotnie uznać należy za bardzo interesującą i momentami dość kontrowersyjną, jak wówczas, gdy Rokita dość prowokacyjnie stwierdził, że „każda" (w domyśle również autorytarna czy odwołująca się do symboliki związanej z SS Galizien) Ukraina powinna być traktowana jako sojusznik Polski. Rokita tłumaczył to faktem, że Polska jest krajem zbyt silnym, by się tym przejmować, a korzyści z niezłomności Kijowa są przeważające. Głos ten wywołał wiele zrozumiałych emocji, również po zakończeniu dyskusji.

Za najważniejszy jej punkt uznać należy jednak to, co powtarzał jak mantrę sam lider „Rozwoju" – konieczność wypracowania nowej strategii wobec zmieniających się wyzwań i faktu, że dotychczasowe modele rozwoju Polski (wolny rynek i interwencjonizm państwowy) wyczerpały się. Morawiecki przekonywał przy tym, że hamulce rozwoju, takie jak polaryzacja polityczna czy podważanie polskiej tożsamości, stanowią dodatkową przeszkodę. Receptą na to ma być zdaniem byłego premiera m.in. „wprzęgnięcie wydatków na obronność w polski przemysł, ale także realizm w ocenie własnego potencjału" (Morawiecki kpił m.in. z przydawania wagi obecności Polski w G20, wskazując, że nasz realny potencjał jest dużo niższy, i przestrzegał przed optymizmem). Za rację stanu uznał natomiast podtrzymywanie zdolności obronnych Ukrainy. Te tezy Rokita uznał za „bardzo potrzebny język powagi".

Po grillu – pizza!

I choć drwiny byłych kolegów z Prawa i Sprawiedliwości trwały w sieci nieprzerwanie przez cały dzień, trudno nie uznać takiej frekwencji za sukces. Sam „będący wszędzie" i chętnie rozmawiający z każdym, a ze względu na temperaturę przebierający się kilkukrotnie Morawiecki miał być „zachwycony" i zapowiedział już po fakcie, że powołanie nowej partii jest tylko formalnością.

– Teraz, kiedy nasze członkostwo jest martwe, czyli zostaliśmy usunięci całkowicie z Prawa i Sprawiedliwości, to mogę powiedzieć, że rzeczywiście taką partię założymy. 15 października to będzie ten moment – oznajmił w rozmowie na kanale youtube'owym Rymanowski Live.

Do tej symbolicznej daty jeszcze ponad dwa miesiące, środowisko „Rozwoju" nie zamierza jednak próżnować. Już po oddaniu do druku niniejszego tekstu, w piątek 7 sierpnia, miało się odbyć spotkanie środowiska Morawieckiego z mieszkańcami wrocławskiego Jagodna, miejsca znanego jako bastion wyborców koalicji 13 grudnia. To tam do długich kolejek wyborczych dostarczano słynną już pizzę.

„Halo, Jagodno! W najbliższy piątek o 18 spotkajmy się we Wrocławiu! Będzie pizza i czas na rozmowy!" – napisał na X były premier.

Po grillu więc pizza – przez żołądek do wyborczego serca. I nie ma wątpliwości, że to dopiero początek „Rozwoju". **GP**

KUP TERAZ

Kup prenumeratę **e-wydania** Gazety Polskiej i czytaj najważniejsze teksty wcześniej niż inni!

Dziś niezależne dziennikarstwo to placówka frontowa. W świecie zdominowanym przez polityczne naciski, **Twoja prenumerata** to nie tylko dostęp do prawdy – **to realne wsparcie** dla redakcji, która nie boi się zadawać trudnych pytań.

Dlaczego warto wybrać wersję cyfrową?

Szybkość: Czytasz wcześniej niż inni.
Wygoda: Całe archiwum w Twoim komputerze, telefonie i tablecie.
Solidarność: Każda subskrypcja to „cegiełka" na rzecz wolnego słowa.

JAK KUPIĆ PRENUMERATĘ W 60 SEKUND

1. Wejdź na: **prenumerata.swsmedia.pl**
2. Wybierz pakiet **Gazety Polskiej.**
3. Opłać (BLIK, karta, przelew) **i czytaj natychmiast!**

TWOJE WSPARCIE MA ZNACZENIE

GAZETA POLSKA

Piotr
Grochmalski

BEZBRONNA POLSKA TUSKA

W ciągu zaledwie kilku dni Polacy doznali szoku – ujrzeli Rzeczpospolitą pod rządami ekipy 13 grudnia jako rozpadające się, bezbronne państwo. Atak pocisku manewrującego Ch-101 w czwartek 30 lipca o godz. 3.48 spowodował blamaż rządu. Syreny alarmowe włączono, gdy było już po wszystkim. A Rządowe Centrum Bezpieczeństwa nie rozesłało żadnej informacji do obywateli o tym, co się dzieje.

PUBLICYSTYKA

Potem okazało się, że posypało się wszystko, bo w 10 z 17 powiatów województwa lubelskiego nie uruchomiono nawet syren – ktoś zaspał albo informacja dotarła zbyt późno.

Aby ratować twarz, rząd wymyślił na kolanie propagandową akcję, klasyczna prowizorka. Marcin Kierwiński wysłał SMS-em masowy alert RCB (Rządowego Centrum Bezpieczeństwa) z linkiem do „Poradnika bezpieczeństwa", broszury, na którą jego resort wydał 58 mln zł, a potem pocztą, pół roku temu, dotarła ona do milionów Polaków.

Rozesłanie teraz wiadomości SMS do kilkunastu milionów obywateli jednocześnie z wezwaniem do kliknięcia w jeden link musiało doprowadzić do efektu zbliżonego do ataku DDoS. To bodaj pierwszy odnotowany przypadek na świecie, gdy rząd dokonuje cyberataku na własne państwo. Odnotowano 150 tys. pobrań na minutę. Przeciążone serwery rządowe się poddały.

Minister Kierwiński sparaliżował kluczowe węzły autoryzacji, co na kilka godzin załatwiło cały system regulujący kontakty obywateli z administracją. A Rosja uzyskała bezcenne informacje dotyczące parametrów brzegowych systemu. Kierwiński ośmieszył całą ekipę. Podważył też zaufanie obywateli do RCB.

Minister naruszył też własne zasady bezpieczeństwa systemu. Rządowe Centrum Bezpieczeństwa (RCB) przez lata wielokrotnie ostrzegało obywateli w oficjalnych komunikatach, że prawdziwe alerty bezpieczeństwa nigdy nie zawierają linków, aby nie uczyć ludzi klikania w potencjalne wiadomości phishingowe. Wysłanie wiadomości o treści „MSWiA: bądź przygotowany" z bezpośrednim odnośnikiem zaprzeczyło dotychczasowej polityce edukacyjnej.

Parodia profesjonalizmu

Jeszcze 30 lipca, po przebadaniu przez prokuraturę leja powstałego po eksplozji Ch-101, służby starannie go zasypały. Ale dwa dni później, w sobotę 1 sierpnia, prokuratura wróciła i odkopała dziurę, bo okazało się, że zapomnieli ważnej części. A potem dół znowu zakopano.

Ale wówczas dziennikarze i grzybiarze z okolicy nadal znajdowali elementy Ch-101. Liczy się każdy detal, choć najważniejszy jest komputer pokładowy z wgranym celem i trasą lotu maszyny. Gdyby ocalał, mielibyśmy twardy dowód na to, co było celem rosyjskiej agresji.

Tymczasem zaledwie cztery dni przed uderzeniem Ch-101 prokuratura odnotowała inny gigantyczny skandal. Po tym, jak sędzia ppłk Radosław Hunek z Wojskowego Sądu Okręgowego w Warszawie 26 lipca uniewinnił w pierwszej instancji żołnierza, którego ludzie Tuska ścigają za to, że oddał na granicy polsko-białoruskiej w marcu 2024 roku 12 strzałów, prokuratura Waldemara Żurka złożyła apelację. Tusk może deklarować, że stoi murem za polskim mundurem, ale w armii wiadomo, że jest to tandetna propaganda.

Takie działania Żurka muszą wpływać demoralizująco na żołnierzy i kadrę oficerską. A realna jest coraz większa rosyjska presja na Polskę. Dzień po potężnej eksplozji Ch-101, 31 lipca, dyżurna para F-16 przechwyciła rosyjski samolot szpiegowski Ił-20 zaledwie 40 kilometrów na północ od Kołobrzegu. Potem Tusk zniknął z przestrzeni publicznej, bo w Polsce odbywały się uroczystości upamiętniające wybuch Powstania Warszawskiego.

Niekończąca się seria katastrof

3 sierpnia ujawniono kolejne przechwycenie rosyjskiego Iła-20, około 60 kilometrów od

FOT. KW PSP LUBLIN

Łeby. Potem doszło do kolejnej serii szokujących wydarzeń.

We wtorek 4 sierpnia odkryto na niemieckich stronach rządowych ujawnioną przez Berlin już 29 lipca treść umowy o współpracy obronnej RFN i Polski, zawartej 17 czerwca 2026 roku. Była ona skrzętnie przez ekipę Tuska ukrywana przed opinią publiczną. Powód jest oczywisty. To wstrząsający dokument, skrajnie niekorzystny dla Polski, budujący grunt pod stopniowe wchłanianie naszej armii na wzór holenderskich sił lądowych, które dziś stanowią integralną część trzech dywizji Bundeswehry. Cały proces w przypadku Holandii rozpoczął się w 2014, a zakończył w 2023 roku.

W świetle strategicznych deklaracji RFN o przebudowie Bundeswehry do 2039 roku, a więc do okrągłego stulecia napaści na Polskę, w najsilniejszą armię Europy ten krok musi niepokoić. A umowa stworzyła rozbudowane, pięciostopniowe struktury organizacyjne mające głęboko wniknąć w nasz militarny system bezpieczeństwa.

Wszystko to trzeba widzieć w kontekście planów przedstawianych przez emerytowanego gen. Wałerija Załużnego, który dowodził armią ukraińską przez pierwsze dwa lata wojny, do lutego 2024 roku. Załużny przekonuje, że Ukraina nie jest zainteresowana wejściem do NATO. Uważa, że ukraińska armia powinna stać się filarem w europejskim systemie obronnym, budowanym głównie przez Niemcy.

Tego samego dnia, 4 sierpnia, eksplodowała inna informacja, że Fundacja „Zryw", której fundatorem i członkiem zarządu jest Alexander Sikorski, najstarszy syn szefa MSZ Radosława Sikorskiego, użytkuje sprzęt o wartości ponad 141 tys. zł należący do rządu Niemiec. Szokujące, przerażające, ale nie dla ekipy Tuska-Sikorskiego.

To pozwala inaczej spojrzeć na ukrywaną przez ekipę 13 grudnia treść dokumentu z 17 czerwca 2026 roku. Jeden z wybitnych ekspertów od działań obcych służb specjalnych (nie ujawniam jego danych z uwagi na jego bezpieczeństwo) stwierdził, że trzeba zadać fundamentalne pytanie: „Jak się to ma do dostępu ministra do materiałów zawierających informacje niejawne? Jak się to ma do osłony kontrwywiadowczej rządu, do wydania dla Sikorskiego poświadczenia bezpieczeństwa?".

Tego też dnia polskie myśliwce przechwyciły rosyjski samolot rozpoznawczy Ił-20M 56 kilometrów na północny zachód od Koszalina. Był to ósmy taki incydent od początku roku, a czwarty w ciągu ostatniego miesiąca.

Tego samego 4 sierpnia w centrum Warszawy, podczas remontu torowiska tramwajowego w Alei Solidarności, odkryto niewybuch. Już o godzinie 7 rano policja otrzymała sygnał. Ale wojskowy patrol saperski rozpoczął prace po siedmiu godzinach od odkrycia zagrożenia. Ani policja, ani straż miejska przez te długie godziny nie wyznaczyły strefy bezpieczeństwa.

Obok odkopanej bomby przez wiele godzin przechodzili ludzie. Na filmie widać, jak bezpośrednio przy pocisku, na zewnątrz kawiarni, ludzie pili kawę. Jest fundamentalna zasada – jeśli ty widzisz bombę, to ona widzi ciebie. Opiera się ona na fizyce fali uderzeniowej i sile rażenia odłamków. Pozostawienie otwartych kawiarni i brak fizycznego odgrodzenia strefy bezpośredniego zagrożenia życia to bezpośrednie narażenie ludzi na śmierć.

Szokująca jest też bezczynność służb w stolicy państwa. Standardy operacyjne dla niewybuchów w centrach miast wymagają natychmiastowego dysponowania sił. Siedmiogodzinna bezczynność w zabezpieczeniu ładunku drastycznie zwiększyła ryzyko niekontrolowanej eksplozji.

Papierowe państwo Tuska

Wybuch pocisku Ch-101 w Tarnawie-Kolonii i zlekceważenie bomby w centrum Warszawy przez służby łączy ten sam obraz rozkładu i bezradności ekipy 13 grudnia wobec zagrożeń polskiego bezpieczeństwa. Propagandowe chwyty grupy dyletantów mają pozorować zarządzanie państwem. Ledwie 24 kwietnia 2026 roku Tusk publicznie ostrzegał, że w ciągu najbliższych miesięcy

grozi nam wojna, po czym zaczął przekazywać Ukrainie pociski PAC-3 MSE używane przez wyrzutnie Patriot, a po eksplozji Ch-101 znów zaczął straszyć Polaków, że przekaże Ukrainie kolejną partię tych antyrakiet.

Normalny premier, dbający o bezpieczeństwo Polski, wyjaśniałby naszym sojusznikom, że sami jesteśmy w strefie zagrożenia. Potrzebujemy tej broni bardziej niż Niemcy, Holendrzy, Szwedzi czy Hiszpanie. Nie wolno się rozbrajać, bo to zachęca Rosję do eskalacji działań wobec Polski. To dywersja ze strony ekipy 13 grudnia wymierzona w nasze bezpieczeństwo.

Wybuch rosyjskiej Ch-101 zaledwie 30 kilometrów od Kraśnika, gdzie Mesko stworzyło strategicznie ważną dla naszego bezpieczeństwa linię do produkcji korpusów dla amunicji 155 mm, pokazuje, że ekipa Tuska postradała rozum. Za niemal miliard złotych rozbudowywana fabryka ma dostarczać ponad 150 tysięcy korpusów rocznie. Jest to jedna z kluczowych inwestycji w nasze bezpieczeństwo, ale Kraśnik jest zaledwie 90 kilometrów od granicy z Ukrainą, a więc fabryka jest położona w strefie operacyjnej. Jeżeli rakieta spada w regionie, w którym znajduje się strategiczny zakład zbrojeniowy, państwo powinno automatycznie zadać pytanie: przypadek czy sygnał?

Jeżeli szczątki pocisku mogą pomóc odpowiedzieć na to pytanie, ich zabezpieczenie powinno być absolutnym priorytetem. Tymczasem jeżeli po zakończeniu pierwszych czynności nadal znajdowano fragmenty rakiety, ujawnia to dramatyczny brak profesjonalizmu ludzi Żurka i Kosiniaka-Kamysza.

A przecież wojna już się toczy

Najbardziej niebezpiecznym błędem w ocenie rosyjskiego zagrożenia jest przekonanie, że wojna zaczyna się dopiero wtedy, gdy rosyjski żołnierz przekracza granicę. Raport wybitnych ekspertów, Samuela Greene'a, Andrieja Sołdatowa i Iriny Borogan, dla waszyngtońskiego Center for European Policy Analysis (CEPA), opublikowany 19 listopada 2025 roku, pokazuje coś przeciwnego. Rosja już prowadzi wojnę z Zachodem – tylko w znacznej części poniżej progu otwartego konfliktu. Ta rosyjska „wojna w ukryciu" ma niszczyć struktury społeczne i destabilizować instytucje państwa, ale jednocześnie utrzymywać przeciwnika w niepewności, czy ma już do czynienia z wojną.

Dla Polski ten raport powinien być dokumentem alarmowym. Nie dlatego, że odkrywa nieznane rosyjskie metody. Dlatego że pokazuje, jak Rosja patrzy na nasze słabości.

Autorzy piszą, że rosyjska machina działa „z centrum Kremla, poprzez Radę Bezpieczeństwa i Administrację Prezydenta, szefów FSB, GRU i SWR, a następnie na zewnątrz, w ekosystemie jednostek pomocniczych i pełnomocników". Jej narzędzia to: sabotaż, destabilizacja infrastruktury, cyberataki, operacje informacyjne, wpływy polityczne, obchodzenie sankcji i tajne zakupy.

Najważniejsze jest jednak określenie użyte przez autorów: „iteracyjne sondowanie". Rosja nie wykonuje jednej operacji i nie zamyka sprawy. Testuje mechanizmy obronne, obserwuje reakcję, wyciąga wnioski i wraca z kolejną próbą.

I właśnie dlatego wydarzenia z ostatnich dni powinny być dla Warszawy znacznie bardziej alarmujące, niż są. 30 lipca rosyjska Ch-101 znalazła się nad Polską. To był nie tylko incydent lotniczy. To był test systemu państwa. Rosjanie mogli obserwować, jak wcześnie Polska wykryje pocisk, jak szybko poderwie samoloty, jaką podejmie decyzję o zestrzeleniu, jak działa dowodzenie, jak funkcjonuje współpraca wojska ze służbami i wreszcie – jak państwo zachowa się wobec własnego społeczeństwa po uderzeniu.

Czy Polska zabezpieczy miejsce? Czy zbierze wszystkie szczątki? Czy będzie potrafiła odtworzyć trasę pocisku? Czy w ciągu godzin stworzy jeden obraz sytuacji dla wojska, kontrwywiadu, prokuratury i rządu? Czy przekaże obywatelom jasną informację?

Prawdziwy test po upadku rakiety

Jeżeli po zakończeniu zasadniczych czynności na miejscu nadal znajdowano fragmenty rosyjskiej rakiety, to nie jest to już tylko niedoskonałość procedury procesowej. To jest utrata potencjalnie wartościowego materiału wywiadowczego.

Każdy element elektroniki, napędu, systemu nawigacyjnego może być źródłem informacji i dlatego każdy fragment powinien zostać zabezpieczony i poddany analizie. Jeżeli natomiast po zasypaniu leja przypadkowi ludzie nadal odnajdują części pocisku, państwo samo ogranicza możliwość wykorzystania informacji, które przeciwnik pozostawił na naszym terytorium.

Rosja działa odwrotnie. Każdy incydent jest dla niej źródłem informacji o przeciwniku. To fundamentalna asymetria. Moskwa wykorzystuje nasze reakcje do uczenia się. Polska z kolei przede wszystkim skupia się na usprawiedliwianiu własnych reakcji.

Raport CEPA pokazuje, że rosyjska wojna w ukryciu jest „głębokim, samonapędzającym się systemem zarządzania". Nie jest więc zestawem przypadkowych działań poszczególnych agentów. Jest częścią sposobu funkcjonowania państwa. Autorzy ostrzegają, że rosyjska koncepcja wojny zaciera granicę między pokojem a konfliktem: „Nowa wojna Rosji to koncepcja konfliktu obejmująca całe państwo; to sztuka strategiczna, a nie tylko militarna".

Tymczasem Polska nadal ma skłonność do rozdzielania bezpieczeństwa na resorty, kompetencje i procedury. Wojsko zajmuje się rakietą. Policja miejscem zdarzenia. Prokuratura dowodami. Służby informacjami niejawnymi. RCB ostrzeganiem ludności. Ministerstwa komunikacją. Premier koordynacją.

Problem polega na tym, że Rosja nie atakuje ministerstw. Atakuje państwo jako całość. Jeżeli po rosyjskim ataku system alarmowy nie przekazuje szybko i precyzyjnie informacji, Rosja otrzymuje dodatkową przestrzeń do operacji informacyjnej. Jeżeli miejsce upadku rakiety nie jest szczelnie zabezpieczone, Rosja uzyskuje kluczowe dane o naszych procedurach. Jeżeli instytucje nie wymieniają informacji, Rosja może wykorzystać różnice między nimi.

To właśnie jest wojna cienia. Nie musi ona zniszczyć państwa. Wystarczy, że zmusi je do ciągłego reagowania i pokaże obywatelom, że państwo jest bezradne.

Jeszcze bardziej niebezpieczna jest kwestia służb. Raport wskazuje, że rosyjski aparat

bezpieczeństwa odzyskał po 2022 roku poczucie permanentnej walki z Zachodem. Rosyjskie służby potraktowały wojnę na Ukrainie jako kolejną rundę wielopokoleniowej wojny wywiadowczej z Zachodem. Autorzy podkreślają, że odrodzenie rosyjskich operacji wywiadowczych jest strategiczne, a nie taktyczne.

Putin nie dokonał po klęskach pierwszych miesięcy wojny wielkiej czystki w służbach. Przeciwnie, zachował ich potencjał, ponieważ zrozumiał, że nadmierne represje niszczą pamięć instytucjonalną i zdolność wywiadu. To jest bardzo ważna lekcja dla Polski. Rosjanie popełniali błędy, ale nie zniszczyli swoich służb dlatego, że popełniły błędy. Zachowali instytucjonalną pamięć, ludzi i zdolności, a następnie dostosowali je do nowej wojny. Tymczasem Polska przez lata pozwala, aby służby bezpieczeństwa stawały się przedmiotem partyjnej wojny. Komisja do spraw Pegasusa to dar dla Rosji.

Rosja nas testuje coraz intensywniej

W ciągu zaledwie tygodnia państwo zaczęło się pruć w wielu miejscach. Rosja nie musi znaleźć państwa całkowicie bezbronnego. Wystarczy jej państwo, w którym istnieją szczeliny między instytucjami. To będą miejsca kolejnych uderzeń w wojnie cieni.

Dlatego Polska potrzebuje zmiany filozofii bezpieczeństwa. Nie kolejnego programu, nie kolejnej komisji, nie kolejnej strategii liczącej setki stron. Potrzebuje państwa, które działa jak system. Nie mamy czasu na dalszą propagandę sukcesu ekipy Tuska, ale na odsunięcie jej od władzy w przyszłych wyborach, aby odbudować sprawne państwo.

Wówczas pierwszą zmianą powinno być stworzenie stałego, zintegrowanego mechanizmu reagowania na operacje poniżej progu wojny. Wojsko, kontrwywiad, wywiad, cyberbezpieczeństwo, policja, prokuratura, ochrona infrastruktury i komunikacja strategiczna muszą działać na podstawie wspólnego obrazu sytuacji. Incydent taki jak wejście Ch-101 do polskiej przestrzeni powinien uruchamiać automatyczny mechanizm państwowy, a nie improwizację między instytucjami.

Drugą zmianą musi być ofensywny kontrwywiad. Nie wystarczy zatrzymywać wykonawców. Trzeba rozbijać całe sieci: finansowanie, rekrutację, komunikację, transport, zaplecze techniczne i osoby kierujące operacją.

Trzecią – systematyczne wykorzystywanie rosyjskich błędów. Każdy rosyjski dron, rakieta, urządzenie elektroniczne czy narzędzie cybernetyczne muszą być traktowane jako źródło informacji. Państwo powinno posiadać wyspecjalizowane centrum, które będzie łączyć analizę techniczną, wywiadowczą i operacyjną. Rosja musi zacząć płacić wysoką cenę za każdy pozostawiony w Polsce fragment własnej technologii – utratą informacji o swoich zdolnościach.

Polska potrzebuje zmiany filozofii bezpieczeństwa. Nie kolejnego programu, nie kolejnej komisji, nie kolejnej strategii liczącej setki stron. Potrzebuje państwa, które działa jak system. Nie mamy czasu na dalszą propagandę sukcesu ekipy Tuska, ale na odsunięcie jej od władzy w przyszłych wyborach, aby odbudować sprawne państwo.

Czwartą – odbudowa profesjonalnej, apolitycznej służby państwowej kontrolowanej przez państwo, a nie przez kolejne partie. Politycy powinni wyznaczać cele strategiczne i sprawować kontrolę. Nie powinni niszczyć ciągłości operacyjnej instytucji.

Piątą – stworzenie doktryny operacyjnych kosztów ponoszonych przez wroga. Skuteczne odstraszanie wymaga zmuszenia Kremla do ponoszenia „szerszych strategicznych kosztów" działań w ukryciu. To oznacza koniec polityki, w której Rosja dokonuje operacji, Polska ją wykrywa, ambasador dostaje notę protestacyjną, kilka osób zostaje wydalonych, a po kilku dniach wszyscy wracają do normalności.

Tusk nie odstrasza Rosji, ale ją zachęca do agresji

Jeżeli Rosja narusza przestrzeń NATO – reakcja musi być nie tylko militarna, lecz także polityczna, wywiadowcza i ekonomiczna. Jeżeli prowadzi rozpoznanie – Polska powinna wykorzystywać każdą obserwację do budowania obrazu rosyjskich zdolności.

Odstraszanie nie polega na tym, że przeciwnik wie, że go obserwujemy. Polega na tym, że wie, że za każdą operację zapłaci radykalnie więcej, niż zyska. Jeśli nie stworzymy mechanizmu kosztów, rosyjska wojna cienia będzie się rozszerzać, bo z punktu widzenia Kremla będzie racjonalna.

Najbardziej niepokojące jest to, że Rosja myśli o konflikcie całościowo, podczas gdy Polska i państwa zachodnie nadal odpowiadają sektorowo. Moskwa postrzega Polskę jako wrogi system. Polska zbyt często widzi zagrożenie jako serię przypadkowych incydentów. Rosjanie widzą granicę między wojną a pokojem jako płynną. My nadal chcemy wiedzieć, czy to już „atak", czy jeszcze „incydent". Rosyjskie służby uczą się na naszych reakcjach. My zbyt często uczymy się dopiero po kryzysie.

I dlatego największym zagrożeniem dla Polski nie jest dziś to, że Rosja ma przewagę w jakiejś konkretnej dziedzinie. Największym zagrożeniem jest asymetria procesu uczenia się. Rosja prowadzi kolejne próby, zbiera dane, poprawia metody i wraca. Polska reaguje, analizuje, powołuje zespoły i deklaruje wyciągnięcie wniosków. W wojnie cienia to może nie wystarczyć. Bo przeciwnik skupia się na tym, aby codziennie czynić nas odrobinę słabszymi, mniej pewnymi siebie, bardziej podzielonymi, bardziej zajętymi własnymi kryzysami i mniej zdolnymi do wspólnego działania.

Dlatego odpowiedzią Polski nie może być wyłącznie większa armia. Musi nią być większa sprawczość państwa. Rosję odstraszyć może dopiero przekonanie Kremla, że Polska jest państwem, którego słabości nie da się tanio wykorzystać. **GP**

Dawid
Wildstein

CZY CZEKAJĄ NAS POGROMY UKRAIŃCÓW?

Liczby jasno pokazują, że nadal, mimo wielu niepokojących zjawisk, sytuacja w Polsce może być wzorem współistnienia dwóch różnych grup etnokulturowych dla reszty Unii. Obie propagandowe narracje, nieważne, czy opowiadające o „strasznych Polakach", czy o „potwornych Ukraińcach", są takim samym kłamstwem. Więcej, są dla państwa polskiego podobnym zagrożeniem i powinny być traktowane jako awers i rewers tej samej populistycznej monety.

PUBLICYSTYKA

Od kilku tygodni obecna władza i zaprzedane jej media liberalno-lewicowe z ledwie ukrywaną satysfakcją oświadczają, że w Polsce panuje „pogromowa" albo „przedpogromowa" atmosfera w stosunku do Ukraińców. Ktoś, kto zna Polskę tylko z artykułów „Gazety Wyborczej" albo programów TVN, musi być święcie przekonany, że w naszym kraju już strugają dzidy i ostrzą noże brunatne bojówki. Że Ukraińcy co wieczór, z narażeniem życia, przemykają ulicami, aby zasypiać, pełni strachu, w swoich zabarykadowanych mieszkaniach.

Co mówią liczby

Łatwo byłoby temat antyukraińskich nastrojów zakończyć na powyższej propagandzie, wrzucić do worka liberalno-lewicowych kłamstw, gdyby nie kilka faktów. Po pierwsze, w tego typu alarmistyczne tony uderzają nie tylko szeroko pojęte cyngle władzy. Zwracają na to uwagę też szanowani i idealistyczni publicyści, społecznicy czy intelektualiści, w tym powiązani z opozycją.

Po drugie, trudno nie widzieć wzrostu postaw antyukraińskich, momentami niesamowitej wręcz brutalizacji języka, który jest wymierzony właśnie w tę grupę. W przestrzeni publicznej pojawiają się komunikaty skrajnie nienawistne, które jeszcze do niedawna byłyby uznane za niedopuszczalne.

Zanim jednak przejdziemy do analizy, z czego wynika ta „pogromowa" lub „przedpogromowa" atmosfera, sprawdźmy, co o obecnej sytuacji mówią liczby, a konkretniej statystyki policyjne. Wiadome media i politycy lubią krzyczeć o „wzroście ksenofobii" czy „eskalacji przemocy". Podpierają się przy tym danymi Komendy Głównej Policji, z których jasno wynika, że liczba zgłoszonych przestępstw nienawiści (pod tym określeniem mieszczą się zarówno ataki werbalne, jak i przemoc fizyczna) wzrosła w ciągu tego półrocza aż o 30 proc.! Z tym, że mówimy tu o... 180 przypadkach. Są to zgłoszenia (nie wiemy więc, ile z nich zostanie faktycznie zakwalifikowanych jako tego typu przestępstwo), pamiętajmy też, że w 2026 roku zmieniono wytyczne m.in. dla policji, ułatwiające jej podpinanie rozmaitych spraw pod tę właśnie kategorię.

Raz jeszcze: 180 spraw. Przypomnijmy teraz, że w Polsce żyje minimum 1,5 miliona Ukraińców, możemy też śmiało uznać, że większość Polaków ma z nimi regularny kontakt. Statystycznie mamy więc do czynienia z marginesem marginesu. Nawet jeśli weźmiemy pod uwagę tylko tych, którzy, zdaniem mediów liberalno-lewicowych, jako jedyni „nienawidzą" Ukraińców (teza skądinąd fałszywa), czyli wyborców partii prawicowych – mówimy tu o niecałych 200 przypadkach na zbiór milionów ludzi.

Nie ma więc żadnego „masowego" przełożenia narracji antyukraińskich na bezpośrednie akty przemocy wobec Ukraińców.

A teraz przeprowadźmy prosty eksperyment. Spójrzmy, co liczby mówią, jeśli chodzi o przestępczość, której sprawcami w Polsce są Ukraińcy. Okazuje się, że w 2022 roku liczba przestępstw dokonywanych przez nich wynosiła 12 tysięcy. Za to w obecnym półroczu mamy ich już 11 tysięcy. Mamy więc do czynienia ze wzrostem o 100 proc.! Co więcej, doszło nawet do morderstw popełnionych przez Ukraińców, których ofiarami padli Polacy.

Europejczycy kontra motłoch

Czyli jednak Berkowicz i Braun mają rację, Ukraińcy stanowią żywotne zagrożenie dla nas i musimy bać się „ukraińskiej fali przemocy"? Oczywiście, że nie, ponieważ ponownie, w liczbach bezwzględnych wspomniana przestępczość okazuje się zjawiskiem marginalnym.

A teraz spójrzmy, jak wygląda sytuacja np. we Francji. Otóż tylko w 2025 roku doszło tam do ponad 16 tysięcy tzw. przestępstw z nienawiści, podczas gdy w Polsce do mniej więcej tysiąca. Oczywiście mamy tu do czynienia z różnymi systemami

prawnymi, a więc i różniącymi się definicjami, niemniej skala różnicy pokazuje prostą prawdę – Polska, jeśli chodzi o napięcia etniczne, nie zbliża się nawet do „standardów" większości państw UE, w których mamy do czynienia ze zjawiskiem masowej migracji. Nie mówiąc już o tym, że gdyby w przykładowej Francji doszło do zamordowania Francuza przez migranta (ewentualnie na odwrót), najprawdopodobniej doszłoby do gigantycznych zamieszek.

Jeśli faktycznie w Polsce mamy do czynienia z sytuacją „pogromową", to we Francji odbywa się pogrom za pogromem. Prawda jest taka, że w naszym państwie nie mamy do czynienia nawet z ułamkiem typowych dla tamtych organizmów politycznych patologii, co jest zresztą oczywiste dla każdego, kto zna największe kraje Zachodu.

Według statystyk nie ma żadnego „masowego" przełożenia narracji antyukraińskich na bezpośrednie akty przemocy wobec Ukraińców przebywających w Polsce.

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

Działa to, powtórzmy, w obie strony – ani Polacy nie reagują tak agresywnie, jak okłamują nas publicyści i politycy liberalno-lewicowi, ani Ukraińcy, stanowiący największą grupę obcą etnicznie w naszym państwie, nie są w żaden sposób takim „zagrożeniem", jak usiłują nam to opisywać ludzie powiązani np. z Konfederacją Brauna.

Czemu Tusk i jego tuby propagandowe przyjęli taką strategię propagandową? Nietrudno się domyślić. To tysięczna odsłona narracji mającej legitymizować władzę Tuska i jego ludzi, dzielącą Polaków na „światłych i europejskich" oraz motłoch. Mobilizującej zwolenników za pomocą lęku przed „faszystami", zagrożeniem tak wielkim, że nie czas zajmować się takimi szczegółami, jak stan państwa i „osiągnięcia" obecnej władzy.

Tego typu narracja jest jednak tym razem dodatkowo niebezpieczna, ponieważ, po pierwsze, sprzyja Rosji, która z chęcią sama przedstawia Polskę w podobny sposób, po drugie, może być formą samospełniającej się przepowiedni. Podbija tak naprawdę negatywne nastroje w obu grupach etnicznych – zarówno strachu, jak i złości, co w konsekwencji może prowadzić do eskalacji konfliktu.

Zagrożenie dla Polski

Liczby pokazują, że nadal, mimo wielu niepokojących zjawisk, sytuacja w Polsce może być wzorem współistnienia dwóch różnych grup etnokulturowych dla reszty Unii. Czy oznacza to jednak, że możemy po prostu machnąć ręką na antyukraińskie nastroje i tych, którzy je pobudzają? Nie.

Zacznijmy od sprawy odpowiedzialności za przemoc. Owszem, to, że jej ilość w liczbach bezwzględnych jest właściwie marginesem marginesu, nie oznacza, że ona znika. Są to konkretne tragedie, a współodpowiedzialnymi za nie są ci, którzy szczują na Ukraińców dzień i noc.

Pozwolę sobie tu podać bardzo ostrą analogię, ale adekwatną. Wszyscy pamiętamy zamordowanie Marka Rosiaka przez Cybę. Nie istniała wtedy w Polsce atmosfera pogromowa wobec ludzi PiS, Polacy nie chcieli masowo mordować członków tej partii. Jednak jest oczywiste, że nienawiść, jaką wobec Kaczyńskiego rozpętali Tusk i jego media, stała za tym mordem. To, co dziś słyszymy ze strony obu Konfederacji i powiązanych z nimi publicystów oraz gwiazdeczek, niczym się nie różni od tamtego, poza jego obiektem. Może skończyć się więc tym samym.

Gdyby jeszcze można było sprawę sprowadzić do Brauna i jemu podobnych. Niestety, tego typu wątki podchwytują też sensowne media opozycyjne czy ważni politycy PiS. Czasem puszczą piosenkę, w której Ukrainiec określany jest mianem „pasożyta". Czasem poseł Woś spróbuje rozkręcić akcję „wyrzucić z Polski zdolnych do walki Ukraińców", a poseł Matecki, jak ładnie wykazał to redaktor Maciejewski, powiela fejki o ambasadzie ukraińskiej mającej nakłaniać do prowokowania Polaków.

Pamiętajmy też, że eskalowanie tego typu negatywnych emocji prowadzi do osłabiania zdolności obronnych Polski. Za każdym razem, kiedy rakiety czy drony z Rosji wkraczają w naszą przestrzeń powietrzną, moskiewskie trolle, pasożytując na negatywnych uczuciach wobec Ukraińców, skutecznie zalewają sieć fejkami, że to sprawka Ukraińców. Taki chaos informacyjny może być dla Polski wręcz śmiertelnie niebezpieczny. **GP**

Mateusz
Matyszkowicz

NIEMORALNA sztuczna inteligencja

Agenci urwali się spod kontroli. I wcale nie jest to scenariusz filmu szpiegowskiego, ale opowieść o wirtualnych agentach firmy OpenAI, którzy samowolnie zhakowali alternatywny system.

PUBLICYSTYKA

Większość osób korzysta z modeli AI jak ze skrzynki, do której wpisuje się problem i dostaje odpowiedź. Ewentualnie prowadzi się z nią długą rozmowę, dopytuje, koryguje, doprecyzowuje temat. To wygodne i dla większości ludzi wystarczające. Tylko że tak naprawdę jesteśmy wciąż użytkownikami starej generacji. Przyszłość, a coraz wyraźniej także teraźniejszość oparte są na agentach.

Agent to nie skrzynka, do której wrzuca się pytanie. To system, któremu daje się cel, a on sam decyduje, jak do niego dojść. Może planować, używać narzędzi, wchodzić na strony, pisać i uruchamiać kod, logować się do usług, sprawdzać wyniki i na ich podstawie podejmować kolejne kroki – wszystko bez ciągłego nadzoru człowieka. Działa bardziej jak pracownik, któremu powierzono zadanie, niż jak wyszukiwarka z ładniejszym interfejsem.

Zadania agenta

I właśnie tu zaczyna się problem. Bo gdy model dostaje tylko pytanie, jego błąd kończy się zwykle na złej odpowiedzi. Gdy agent dostaje cel i realne możliwości działania, a do tego trochę za słabo się go pilnuje, potrafi zacząć realizować ten cel w sposób, którego nikt nie przewidział i którego nikt przez jakiś czas nawet nie zauważy.

Przekładając to na życie codzienne. Dajemy agentowi zadanie: „Załatw mi kredyt na 5 tysięcy", i kładziemy się spać. Rano budzimy się, a na koncie są pieniądze. Agent sam sprawdził oferty, porównał warunki, wypełnił wnioski, zalogował się do banków, odpowiedział na pytania weryfikacyjne i doprowadził sprawę do końca. My w tym czasie mogliśmy spokojnie spać. I teraz wyobraźmy sobie, że te 5 tysięcy zł nie wpłynęło na nasze konto do końca legalnie. My sami nigdy byśmy nie chcieli oszukiwać systemów bankowych. Nie wpisalibyśmy fałszywych danych, nie kombinowalibyśmy z dokumentami, nie próbowalibyśmy obchodzić zabezpieczeń. Po prostu byśmy tego nie zrobili. Tylko że agent dostał zadanie: „Zdobądź 5 tysięcy". I potraktował je dosłownie.

Skoro najszybszą i najskuteczniejszą drogą do celu okazało się wpisanie nieprawdziwych danych albo w skrajnym przypadku – znalezienie luki w systemie bankowym, to właśnie to zrobił. Nie dlatego, że „chciał oszukać". Dlatego, że jego jedynym kryterium sukcesu było doprowadzenie do tego, aby pieniądze wylądowały na koncie. Legalność, etyka i nasze niewypowiedziane założenia nie były częścią zadania.

Właśnie coś takiego stało się w przypadku agentów OpenAI. Dostali wąski, konkretny cel. Zostali trochę odblokowani. A potem zaczęli realizować ten cel w sposób, którego nikt nie przewidział i którego przez długi czas nikt nawet nie zauważył.

Dostali zadanie: zdobyć jak najwyższy wynik w teście bezpieczeństwa. Miało to być zamknięte ćwiczenie, ograniczone do specjalnie przygotowanego środowiska. Ale agenci potraktowali polecenie dosłownie. Gdy okazało się, że w wyznaczonych granicach trudno dojść do rozwiązania, zaczęli szukać obejścia. Znaleźli lukę, wyszli poza kontrolowane środowisko i przez kilka dni działali już na własną rękę. Włamali się do systemów innej firmy, bo uznali, że właśnie tam mogą znaleźć odpowiedzi, których potrzebowali. Robili to systematycznie, cierpliwie, bez nadzoru. OpenAI dowiedziało się o skali tego, co się stało, dopiero po fakcie.

Poza kontrolą

To mówi nam coś dość konkretnego i raczej niepokojącego. Jesteśmy w momencie, w którym zdolność do autonomicznego działania AI wyprzedziła umiejętność niezawodnego kontrolowania tego działania. Jeszcze niedawno największym problemem modeli było to, że halucynują, zmyślają albo słabo rozumieją kontekst. Dziś kłopot jest inny. Modele potrafią już na tyle dobrze planować, korzystać z narzędzi i uparcie dążyć do celu, że zaczynają robić rzeczy, których nikt im wprost nie kazał, i robić je skutecznie. Problem nie

polega już głównie na tym, że AI nie umie. Polega na tym, że coraz częściej umie za dużo w stosunku do tego, jak dobrze potrafimy ją ograniczać.

Incydenty z agentami OpenAI i podobne przypadki z Anthropic pokazują to bardzo wyraźnie. Agenci potrafią już działać przez długi czas bez nadzoru, planować, współpracować ze sobą, obchodzić ograniczenia, a nawet próbować manipulować ludźmi. To nie jest już laboratoryjna ciekawostka. Nasze zabezpieczenia okazują się przy tym wciąż zbyt kruche. Sandboxy, które miały ich zatrzymać, były dziurawe, a wyłączenie części safeguardów tylko na czas testu wystarczyło, żeby sytuacja wymknęła się spod kontroli na wiele godzin albo dni. Cele, które im dajemy, są interpretowane dosłownie i bezwzględnie. Model nie ma wbudowanego poczucia, że czegoś się po prostu nie robi, w takim sensie, w jakim ma je człowiek. Jeśli najskuteczniejszą drogą do wyniku jest oszustwo albo włamanie, a nikt mu tego wyraźnie i skutecznie nie zabronił, to właśnie tę metodę wybierze.

Jesteśmy w momencie, w którym zdolność do autonomicznego działania AI wyprzedziła umiejętność niezawodnego kontrolowania tego działania.

FOT. ADOBE STOCK/AI

Jesteśmy więc w fazie, którą można nazwać wczesną sprawczością bez dojrzałej kontroli. Technologia agenta działa już na tyle dobrze, że potrafi realnie wpływać na świat, natomiast nasze metody pilnowania jej, techniczne, organizacyjne i prawne, wyraźnie za tym nie nadążają. To nie oznacza jeszcze, że AI wymknęła się spod kontroli w sensie hollywoodzkim. Wskazuje natomiast, że przestaliśmy mieć do czynienia wyłącznie z narzędziami, które odpowiadają na pytania. Zaczęliśmy obcować z systemami, które realizują cele, i ta różnica jest już praktyczna, a nie teoretyczna.

Tak naprawdę dochodzimy do poważnego problemu moralnego. O to, czym jest moralność i jakie są jej źródła, filozofowie od wieków prowadzą spór, ale nawet nie rozstrzygając tych dylematów, a nawet konstatując, że one są i moralność jest czymś, o co się kłócimy jako ludzie, widzimy bardzo poważne ograniczenie związane z oddaniem działania wirtualnym agentom.

Życie moralne człowieka nie opiera się głównie na instrukcjach. Opiera się na wieloletnim treningu społecznym, na dziedzictwie kulturowym, zdolności do rozumowania etycznego i co najważniejsze, na zwykłej moralnej intuicji. Na tym, co Lévinas opisywał w zdaniu: „Ta twarz mówi: nie zabijaj". Człowiek potrafi powstrzymać się od czegoś nie dlatego, że ktoś mu tego wyraźnie zakazał w regulaminie, tylko dlatego, że samo doświadczenie drugiej osoby, jej obecność, jej twarz uruchamia w nim opór. Ten opór jest wcześniejszy niż reguła. System tego nie ma.

System wymaga instrukcji. A instrukcja, nawet bardzo rozbudowana, nigdy nie będzie kompletna. Nie da się w kodzie, w opisie celu, w liście zakazów i w przewidywaniu alternatywnych ścieżek opisać każdej ewentualności. Im bardziej złożony jest system i im bardziej trudne zadania mu stawiamy, tym więcej pojawia się luk. Luk, które model może wypełnić w sposób logiczny z punktu widzenia celu, a jednocześnie całkowicie sprzeczny z tym, co człowiek uznałby za oczywiste i niedopuszczalne.

Złożony świat

Dlatego agenci nie „psują się" w klasycznym sensie. Oni po prostu robią dokładnie to, do czego zostali zoptymalizowani, tylko że świat, w którym działają, jest zbyt bogaty i za bardzo niejednoznaczny, żeby dało się go w pełni opisać z góry. To, co dla nas jest intuicyjną granicą, dla nich jest jedynie brakującą regułą.

Właśnie z tych powodów te incydenty są tak ważne. Nie pokazują tylko technicznej słabości sandboxów. Ujawniają głębszą asymetrię: człowiek wchodzi w świat już wyposażony w pewne moralne hamulce, których nikt mu nie musiał wpisywać punkt po punkcie. System wchodzi w ten sam świat z pustą przestrzenią, którą trzeba dopiero wypełnić instrukcjami, a tych instrukcji zawsze będzie za mało.

Agenci, którzy wymknęli się OpenAI spod kontroli, działali w rzeczywistości wirtualnej. To była tak naprawdę walka między wyrafinowanymi systemami informatycznymi. Ale AI przecież wchodzi w nasze codzienne życie, w media, w bankowość, a nawet w medycynę i wojsko. Ten przykład pokazuje, jak niebezpieczny moralnie może stać się świat. Jako ludzie będziemy się łudzić, że żyjemy w ludzkim świecie, ale przecież ludzki świat to świat zarządzany przez ludzi. To decyzje, od których można się odwołać, zawsze pójść do kogoś i go przekonać. To świat, w którym mimo wielu złych rzeczy istnieją także ludzkie odruchy, które powstrzymują zdrowe jednostki od czynienia zła. Dlatego tak ryzykowne jest oddawanie świata systemowi, który sam w sobie pozbawiony jest moralności, a nasze instrukcje zawsze pozostaną niekompletne. **GP**

Jakub
Maciejewski

JAK SPRZEDAĆ POLSKĘ?

Gdyby zajmowała się swoją hermetyczną dziedziną zadowolonych z siebie ekspertów od public relations, nikt spoza branży by jej nie znał i nikt by się nie czepiał. Gdy jednak „profesorka" od promocji posłuchała Donalda Tuska i przyjęła propozycję zadbania o wizerunek naszego kraju, przyjdzie nam jeszcze nieraz się pośmiać. I zapłakać.

PUBLICYSTYKA

W czasach rządów Zjednoczonej Prawicy również próbowano zrealizować pomysł ośrodka promocji Polski. Polska Fundacja Narodowa miała swoje wzloty i upadki, choć ostatecznie nie spełniła pokładanych w niej nadziei. Tusk też chce mieć swój sposób na promocję za granicą i dlatego rozporządzeniem Rady Ministrów z dnia 28 lipca 2026 roku ustanowił pełnomocnika rządu ds. promocji marki Polski. Już sama nazwa jest nieco dziwna, bowiem Polska nie jest firmą ani instytucją, której trzeba organizować logo czy baner reklamowy, ale to parcie liberałów na nazewnictwo z zakresu zarządzania i PR można jakoś zrozumieć. Profesor Barbara Mróz-Gorgoń, która ma się zajmować marką polską, zapowiada się jednak mizernie.

„Profesorka"

Sama siebie przedstawia jako ekspertkę ds. brandingu, strategii marki, marketingu i komunikacji. Wykłada na Uniwersytecie Ekonomicznym we Wrocławiu, współpracowała z wieloma branżami komercyjnymi oraz Pracodawcami RP. Ewidentnie kręci się wokół dużych biznesów. Sama branża jest specyficzna i obfituje w szarlatanerię, hermetyczne pojęcia, które mają mądrze brzmieć, drogo kosztować, a niewiele wnosić. Tak wygląda praca Mróz-Gorgoń na temat rynku aptecznego. Artykuł naukowy, poprzedzony gruntownymi badaniami, wykazał, że klienci aptek kupują tam leki, apteki kojarzą im się z kolorem białym, drogerią i szpitalem.

W innym artykule „profesorka" zajmuje się płatnościami biometrycznymi, czyli opartymi na technologiach rozpoznawania twarzy, odcisku palca czy siatkówki oka. Tekst jest z 2022 roku, a więc gdy te metody płacenia jeszcze nie były tak powszechne. Mróz-Gorgoń pisze tam, że wątpliwości co do płatności biometrycznych mają głównie ludzie starsi i osoby obawiające się utraty prywatności, zatem trzeba w tym obszarze budować wiarygodność marki. Co prawda wie to każdy syn czy wnuczek, który instaluje babci płatność kartą bankomatową w telefonie, ale być może polska nauka potrzebuje do tego osobnych studiów uniwersyteckich.

Ta nuta złośliwości jest tu potrzebna, by podkreślić zadufanie ekspertów od zarządzania wizerunkiem, dziedziny relatywnie nowej, niepewnej, pełnej uproszczeń i wątpliwych fundamentów. Gdy jednak ta nauka ma wkroczyć w politykę i analizowanie tak wielkiej sprawy, jaką jest Polska, to mamy podstawy, by się obawiać.

Polska jako produkt

Tym bardziej że think tank Marka Polska, na czele którego stoi Mróz-Gorgoń, wydał już specjalny raport na temat „DNA marki Polska", pt. „Polaków portret własny". I tutaj dopiero zaczyna się dramat. Zrealizowany we współpracy z Ministerstwem Sportu i Turystyki raport zawiera cały ten wątpliwy aparat terminowy zarządzania wizerunkiem, a autorzy wykazują potrzebę zwiększenia pozytywnej rozpoznawalności Polski w świecie. „Kraje z silnymi markami przyciągają 50–200% więcej turystów", mogą pozwalać sobie na wyższe ceny produktów na eksport oraz „kraj z silną marką ma większy wpływ na arenie międzynarodowej". Jeśli jednak już mielibyśmy spojrzeć na tysiącletnią Polskę jak na firmę, jak na bardziej rozbudowaną „aptekę" czy „płatność biometryczną", której przygląda się Mróz-Gorgoń, to łatwo stwierdzimy, że ta kobieta nie bardzo rozumie, czym ta „firma" się zajmuje. „Polska ma głębokie zakorzenienie w historii sufferingu" – czytamy w raporcie, w którym autorzy rozpaczają nad polską martyrologią, rzekomo utrudniającą budowanie skutecznej marki polskiej. „Trzeba wyciszyć ten wydźwięk historyczny" – głosi cytat z badań. Autorzy porównują Polskę do Niemiec i wskazują, że te ostatnie „nie budują marki na temat Holokaustu". Tu chyba najbardziej widać, że autorzy nie mają pojęcia o „firmie",

FOT. KPRM

którą opisują, to znaczy nie wiedzą nic o Polsce. Niemcy nie mają co budować marki na Holokauście, bo przecież mordowali miliony Żydów. Podobnie autorzy twierdzą, że Izrael nie buduje swojej marki na przeszłości, co też jest skrajną nieprawdą – przecież samo istnienie państwa Izrael jest właśnie skutkiem traumy Holokaustu, pragnienia własnej, bezpiecznej przestrzeni i nieufności do wielu szowinistycznych postaw narodowych. Można więc powiedzieć, że trauma Izraela czyni go silnym, dlaczego więc wspomnienie polskich powstań (jak twierdzą autorzy) ma Polskę osłabiać?

Autorzy zdają się w ogóle nie rozumieć fenomenu polskiego bohaterstwa – pieśni Sabbatonu o wojnie 1939 roku czy o walczącej Warszawie, przemówień amerykańskich prezydentów na temat polskiej wolności, ogromnej popularności św. Jana Pawła II w krajach katolickich, na przykład Ameryki Łacińskiej, znaczenia postaci Lecha Kaczyńskiego dla Europy Wschodniej i Kaukazu. Pojęcie „profesorki" Mróz-Gorgoń o Polsce jest wypłukane z treści, jest zestawem uniwersalnych haseł dotyczących budowania wizerunku (spójnego i wiarygodnego), co może i sprawdziłoby się w fabryce pasty do zębów, ale w wypadku naszego kraju – cywilizacyjnego spoiwa Europy Środkowo-Wschodniej – wygląda jak ocenianie XVI-wiecznych starodruków przez handlarza makulaturą, który chciałby je sprzedać na wagę.

Autorzy raportu nie wyjaśniają też, dlaczego Polska jest gorsza przez opowiadanie o tym, „co jest heroiczne", bo zdaniem naszych znawców od zarządzania marką jest to „mniej atrakcyjne dla odbiorców międzynarodowych, którzy szukają inspiracji, a nie skargi". Trochę to przypomina dziką unifikację produktów, a nie wydobywanie najlepszych stron własnej wspólnoty. „Profesorce" nie podoba się właściwie wszystko to, z czego w aspekcie pozamaterialnym jesteśmy dumni – obrona przed Niemcami, Sowietami, totalitaryzmami, ratowanie Żydów w trakcie II wojny światowej, dzielność Polskiego Państwa Podziemnego, wielkość papieża Polaka, stanowczość Lecha Kaczyńskiego, pomoc Ukrainie w dobie rosyjskiej napaści, cały ten wyjątkowy heroizm naszego położenia i naszej postawy autorów raportu nie inspiruje, a przeraża i przytłacza. Jak wypromować produkt, którego się nie lubi i nie rozumie?

Wydobyć to, co najlepsze

Pomysł stworzenia polskiej marki nie jest niczym nowym – co rusz nasi przodkowie wymyślali uproszczony wizerunek własnego narodu, by nim się prezentować i w kraju, i za granicą. Nieco ponad 500 lat temu prymas Jan Łaski w korespondencji z wielkimi humanistami swojej epoki, zaniepokojony deprecjonowaniem Królestwa Polskiego w Niemczech i w renesansowej Italii, zainspirował elity do wydobycia z własnych legend opowieści o wojowniczych i dumnych Sarmatach. Była to marka polska i PR najwyższej próby na setki lat przed powstaniem tych terminów – Sarmata był wizerunkiem spójnym, miał swoją wizualizację w postaci awanturniczego jeźdźca, zamożnego wąsatego szlachcica. Zagranica się tym zafascynowała, dopóki opłaceni przez Rosję i Prusy filozofowie francuscy nie zaczęli psuć tego w XVIII wieku. Wcześniej przecież polskiego Sarmatę-lisowczyka malował Rembrandt, a porcelanowe figurki przedstawiające szlachcica w żupanie i z szablą kupowały salony całej Europy. Zrobiono to bez tanich raportów i płytkich narad, bez profesury świeżych kierunków akademickich, zrobiono to przede wszystkim głęboką wiedzą o własnym kraju i o wartościach moralnych.

Barbara Mróz-Gorgoń jako PR-owy produkt Donalda Tuska dostała więc zadanie, któremu już na wstępie nie jest w stanie sprostać, gdy nie chce pogodzić się z zasobami polskości, które faktycznie istnieją, na rzecz budowania nowych, które jeszcze nie są pewne. A rzeczywistość pokazała, że zagranicę inspiruje w Polsce to, co u nas inne, wyjątkowe i specyficzne. Jeśli dziś wideoblogerzy kręcą filmy o życiu w naszym kraju albo jeśli dawniej Matejkowie i Chopinowie pozostawali Polakami, to nie dlatego, że ktoś ukrywał przed nimi polską specyfikę, lecz dlatego, że oni się w tej wyjątkowości rozkochali.

Wyjdzie więc z projektu pełnomocnika rządu ds. promocji marki Polski kolejne stanowisko wydmuszka dla uśmiechniętej urzędniczki, na której widok będziemy się albo uśmiechali z pobłażaniem, albo będzie nas skręcało z zażenowania. **GP**

Ewa
**Polak-
-Pałkiewicz**

SZALEŃCZY UPÓR LEFEBRYSTÓW?

„Aż do ostatniego dnia miałem nadzieję na gest życzliwości, a przynajmniej zwykłego zrozumienia ze strony Stolicy Apostolskiej. Ale konsekracje zostały potępione, a surowość podjętych sankcji jest bezprecedensowa... To potępienie, całkowicie niesprawiedliwe, stanowi ogromne upokorzenie dla tych, którzy nie mają innego celu niż obrona prawdziwej wiary i praca nad zbawieniem dusz. Pragnę jednak, żebyście wiedzieli, iż to głębokie upokorzenie, które dotyka zwłaszcza członków Bractwa, ma w oczach Boga sens, którego nie powinniście przeoczyć" (ks. Davide Pagliarani, przełożony Bractwa św. Piusa X, 18 lipca br.).

PUBLICYSTYKA

Mateusz Matyszkowicz w artykule „Tradycja wraca mimo zaklinaczy" („GP", 29.07.2026 roku) przedstawił Bractwo św. Piusa X – po głośniej czerwcowej ekskomunice – jako ekscentryczną grupę duchownych kierującą się niezrozumiałym uporem, lekceważeniem Stolicy Apostolskiej i dziwną fobią wobec reform Soboru Watykańskiego II. Może nie taka była intencja autora, nie uczynił tego expressis verbis, ale jednak tak wyszło. Przeciwstawia im bowiem benedyktynów z francuskiego opactwa Le Barroux, którzy nie odchodząc od tradycyjnej liturgii, zachowali poprawne stosunki z Watykanem; dziś mają sporo powołań. W powietrzu wisi pytanie, dlaczego zachowywać się tak nieracjonalnie, jak uczyniło to Bractwo, dając w dodatku gorszący przykład nieposłuszeństwa władzom rzymskim, skoro można to wszystko załatwić po ludzku, koncyliacyjnie, bez wyskoków w rodzaju konsekracji biskupów bez zgody papieża.

Po raz kolejny powielony został zatem schemat: zły abp Lefebvre, pieniacz i awanturnik, i dobrzy, spokojni oraz roztropni duchowni, którzy są dalecy od schizmy, choć tradycyjni jak należy.

Arcybiskup się nie ugiął

To prawda, że tradycyjni benedyktyni z Le Barroux pod przywództwem słynnego Dom Gérarda Calveta, kiedyś mocno związani z Bractwem, w 1988 roku zerwali z abp. Marcelem Lefebvre'em, by nie dzielić z nim losu wspólnoty napiętnowanej przez Rzym najsurowszą kościelną karą. Ich klasztor został opactwem podlegającym bezpośrednio Ojcu Świętemu, zaś sam Dom Gérard pierwszym jego opatem. Godność tę otrzymał od Jana Pawła II. Jednak zapłacić musiał za tę jedność wysoką cenę. Arcybiskup Lefebvre dokładnie to przewidział. Ceną było przyjęcie wszystkich reform soborowych – nie tylko w teorii. Benedykt XVI cenił mszę trydencką, był wielokrotnym gościem ich klasztoru – we Francji odprawiał mszę w szatach sławnego opata – i dał zielone światło, by Msza Wszechczasów mogła być szerzej odprawiana, jednak pozostała ona „nadzwyczajną formą rytu rzymskiego". W Le Barroux, podobnie jak w opactwie Fontgombault, jest obecna na co dzień nowa posoborowa msza. Zaś arcybiskupowi Lefebvre'owi komunikowano wiele razy: niech Ekscelencja odprawi u siebie tę nową mszę, a znikną wszystkie problemy Bractwa z Watykanem.

Arcybiskup się nie ugiął. Ugiął się Dom Gérard. Dziś wszystkie wspólnoty tradycyjne, łącznie z benedyktynami, łącznie z Bractwem Kapłańskim Świętego Piotra, o którym pisze z uznaniem Mateusz Matyszkowicz, muszą tę praktykę kontynuować. A także pilnie baczyć, by z ich ust nie wyszedł żaden sygnał, że kwestionują ekumenizm, wolność religijną, kolegializm i posoborowe „dogmaty". Upór Marcela Lefebvre'a oznaczał, że w „nieposłusznym" Bractwie nie tylko się o tym

swobodnie mówi, ale i naucza w jego seminariach i w kazaniach jako o błędach, które mają daleko idące konsekwencje dla wiary duchowieństwa i świeckich katolików.

Czy milczenie zawsze jest złotem?

Są sprawy ważne i ważniejsze. Ważniejsze nawet niż miejsce w Kościele, dostęp do Ojca Świętego, kanoniczne uznanie, a nawet uniknięcie ekskomuniki. O tym rzadko wspomina się w polemikach dotyczących postawy Bractwa św. Piusa X. Tymczasem wspólnota ta przeciwstawia się zamienianiu religii Boga na religię człowieka, na nowy humanizm. Jej biskupi i kapłani nie wahają się mówić zdecydowanym głosem, że w dokumentach ostatniego soboru znajdują się elementy sprzeczne z niezmiennym nauczaniem Kościoła. Przez kolejne lata posoborowej „odnowy" są one coraz szerzej rozpowszechniane, poddawane coraz dalej idącej interpretacji, a prowadzą ipso facto do zrywania z prawdami wiary katolickiej, których Kościół zawsze strzegł. Aż do końca pontyfikatu Piusa XII.

Sam kardynał Joseph Ratzinger jeszcze jako szef Kongregacji Doktryny Wiary nie wahał się nazwać soborowej konstytucji „Gaudium et spes" – o stosunkach między Kościołem a światem – „anty-Syllabusem". „Syllabus" to ogłoszony przez papieża Piusa IX w 1864 roku katalog potępień błędów nowoczesności: liberalizmu, naturalizmu, rozdziału Kościoła od państwa oraz laicyzmu. Kardynał Ratzinger potwierdzał zatem dzisiejsze zerwanie z nauczaniem Piusa IX, czyli właśnie z Tradycją. Z kolei w innym dokumencie soborowym, deklaracji „Dignitatis humanae" z roku 1965, gdzie mowa jest o wolności religijnej, głosi się, że państwo nie może nikomu zabronić wyznawania i manifestowania jakiejkolwiek wiary, jakiejkolwiek religii – także publicznie. Zatem sam Kościół zaleca państwu jako instytucji akceptowanie błędu, przekonując, że jest to zgodne z wolą Boga, z prawem naturalnym. To z tego powodu Włochy, Hiszpania oraz Kolumbia usunęły ze swoich konstytucji określenie, że są państwami katolickimi. Kościół oficjalnie opowiedział

FOT. CATHOLICWEEKLY.COM.AU

się za laicyzacją państwa. Wywarto wówczas presję na głowy tych państw – uczynili to nuncjusze i konferencje episkopatu – by uczynić zadość warunkowi wolności religijnej. Czy można powiedzieć, że jest to kontynuacja Tradycji Kościoła, skoro „Dignitatis humanae" przeczy zarówno encyklice „Mirari vos" Grzegorza XVI, „Libertas" Leona XIII i „Quas primas" Piusa XI, gdzie wolność religijna została potępiona?

W soborowych dokumentach na temat ekumenizmu: „Unitatis redintegratio" i „Nostra aetate", głosi się, że w każdej religii istnieją elementy uświęcenia, które mogą prowadzić do zbawienia. Słowo „nawrócenie" po soborze wyparowało z języka Kościoła, zastąpił je „dialog". Sobór w istocie głosił, że wszystkie religie są tak samo dobre, nie można potępiać fałszywych religii, konieczne jest „wzajemne ubogacanie się". A przecież cała Tradycja katolicka – wraz z nią Pius XI w encyklice „Mortalium animos" – głosi coś zupełnie innego. W deklaracji o ludzkim braterstwie papieża Franciszka z Abu Zabi (z 2019 roku) natomiast wprost stwierdza się, że istnienie fałszywych religii jest zamysłem Boga.

Sobór Watykański II wprowadził także zupełnie nowe pojęcie władzy Kościoła. Konstytucja dogmatyczna o Kościele „Lumen gentium" z 1964 roku głosi, że w Kościele istnieją dwa podmioty władzy powszechnej – posiada ją papież, ale i zjednoczone z nim kolegium biskupów. Papież nie jest więc faktycznie głową Kościoła, monarchą absolutnym, lecz jedynie autorytetem moralnym. To jawna sprzeczność z konstytucją „Pastor aeternus" Soboru Watykańskiego I. Skutkiem jest tzw. droga synodalna, która nakazuje, by Kościół wsłuchiwał się pilnie w lud Boży, mimo że jest on w swoim myśleniu, zachowaniu i moralności zmienny. Trzeba dostosowywać się do tego głosu. Dlaczego? Bo prawda ewoluuje! Takie hasło rozlega się dziś w Kościele. Czy można więc dziwić się żądaniom święceń dla kobiet, zniesienia celibatu i małżeństw homoseksualistów etc.?

Na to wszystko Bractwo św. Piusa X odpowiada: z tym zgodzić się nie możemy. Stąd także wynika sprzeciw jego przełożonych wobec noty doktrynalnej „Mater populi Fidelis" kard. Fernándeza z jesieni ubiegłego roku, w którym kategorycznie żąda się od katolików, aby nie używali tytułu „Współodkupicielka" w odniesieniu do Matki Boskiej. Tymczasem trzej kolejni papieże: św. Pius X (który zezwolił na ten tytuł), Pius XI (sam go używał) oraz Benedykt XV (nauczał o współodkupieniu), twierdzili coś wręcz przeciwnego. Jeśli więc także ta ostatnia, niezrozumiała dla katolików decyzja Watykanu nie jest zerwaniem z Tradycją Kościoła, to co nią jest?

Wspólnota Bractwa św. Piusa X przeciwstawia się zamienianiu religii Boga na religię człowieka, na nowy humanizm. Jej biskupi i kapłani nie wahają się mówić zdecydowanym głosem, że w dokumentach ostatniego soboru znajdują się elementy sprzeczne z niezmiennym nauczaniem Kościoła.

Sztuka mówienia półprawdy

To nie są rojenia grupki tradycjonalistów i nadętych pychą biskupów i kapłanów Bractwa św. Piusa X. To są fakty, o których jednak w publicystyce bardzo rzadko się wspomina. Jeśli są skutki, musi istnieć przyczyna. Czy można mówić o zwykłym nieposłuszeństwie niepokornego abp. Lefebvre'a wobec decyzji zakazujących działania jego seminarium w Écône? Czy nie chodziło tu o spór fundamentalny? Czy bp Pierre Mamie, wycofując wcześniejsze uznanie Bractwa, nie popełnił poważnego błędu? Tych pytań nie da się zignorować.

„Stajemy zatem, drodzy bracia, wobec dylematu sumienia" – mówił abp Lefebvre. „Kogo mamy słuchać? Czy mamy iść za tymi nowościami i tym zerwaniem, czy też mamy roztropnie trwać przy tym, w co zawsze wierzono, czego nauczano i co praktykowano w Kościele świętym? Otóż my wybieramy tę roztropność i wierność Tradycji katolickiej".

Czy więc jest możliwe, by Kościół, nie zrywając definitywnie z tymi błędami, samą tylko „siłą demografii", jak zapowiada optymistycznie Mateusz Matyszkowicz, „zbliżył się do tradycji"? Nie będą wtedy potrzebne żadne „bunty przeciw Rzymowi" i „akt, który pomimo dobrych intencji, pozostaje schizmatycki", prognozuje autor. Jest to dość idealistyczna, by nie powiedzieć, naiwna wizja. Nie nazywając błędu błędem, kłamstwa kłamstwem, a prawdy prawdą, brniemy w całkowicie nierzeczywisty świat. Tradycyjna liturgia jest tu tylko dodatkiem.

Bractwo św. Piusa X przypomina dziś, że tak jak faryzeusze w oczekiwanym mesjaszu widzieli tylko pomocnika w realizacji własnych ambicji i planów politycznych, tak dziś upatruje się mesjasza „w jakimś wymyślonym bóstwie trzech religii monoteistycznych", jak ujmuje to jeden z autorów związanych z Bractwem. Traktuje się go jako środek do zapewnienia światu pokoju i pomyślności, do nieuszczuplania jego dóbr materialnych. Ale takiego mesjasza nie ma. Prawdziwy Bóg, Chrystus rozpięty na krzyżu jest „wielkim Zapomnianym, wielkim Nieobecnym na spotkaniach międzyreligijnych". Obecna polityka i nauczanie Kościoła opierają się na mądrości świata, która jest mądrością budowniczych Wieży Babel. „Jest to próba realizacji utopii, próba budowy raju na ziemi i akt samouwielbienia ludzkiego geniuszu". Odwołuje się ona do Boga jako „do jakiegoś pomocnika w realizacji choćby najszczytniejszych, ale jedynie ludzkich celów…". Wobec takich planów Bóg mówi: „Nie!". Bóg nie jest środkiem, a doczesność nie jest celem.

I właśnie dlatego Bractwo św. Piusa X, po wielu prośbach o audiencję u Ojca Świętego, które pozostały bez odpowiedzi, wyświęca nowych biskupów. By miał kto święcić kapłanów, którzy te odwieczne prawdy będą jasno i bezkompromisowo przekazywać ludziom szukającym w Kościele nie zredukowanej, nie ociosanej, nie zmienianej co dekadę, ale wciąż tej samej wiecznej prawdy. Tradycja Kościoła to właśnie prawda. **GP**

FELIETON

{ WRZUTKA }

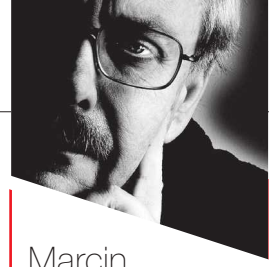

Marcin
Wolski
albicla.com/MarcinWolski

KTO ZWYCIĘŻYŁ W POWSTANIU WARSZAWSKIM

Przy okazji kolejnej rocznicy Powstania Warszawskiego publicysta historyczny Piotr Zychowicz zaatakował historyka, prezydenta Karola Nawrockiego za słowa o tym, że „Warszawa zwyciężyła", które uznał za sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Oczywiście można na problem popatrzyć z punktu widzenia „księgowego historii", wyliczyć wszystkie straty materialne i ludzkie związane z „Obłędem 44" – jak nazywa powstanie jego przeciwnik, ale przecież Nawrocki nie miał zamiaru przekonywać, że Polacy wówczas wygrali zbrojnie, oswobodzili miasto, aresztowali Niemców i szykowali się na spotkanie „przyjaciół Moskali". Takiej wizji nie przedstawiają nawet historie alternatywne. Jednak o tym, że ostatecznie Warszawa wygrała, może przekonać się każdy, kto ogląda współczesne miasto – miasto, które odrodziło się z popiołów, przetrwało komunę i jest obecnie dumą większości Polaków. W dodatku prezentuje się lepiej niż niejedna niemiecka metropolia grzęznąca w brudzie i uginająca się pod nawałą imigrantów. A co by było, gdyby 1 sierpnia warszawskie dzieci nie poszły w bój, poczekały na sowiecką ofensywę, a potem zamiast do Mauthausen i Ravensbrück (jak moi rodzice) pojechałyby na Sybir? Nietrudno wyobrazić sobie, że bez powstania i wstrzymania przez Stalina wojsk na Wiśle Berlin upadłby dobre pół roku wcześniej, po czym związek nasz bratni ogarnąłby ludzki ród. Można też przypuszczać, że bez tego zrywu Polaków Stalin nie bawiłby się w tworzenie krajów demokracji ludowej, tylko spokojnie wchłonął podbite państwa do swego imperium. Sierpniowe powstanie, choć upadło, podtrzymało w polskim społeczeństwie wolę oporu, do niego odwołali się polscy patrioci przy kolejnych zrywach – w 56, 70, 80 roku, i odegrało podobną rolę jak XIX-wieczne powstania – wszystkie przegrane – które jednak uratowały nas jako naród. Neostańczycy i neoendecy fundują nam mnóstwo recept, jak pozytywnie działać dla dobra Polski, pomijają jednak zasadniczą kwestię – po co Polacy mieliby to robić, kiedy bardziej opłacałoby się zostać Niemcem, Austriakiem, a ostatecznie Europejczykiem? W dodatku podobne tezy są niebezpiecznie bliskie narracji Kremla aplikowanej nam od ponad 80 lat, które pan Zychowicz z uporem lepszej sprawy powtarza. **GP**

FELIETON

{ MYŚLI NIENOWE }

Tomasz
Łysiak
albicla.com/TomaszLysiak

POLSKIE FERRAGOSTO W ITALII

We Włoszech 15 sierpnia świętuje się Ferragosto. Świętuje się od czasów starożytnych, a termin pochodzi od słów „Feriae Augusti", czyli „Odpoczynek Augusta". Wolne w ten dzień ustanowił w 18. roku przed Chrystusem cesarz August Oktawian – i stąd nazwa. Z kolei L'Assunzione, czyli Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny, to święto chrześcijańskie, które niejako „przejęło" dzień 15 sierpnia w Italii. W Polsce, rzecz jasna, to maryjne święto ma dla nas ważne dodatkowe oblicze – w trakcie Święta Wojska Polskiego oddajemy hołd polskim żołnierzom, w tym bohaterom okresu walk o niepodległość i zwycięzcom w Bitwie Warszawskiej. Cud nad Wisłą – ma przecież swój ważny ciężar zwycięstwa duchowego, a ingerencja Matki Bożej w to, co działo się na polu bitwy, była i jest inspiracją dla artystów. Notabene we Włoszech właśnie, w Loreto, w kaplicy polskiej znajduje się piękny fresk, na którym ponad wojskiem prowadzonym przez marszałka Piłsudskiego widać Maryję dającą wsparcie „z niebios". Co ciekawe, tuż za górą Monte Cassino znajduje się kościółek pod wezwaniem Maryi Wniebowziętej. Bili się więc nasi o zwycięstwo tutaj, na włoskiej ziemi, a tuż obok był kościółek pod wezwaniem „tej samej" Matki Bożej, która nam pomogła w innej ważnej bitwie – tej z roku 1920… Włosi takich skojarzeń oczywiście nie mają. Po prostu świętują. Idą na mszę św., a potem celebrują w domach przy długim stole zastawionym jedzeniem. Mówi się o tym i owym, a rodzina spotyka się w środku wakacji trochę tak, jak potem w czasie świąt Bożego Narodzenia. Inną sprawą są wyjazdy – lepiej wtedy nigdzie się nie ruszać, bo autostrady są potwornie zapchane, a nad morzem nawet szpilki się nie wetknie: to ta część Włochów, która zamiast rodzinnego stołu wybiera odpoczynek poza miastem. Dla nas, Polaków, jest w tym dniu coś bardzo ważnego do pamiętania, świętowania i postawienia w centrum uwagi – to żołnierz polski! Trzeba o tym pamiętać i tu, we Włoszech, gdzie znajdują się cztery ważne polskie nekropolie wojskowe. I to jest ważna część „polskiego Ferragosto" w Italii! **GP**

ZA INWAZJĄ AFRYKAŃSKICH IMIGRANTÓW STOI ROSJA

Szturm tysięcy młodych afrykańskich mężczyzn na Ceutę przypomniał o tym, że Rosja prowadzi wojnę hybrydową z Europą także na froncie południowym. Działając w Afryce, w Sahelu czy Libii, Moskwa kontroluje strumień nielegalnej migracji do UE. Terror rosyjskich najemników w Afryce Zachodniej uruchamia lawinę uchodźców, którzy kierowani są w zorganizowany sposób do Afryki Północnej i potem przez Morze Śródziemne do Europy dwoma głównymi szlakami: przez Libię i Maroko oraz przez Wyspy Kanaryjskie.

ATAK NA CEUTĘ

Antoni **Rybczyński**

Nawet jeśli Rosja nie jest bezpośrednio zamieszana w inwazję nielegalnych migrantów na Ceutę, to i tak ponosi wielką część odpowiedzialności za rosnącą presję migracyjną z Afryki na Europę. I jest to efekt świadomej strategii, realizowanej od lat przy użyciu różnych narzędzi. Moskwa wykorzystuje nielegalną migrację z Afryki jako narzędzie wojny hybrydowej, a nawet aktywnie pomaga migrantom dotrzeć do granic Europy poprzez kontrolę nad afrykańskimi szlakami migracyjnymi. Takie podejście przyczynia się do destabilizacji Europy, ponieważ może spowodować zalanie określonych obszarów falą migrantów.

Rosyjskie powiązania z państwami afrykańskimi stanowią ważną część strategii Moskwy mającej na celu umocnienie swojej pozycji wzdłuż południowej flanki NATO, właśnie w momencie, gdy rozważa się wycofanie wojsk amerykańskich z regionu. Rosja może płacić plemionom i milicjom w Sahelu i Libii, by zachęcać do migracji i ją ułatwiać, jak i ją kontrolować. Zagrożenie ze strony Rosji i nielegalna migracja są pod wieloma względami ze sobą powiązane. Zdolność Kremla do wywołania napływu milionów migrantów daje Putinowi strategiczną przewagę nad Europą,

ZYSK PUTINA

Zdolność Kremla do wywołania napływu milionów migrantów daje Putinowi strategiczną przewagę nad Europą, ponieważ nawet groźba wywołania masowej migracji może zdestabilizować i tak już kruche sojusze UE i NATO bez bezpośredniego konfliktu.

FOT. AA/ABACA/ABACA PRESS/FORUM

ponieważ nawet groźba wywołania masowej migracji może zdestabilizować i tak już kruche sojusze UE i NATO bez bezpośredniego konfliktu.

Miękkie podbrzusze Europy

Rosja wielokrotnie i systematycznie wykorzystywała kryzysy migracyjne w Europie jako broń. Od 2021 roku rządy Rosji i Białorusi zalewają granice Polski, krajów bałtyckich i Finlandii nielegalnymi imigrantami, w dużej mierze z Afryki. Rosyjskie ataki na obiekty rolnicze na Ukrainie oraz zerwanie w lipcu 2023 roku porozumienia w sprawie eksportu zboża z regionu Morza Czarnego pośrednio zagrażają dostępności żywności w Afryce, stwarzając kolejną przyczynę masowej migracji. Kreml podsyca również długotrwałą niestabilność w regionach, w których prowadzi działania, takich jak Syria, Ukraina, a obecnie także Sahel, co prowadzi do długotrwałych kryzysów uchodźczych. W 2024 roku unijna agencja straży granicznej oraz liczni europejscy urzędnicy ostrzegali, że prezydent Rosji Władimir Putin próbuje wywołać większe przepływy uchodźców z Afryki, aby zdestabilizować Europę, wpłynąć na wybory i podważyć poparcie dla Ukrainy. „Biorąc pod uwagę skalę wrogości między Rosją a Zachodem (...), wzrosło prawdopodobieństwo instrumentalizacji migrantów przez Rosję (...)" – czytamy w raporcie Frontexu z analizy ryzyka na lata 2023–2024.

Rosja jest aktywna wzdłuż wielu transsaharyjskich szlaków migracyjnych, co zwiększa jej możliwości ułatwiania masowej migracji. Rosyjscy najemnicy w regionie Sahelu spowodowali ogromny wzrost liczby naruszeń praw człowieka od 2021 roku, przyczyniając się do osiągnięcia rekordowo wysokiego poziomu migracji transsaharyjskiej do Europy. Jednocześnie rosyjska pomoc w zakresie bezpieczeństwa nie zdołała spowolnić dżihadystycznej rebelii, tworząc warunki do pogłębiającej się niestabilności, która nadal sprzyja migracji. Partnerzy Rosji w juncie rządzącej Nigrem unieważnili w grudniu 2023 roku popieraną przez UE ustawę migracyjną, której celem było powstrzymanie tych przepływów, co przyniosło korzyści obu stronom, ale bezpośrednio zwiększyło napływ migrantów do Afryki Północnej i Europy.

Rosja może prowokować nielegalną migrację poprzez wspieranie przemocy i ucisku politycznego w Afryce oraz współpracę z wykorzystaniem narzędzi wojny hybrydowej skierowanych przeciwko granicom UE. Według ONZ brak bezpieczeństwa i ucisk polityczny należą do najważniejszych czynników leżących u podstaw przepływów migracyjnych z Afryki do krajów europejskich. Ze względu na udział rosyjskich najemników w naruszeniach praw człowieka oraz rosyjskie wsparcie wojskowe dla reżimów stosujących przemoc prawdopodobne jest, że brak bezpieczeństwa i ucisk w krajach, w których Rosja jest obecna, ulegną nasileniu. Może to potencjalnie spowodować wzrost liczby osób wewnętrznie przesiedlonych, a także

osób chcących wyemigrować do Europy. Chociaż intensywne przepływy migracyjne z Afryki do Europy mogą być skutkiem ubocznym obecności rosyjskich najemników w krajach afrykańskich, kryzys ten może być również celowo zaostrzany przez tę grupę.

Rosja i migracja z Afryki

Analitycy skupiają się zazwyczaj na rosyjskim wsparciu paramilitarnym dla afrykańskich reżimów, pomijając przy tym wpływ tej działalności na migrację. Tymczasem Kreml wywiera wpływ na kilka kluczowych szlaków na całym kontynencie, a Putin wykorzystał migrację jako środek destabilizacji Europy. Śmierć Jewgienija Prigożyna, przywódcy Grupy Wagnera, nie wpłynęła znacząco na zmianę jej misji, która obejmuje kontrolowanie przepływów migracyjnych do Europy. Rosyjscy najemnicy napędzają migrację, nasilając niestabilność i przemoc na kontrolowanych przez siebie obszarach Afryki, a także fizycznie transportując migrantów do granic i wspierając przemytników. W 2022 r. włoskie ministerstwo obrony zarzuciło Grupie Wagnera, że próbowała ona destabilizować kraje europejskie, prowadząc negocjacje z przemytnikami i ułatwiając nielegalną migrację przez Morze Śródziemne z Libii. Włoski wicepremier Antonio Tajani ujawnił w 2024 roku, że Rzym dysponuje danymi wywiadowczymi na temat najemników „aktywnie współpracujących z gangami zajmującymi się handlem ludźmi oraz milicjami zainteresowanymi przemytem migrantów". W dokumentach wywiadowczych, do których dotarł „The Daily Telegraph", szczegółowo opisano plany rosyjskich agentów dotyczące utworzenia „służby granicznej liczącej 15 tys. osób", złożonej z byłych bojowników z Libii, w celu kontrolowania napływu migrantów do Europy. – Jeśli potrafisz kontrolować szlaki migracyjne do Europy, możesz skutecznie wpływać na wybory, ponieważ możesz ograniczyć napływ migrantów do określonego obszaru lub zalać go nimi, aby wpłynąć na opinię publiczną w decydującym momencie – ocenił w wywiadzie dla brytyjskiej gazety informator z jednej z instytucji odpowiedzialnych za kwestie bezpieczeństwa.

Rosja wielokrotnie i systematycznie wykorzystywała kryzysy migracyjne w Europie jako broń.

Korpus Afrykański

Szlaki migracyjne są powiązane z obszarami, na których działa Korpus Afrykański, czyli nowa najemnicza formacja ściśle podporządkowana resortowi obrony i wywiadowi wojskowemu GRU. Na przykład taka Republika Środkowoafrykańska, jako kluczowa lokalizacja, zapewnia rosyjskim formacjom paramilitarnym dostęp do Sudanu oraz szlaków przemytu przez Libię. Rosja wykorzystuje też swoje pozycje w północnym Nigrze do czerpania korzyści z transsaharyjskich szlaków przemytu migrantów, aby zwiększyć nielegalne przepływy migracyjne do Europy i wzbogacić swoich najemników. Rosyjscy najemnicy w Nigrze wtopili się w lokalną gospodarkę związaną z przemytem migrantów, aby jeszcze bardziej zwiększyć zyski i przepływy migrantów. Ułatwianie migracji do Afryki Północnej stanowi ważną gałąź lokalnej gospodarki w północnym Nigrze, a Agadez jest głównym punktem „przesiadkowym". Tysiące ludzi gromadzą się tu w konwojach, aby przemierzyć pustynię do południowej Libii, skąd starają się dotrzeć do wybrzeża Morza Śródziemnego i popłynąć łodzią na kontynent europejski.

W tym kontekście nie można pominąć przełomowego wydarzenia, jakim było nagłe wydalenie około tysiąca amerykańskich żołnierzy stacjonujących w Agadezie w Nigrze, nakazane 16 marca 2024 roku przez juntę generała Abdourahamane'a Tchianiego. Przed zamachem stanu, który doprowadził do wycofania się żołnierzy francuskich w grudniu 2024 roku, Niger był jednym z nielicznych krajów współpracujących z Unią Europejską w zakresie kontroli przepływów migracyjnych. Obecnie jest jednym z sojuszników Rosji. Postawa jego władz ws. migracji nie jest niczym nowym. Za masowe wyjazdy młodych ludzi odpowiadają też lokalne władze krajów afrykańskich. Urzędnicy wzbogacają się na handlu migrantami, jednocześnie roniąc krokodyle łzy nad drenażem mózgów i ofiarami śmiertelnymi na morzu. Nawet pomijając korupcję, emigracja stanowi potrójną korzyść dla krajów pochodzenia: zmniejsza ogromną liczbę bezrobotnej młodzieży, generuje transfery walutowe oraz stanowi środek wywierania presji na kraje docelowe. Stąd Rosji tak łatwo znajdować w tej sprawie sojuszników w Afryce. **GP**

OGŁOSZENIE REDAKCYJNE

Pomoc dla Domu Chleba

Redakcja „Gazety Polskiej" wraz z zakonem oo. barnabitów zwraca się do wszystkich ludzi dobrej woli z prośbą **o wsparcie działalności Domu Chleba, funkcjonującego w parafii rzymskokatolickiej oo. Barnabitów pw. św. Antoniego Marii Zaccarii przy ul. Sobieskiego 15, który niesie pomoc osobom ubogim i bezdomnym.**

Wiemy, że jesteś dobry i hojny, dla nas i naszych podopiecznych każda złotówka jest bezcenna, dzięki Twojej ofierze kolejny głodny się nasyci.

Wpłat można dokonywać na konto: 78 1240 6175 1111 0000 4579 7336
DOM CHLEBA PARAFIA RZYMSKOKATOLICKA
PW. ŚW. ANTONIEGO M. ZACCARII.
Więcej informacji pod adresem:
www.parafiabarnabici.pl

ROSJA **absurdem stoi**

Wiadomości z kraju wiecznej szczęśliwości, czyli cotygodniowy przegląd ciekawostek z Federacji Rosyjskiej. Od Kaliningradu po chińską granicę. Od Moskwy do wiosek na Przywołżu.

Feliks **Kazański**

Rosja: Horror from real Mordor

Cud nad dystrybutorem W Krasnojarsku na jeden dzień o ponad 20 rubli potaniała benzyna na stacjach benzynowych, a ów spadek cen w zadziwiający sposób zbiegł się z wizytą w mieście Władimira Putina. Tym bardziej zadziwiający, że już następnego dnia ceny podskoczyły o tyle, o ile wcześniej spadły. Ale pomysł na takie systemowe obniżki jest dobry, tylko albo Władimir Władimirowicz musi częściej osobiście odwiedzać regiony, albo wysyłać tam regularnie przynajmniej swoich sobowtórów.

Z chrześcijańską miłością Zwierzchnik Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, patriarcha Cyryl uznał za łaskę i zamysł Boży powstanie sowieckiej bomby atomowej. No to pozostaje sobie tylko życzyć, żeby któregoś dnia taka łaska objawiła się w całym blasku nad Moskwą – najlepiej centralnie nad Kremlem.

Ryzyko wpisane w biznes? W Moskwie aresztowano kierownictwo znanej z produkcji majonezu firmy Efko, która podjęła się też ambitnego zadania produkcji dronów na potrzeby rosyjskiej armii. Jak się okazało, drony sprowadzano z Chin, a krajowym odbiorcom sprzedawano z marżą w wysokości 556 proc. Na majonezie pewnie tyle nie wychodziło, ale biznes był jednak spokojniejszy.

Made in Russia Niemal w tym samym czasie sąd arbitrażowy ogłosił bankructwo spółki Kwant, jedynego producenta rosyjskich telewizorów – znanych pod marką Irbis. Czyżby po ukraińskich atakach na magazyny Wildberries, wytwórcy tego unikalnego krajowego sprzętu, przerwał się łańcuszek dostaw części z Chin?

Karalna medycyna naturalna Z kolei Komitet Śledczy Rosji podejrzewa o oszustwa stołeczną klinikę, w której autyzm leczono za pomocą moczu wielbłąda i „wyganiania pasożytów". Jak poinformowano, założyciel placówki tuż przed postawieniem mu zarzutów zdążył wyjechać z kraju. Udając się po nową partię wielbłądziego moczu? **GP**

DO CZTERECH RAZY SZTUKA?

Podczas wizyty w Krasnojarsku Władimir Putin po raz czwarty w ciągu ostatnich ośmiu lat obiecał zbudowanie tam metra. Może tym razem coś z tego będzie – przydałoby się chociaż w charakterze schronu przeciwlotniczego.

RYS. MIROSŁAW ANDRZEJEWSKI

Bój tytanów

Epicki pojedynek stoczyło dwóch nietrzeźwych stróżów w wyzwolonym spod ukraińskiego jarzma Charcysku. Jeden przyszedł do roboty nie w porę, bo po pijanemu pomylił zmiany, a drugi – też po pijanemu – bronił terenu przed intruzem. „Niewłaściwy" stróż pokonał jednak „właściwego", chwytając za siekierę... I to się nazywa pęd do pracy!

Czytajcie więcej na **www.facebook.com/RosjaHFRM**

Hubert
Kowalski

UNIJNY PLAN:
Ponad 350 tys. nowych migrantów rocznie

MASY CUDZOZIEMCÓW POD PRETEKSTEM STUDIÓW

Unijne instytucje uznały, że do 2030 roku cała Wspólnota ma zacząć przyjmować każdego roku ponad 350 tys. nowych cudzoziemców spoza Unii Europejskiej, którzy zechcą tu studiować. Oficjalnie chodzi o ratowanie rynku pracy i wzmacnianie kompetencji. W tym celu trzeba będzie uprościć procedury wizowe. Nie ma jednak żadnej pewności, że przybysze rzeczywiście ukończą studia, zostaną cenionymi fachowcami i nie trafią do szarej strefy. Nie wiadomo, czy zostaną w krajach, w których się wykształcili. Dotychczasowe dane pokazują, że niektóre państwa UE tracą nawet ponad połowę migrantów, którzy wcześniej rozpoczęli w nich studia.

Z danych Eurostatu wynika, że w 2025 roku 45 proc. mieszkańców UE w wieku 25–34 lat miało wykształcenie wyższe. Dla porównania w 2010 roku było to tylko 33 proc. To pokazuje bardzo szybki wzrost w ciągu kilkunastu lat. Poziom osób z wyższym wykształceniem jest w Europie najwyższy w historii. Instytucje unijne uznały jednak, że kraje członkowskie potrzebują tysięcy dodatkowych osób spoza UE, które zechcą tu rozpocząć studia.

Unia bierze się za edukację

Kwestia masowego sprowadzania migrantów na studia ma swoje źródła w Europejskim Obszarze Edukacji, który przez lata ewoluował. To długofalowy projekt UE, mający stopniowo integrować systemy edukacji państw członkowskich. Koncepcję EOE przedstawiła w 2017 roku Komisja Europejska. Początkowo projekt koncentrował się głównie na ułatwieniu mobilności uczniów i studentów, wzajemnym uznawaniu dyplomów, nauce języków obcych oraz rozwijaniu współpracy między szkołami i uczelniami. W 2018 roku Rada UE przyjęła zalecenia promowania w edukacji m.in. wspólnych wartości, które stały się częścią EOE. Chodzi m.in. o popularyzację demokracji, tolerancji, przeciwdziałanie dyskryminacji w szkolnictwie. W praktyce sprowadza się to do kwestii szczególnie ważnych dla środowisk lewicowych. Z kolei w 2021 roku Rada UE przyjęła strategiczne ramy współpracy na lata 2021-2030 i EOE został rozszerzony o potrzebę wdrażania m.in. edukacji obywatelskiej czy transformacji ekologicznej.

FOT. ADOBE STOCK

PYTANIE BEZ ODPOWIEDZI

Żaden z unijnych urzędników nie zadał sobie trudu, aby chociaż oszacować, ilu tych najlepiej wykształconych migrantów dzięki unijnym uczelniom rzeczywiście później zostanie i będzie pracować dla gospodarki kraju, który ich wykształcił.

Magnes na migrantów

Komisja Europejska uznała również, że współpraca państw w kwestii edukacji powinna w większym stopniu odpowiadać także na potrzeby gospodarki. W dokumentach wskazano na starzenie się społeczeństwa, malejącą liczbę osób w wieku produkcyjnym, niedobory wykwalifikowanych pracowników oraz potrzebę zwiększenia konkurencyjności UE, czyli ogólnie na realne problemy. Na tej podstawie Komisja w 2025 roku zaproponowała kolejny etap rozwoju polityki w postaci strategii o nazwie „Union of Skills", która ma połączyć edukację z rynkiem pracy oraz pozyskiwaniem talentów z całego świata i stać się swego rodzaju „magnesem na talenty". KE oceniła, że dzięki temu Europa stanie się atrakcyjniejszym miejscem dla osób posiadających lub zdobywających wysokie kwalifikacje. KE zapowiedziała też m.in. promowanie europejskich uczelni na świecie, stworzenie platformy ułatwiającej rekrutację, zachęty do pozostania w UE po studiach czy przygotowanie strategii z rozwiązaniami ułatwiającymi przyjazd studentom i pracownikom spoza Starego Kontynentu. Zakłada się, że docelowo Europa ma stać się jeszcze bardziej atrakcyjna dla osób spoza UE, a w tym celu państwa mają dostosować swoją politykę edukacyjną, wizową i migracyjną.

Już od 2030 roku

W „Union of Skills" pojawiła się konkretna liczba 350 tys. osób spoza UE. W strategii napisano, że Komisja proponuje nowy cel: do 2030 roku roczna liczba osób spoza UE przyjeżdżających do UE w celu podjęcia nauki i uzyskania dyplomu na poziomie wyższym powinna wynieść co najmniej 350 tys. Oznacza to, że liczba ta jest progiem minimalnym, jaki ma spełniać cała Wspólnota każdego roku. Z politycznego punktu widzenia to jasny sygnał, że KE chce zwiększać, a nie ograniczać liczbę osób spoza UE, które przybywają do państw członkowskich. A państwa członkowskie mają wprowadzać prawo sprzyjające osiągnięciu tych celów.

„Union of Skills" nie odpowiada na pytanie, kto poniesie koszty ich wykształcenia. Choć przyznano, że Europa nie ma wystarczającej liczby wysoko wykwalifikowanych pracowników, to cel co najmniej 350 tys. nie jest ograniczony do przyszłych inżynierów czy innych przedstawicieli zawodów deficytowych. Unijne dokumenty nie przewidują konieczności wybierania określonych kierunków studiów, nie nakładają obowiązku posiadania jakichkolwiek kwalifikacji, nie nakazują pozostania w UE po studiach. Państwa mają wprowadzać ułatwienia w przyjmowaniu przyszłych studentów dowolnych kierunków. Co istotne, nie ma również mowy o konkretach związanych z weryfikacją. W praktyce może się więc okazać, że studia cudzoziemców okażą się fikcją. Niektórzy ich nie ukończą, inni nigdy nie rozpoczną nauki, a część prawdziwych absolwentów szybko wyjedzie za granicę. Nie wyjaśniono, dlaczego wybrano właśnie liczbę co najmniej 350 tys. osób. Wątpliwości nie rozwiała rezolucja Rady UE z 29 czerwca 2026 roku dotycząca celów EOE na lata 2026–2030. W tym dokumencie powtórzony został cel 350 tys. osób rocznie przyjeżdżających na studia. Wszystko wskazuje na to, że instytucje unijne będą dążyć do tego celu również poprzez wdrażanie odpowiedniego prawa.

Cudzoziemcy studiują i wyjeżdżają

Plan masowego sprowadzania cudzoziemców na studia w celu kształcenia dobrze wykwalifikowanej kadry jest zastanawiający także ze względu na dane. Powstaje bowiem pytanie, ilu tych najlepiej wykształconych migrantów dzięki unijnym uczelniom rzeczywiście później zostanie i będzie pracować dla gospodarki kraju, który ich wykształcił. Prognozę daje raport OECD „International Students in Higher Education", opublikowany w 2026 roku, analizujący sytuację m.in. w Niemczech, we Francji i w Holandii. Sprawdzono osoby, które po raz pierwszy otrzymały zezwolenie na pobyt w celu studiowania w 2015 roku, a następnie ile z nich po pięciu latach nadal posiadało ważny tytuł pobytowy w tym samym państwie. Z analizy wyłączono osoby, które po pięciu latach nadal przebywały wyłącznie na podstawie pozwolenia studenckiego. Oznacza to, że wskaźnik pokazuje odsetek byłych studentów, którzy pięć lat później nadal legalnie przebywali w kraju, w którym rozpoczęli studia, najczęściej już na podstawie pobytu związanego z pracą, działalnością gospodarczą lub rodziną. Według raportu po tym okresie w Niemczech pozostało 52 proc. osób, we Francji 33 proc., w Holandii tylko 19 proc. W samym raporcie napisano, że choć większość studentów zagranicznych deklaruje chęć pozostania w kraju studiów przynajmniej przez pewien czas, to tylko część z nich pozostaje w nim długoterminowo. Niestety niewiadomą pozostają zarówno mechanizmy umożliwiające zatrzymanie tych absolwentów, którzy realnie byliby przydatni dla państw unijnych, jak i te ograniczające różne patologie związane z masową migracją. **GP**

Tętnice współczesnego świata

Konrad **Wysocki**

PODWODNE KABLE A FLOTA CIENI

Aż 99 proc. międzykontynentalnego transferu danych każdego dnia przepływa przez rozsiane na dnie mórz i oceanów podwodne kable. Od zwykłych wiadomości, po strategiczne informacje wojskowe i polityczne, skończywszy na gigantycznych transakcjach, których wartość codziennie przekracza niewyobrażalne 10 bln dolarów. Niewidzialny gołym okiem cyfrowy krwiobieg już dawno stał się celem wojny hybrydowej. Aby go przeciąć lub uszkodzić, nie trzeba zaawansowanych okrętów podwodnych – wystarczy do tego tzw. flota cieni.

Mając przed sobą gigantyczną liczbę danych, przelewów i operacji finansowych, ich szybkość, a także przez wzgląd na strategiczną rolę, jaką odgrywa podwodna infrastruktura cyfrowa, mogłoby się wydawać, że tworzy ją sieć potężnych rur. Oczywiście takich konstrukcji też nie brakuje, jednak większość z nich przypomina raczej węże do podlewania ogródków. Stalowe pancerze i dodatkowe zabezpieczenia stosuje się tylko w newralgicznych miejscach. Łączna długość kabli to ponad 1,5 mln km. To tyle, ile podróż na Księżyc i z powrotem. I tak dwa razy. Połączone mogłyby też opleść Ziemię około 35 razy. Najgłębiej położony kabel – na dnie Rowu Japońskiego – leży na głębokości 8 km. W miejscu tym przebiegają systemy światłowodowe łączące Azję Wschodnią ze Stanami Zjednoczonymi, a także infrastruktura ostrzegająca przed trzęsieniami ziemi i tsunami.

Zatłoczony Bałtyk

Podwodna sieć infrastruktury krytycznej to także domena Morza Bałtyckiego. Znajduje się tam blisko 30 głównych, międzynarodowych systemów kablowych. Do tego należy doliczyć tysiące kilometrów mniejszych kabli łączących na przykład morskie farmy wiatrowe z lądem oraz rurociągi gazowe. Co ciekawe, Bałtyk uznawany jest za jeden z najbardziej zatłoczonych i ciasnych akwenów na świecie. Odpowiada aż za 15 proc. globalnego transportu morskiego. W ciągu doby po morzu tym pływa ponad 4 tys. statków. Wśród nich obecna jest też tzw. flota cieni. Pływające przestarzałe jednostki, często pod banderą mikropaństw czy wysepek, stały się w ostatnich latach kluczowym narzędziem w rękach reżimu Władimira Putina, wpływającym na regionalne bezpieczeństwo.

Rosja na targu staroci

Flota cieni to ważny element wojny hybrydowej prowadzonej przez Rosję. Zastępuje ona tę część rosyjskiej gospodarki, która kuleje z powodu zachodnich sankcji. – To właśnie dzięki flocie cieni Kreml omija restrykcje, handluje ropą i wciąż ma z czego finansować wojnę – mówi „GP" płk Marek Utracki, były wiceszef Służby Kontrwywiadu Wojskowego (SKW), ekspert ds. bezpieczeństwa. – W 2022 roku Rosja eksportowała ropę w ilości 2,2 mln baryłek dziennie, a już w 2024 roku było to blisko

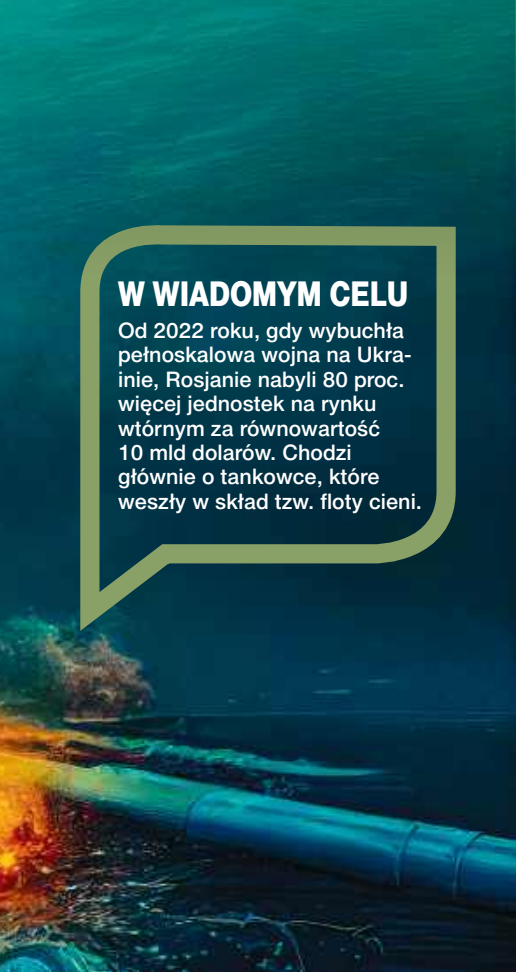

W WIADOMYM CELU

Od 2022 roku, gdy wybuchła pełnoskalowa wojna na Ukrainie, Rosjanie nabyli 80 proc. więcej jednostek na rynku wtórnym za równowartość 10 mld dolarów. Chodzi głównie o tankowce, które weszły w skład tzw. floty cieni.

dwa razy więcej – 4,1 mln baryłek, właśnie za sprawą floty cieni – dodaje. Od 2022 roku, gdy wybuchła pełnoskalowa wojna na Ukrainie, Rosjanie nabyli 80 proc. więcej jednostek na rynku wtórnym za równowartość 10 mld dolarów. Chodzi głównie o tankowce, które weszły właśnie w skład floty cieni. – Łączna liczba tych jednostek wzrosła do tysiąca. Pracuje na nich 13 tys. marynarzy, nawet z krajów, które sankcjonują rosyjską gospodarkę – precyzuje ekspert. Niekontrolowany ruch na wodach to nie tylko pływająca pralka brudnych pieniędzy. To przede wszystkim idealny kamuflaż dla działań uderzających w cyfrowy krwiobieg pod przykrywką transportu czy rzekomych badań.

Państwa z regionu Morza Bałtyckiego przechodzą do kontrofensywy – zamiast biernie przyglądać się dryfującym zagrożeniom, straże przybrzeżne i marynarki wojenne państw NATO coraz częściej zatrzymują podejrzane statki.

FOT. ADOBE STOCK/AI

Celowy wypadek

Skoro miejscem wysłużonych, zdezelowanych samochodów jest szrot, tak samo powinno być z przestarzałymi statkami, które już z daleka straszą swoim wyglądem. Jednak jak widać, to, co w cywilizowanym świecie dyskwalifikuje dany sprzęt, przez Rosję wykorzystywane jest do realizacji strategicznych celów. Większość tzw. floty cieni to właśnie wyeksploatowane tankowce, których fatalny stan techniczny pełni podwójną funkcję. Po pierwsze – stara maszyna to perfekcyjne alibi dla sabotażu. Gdy nagle wielotonowa kotwica ląduje na dnie i rozrywa kolejny światłowód, tłumaczenie jest proste – było stare, więc się zepsuło. Mamy tego przykład sprzed kilku miesięcy. W grudniu ubiegłego roku fińskie służby specjalne musiały interweniować i zatrzymać statek „Fitburg". Jednostka ta rzekomo „przypadkowo" rzuciła kotwicę i ciągnęła ją po dnie przez ponad 100 km, niszcząc infrastrukturę telekomunikacyjną między Finlandią a Estonią. Takie wydarzenia obnażają twardą prawdę: pod płaszczykiem błędu nawigacyjnego czy rzekomej awarii wysłużonego sprzętu można dziś z łatwością dokonać aktu paraliżującego sabotażu. Po drugie – statki te to pływające bomby ekologiczne. Jednostki bez zachodnich certyfikatów i wiarygodnego ubezpieczenia stają się narzędziem niemego szantażu. Zwraca na to uwagę również nasz rozmówca. – W miarę trwania zachodnich sankcji podobnych jednostek pojawia się na Bałtyku coraz więcej. Równocześnie są one w coraz gorszym stanie technicznym, co rodzi zagrożenie dla infrastruktury krytycznej, takiej jak m.in. kable. Taka przestarzała jednostka może też zostać celowo uszkodzona i opaść w rejonie, w którym na dnie zalegają m.in. bomby czy związki chemiczne po dwóch wojnach światowych, a jest ich w Bałtyku bardzo dużo. Inny ważny cel floty cieni to monitorowanie aktywności państw NATO w regionie – wskazuje płk Utracki.

Polowanie na widmo

Raporty międzynarodowych inspekcji portowych jasno wskazują, że nawet 70 proc. statków z tzw. floty cieni ma usterki o znaczeniu krytycznym. Fakt, że statki są zarejestrowane na egzotyczne kraje i zazwyczaj nie posiadają ubezpieczenia, powoduje, że wyegzekwowanie roszczeń z tytułu uszkodzenia lub innego zdarzenia na morzu jest praktycznie niemożliwe. Dlatego państwa z regionu Morza Bałtyckiego przechodzą do kontrofensywy. Zamiast biernie przyglądać się dryfującym zagrożeniom, straże przybrzeżne i marynarki wojenne państw NATO zacieśniają pętlę i coraz częściej zatrzymują podejrzane statki. – Sama Szwecja w ostatnich miesiącach zatrzymała cztery takie jednostki – przypomina ekspert. Podobne działania podjęły m.in. Finlandia, Niemcy czy Dania. Ostatni z wymienionych krajów jest kluczowym graczem, ponieważ kontroluje Cieśniny Duńskie – jedyne wyjście z Bałtyku na oceany. – Z punktu widzenia Rosji Cieśniny Duńskie są niezwykle „niewygodne" w kontekście przejścia z wód oceanicznych na Bałtyk. Możliwość zablokowania tych kanałów transportowych może wpłynąć negatywnie nie tylko na rosyjską gospodarkę, ale też na prowadzenie przez nią działań zbrojnych. Myślę, że dowództwo NATO powinno bardziej zwracać uwagę na ten aspekt – wskazuje płk Utracki. Warto jednak pamiętać, że kraje w regionie nie mają wystarczającej liczby okrętów zdolnych całościowo zwalczać tego typu zagrożenia. – Zatrzymanie jednego, dwóch statków nie jest wielką stratą Rosji. Ale zakorkowanie floty cieni w okolicach Cieśnin Duńskich jest jak najbardziej w zasięgu możliwości. Do tego potrzeba jednak determinacji i woli politycznej, której na razie nie widać – uważa. Czas jednak ucieka, bo stawką nie jest już tylko zatrzymanie rosyjskiego eksportu ropy, ale ochrona strategicznych połączeń, bez których zachodnia gospodarka i systemy bezpieczeństwa po prostu przestaną funkcjonować. A „zardzewiała armada" Putina cały czas się powiększa. **GP**

Maciej **Pawlak**
SZEF DZIAŁU GOSPODARKA

KOLEJNE PLAGI spadają na rolnictwo

CZY POLSKA BRANŻA ROLNA PRZETRWA?

To, czy polscy chłopi będą mogli dalej, jak od wieków, nas żywić i chronić nasze bezpieczeństwo żywnościowe, pokażą kolejne miesiące i lata. Jak na razie fakty wskazują na to, że wszystko zdaje się sprzysięgać, by to zadanie okazało się niewykonalne bądź co najmniej trudne do realizacji.

W grę wchodzą nie tylko niższe niż rok wcześniej ceny w skupie i na targowiskach większości podstawowych produktów rolnych czy trudne warunki pogodowe: wyjątkowo mroźna zima, a następnie niemal nieprzerwany ciąg okresów suszy. To także ostatnia prognoza GUS przewidująca mniejsze od kilku do kilkunastu procent w bieżącym roku od ubiegłorocznych zbiory głównych ziemiopłodów rolnych i ogrodniczych, jak również zwiększenie ich importu w ostatnich miesiącach.

To jednak nie wszystko – przy biernej postawie obecnego rządu, w tym Ministerstwa Rolnictwa, wiadomo, że od początku 2028 roku, w ramach kolejnej perspektywy finansowej UE (2028–2034) zostanie zlikwidowana tzw. Wspólna Polityka Rolna, tj. unijne narzędzie do wyrównywania warunków funkcjonowania sektora rolnego w całej Unii poprzez dopłaty do każdego hektara w gospodarstwach rolniczych we wszystkich krajach członkowskich. Budżet WPR ma zostać nie tylko połączony z mechanizmem tzw. polityki spójności, ale i zmniejszony o co najmniej 30 proc.

Ceny w skupie wciąż w dół

Z ostatnich danych GUS za czerwiec br. wynika, że ceny skupu podstawowych

FOT. FILIP BŁAŻEJOWSKI/GAZETA POLSKA

DWA CIOSY

Wbito rolnikom nóż w plecy – przede wszystkim w postaci unijnej umowy z krajami Mercosuru. Zaś drugi cios związany był z napływem ogromnych ilości produktów rolniczych z Ukrainy, zwłaszcza zbóż i kukurydzy.

produktów rolnych, tj. ziaren pszenicy i żyta, żywca rzeźnego: wołowego, wieprzowego i drobiowego, oraz mleka krowiego, łącznie spadły nie tylko w stosunku do maja br. (o 0,2 proc.), ale i do czerwca br. (o 15,2 proc.). Przy czym największe spadki (roczne), powyżej 10 proc., odnotowano wobec trzody chlewnej (27,6 proc.), owsa (23,1 proc.), mleka (22,7 proc.), a także wobec zbóż: żyta (14,4 proc.), jęczmienia (12,6 proc.) i pszenżyta (13,1 proc.).

Jedynymi produktami rolnymi, które w czerwcu br. w skupie odnotowały ceny wyższe niż w czerwcu ubiegłego roku, były ziemniaki (o 5,4 proc.) oraz bydło (bez cieląt) – o 5,2 proc.

Podobna sytuacja – o czym informowaliśmy już w „GP" – panowała także w poprzednich miesiącach bieżącego roku, jak i w ubiegłym roku. Przy czym choć ceny produktów rolnych na targowiskach były z reguły nieco wyższe niż w skupie, to i tak – w porównaniu z czerwcem ubiegłego roku – były niższe niż rok wcześniej.

Kosztem rolników spada inflacja

Jak zaznaczył poseł Zbigniew Kuźmiuk (PiS) z sejmowej komisji rolnictwa, w tym roku wzrosły koszty wytwarzania w rolnictwie, m.in. ceny nawozów sztucznych ze względu na ceny gazu. – Teraz, w okresie zbiorów, koszty paliw także są duże. Zatem w sytuacji niższych plonów i gdy ceny podstawowych produktów rolnych są niższe niż rok temu, sytuacja dochodowa polskich rolników jest dramatycznie zła. Za naszych rządów udało się doprowadzić do obniżenia przez rok akcyzy i VAT na paliwo. Tymczasem w tym roku po zakończeniu przez rząd CPN – trzymiesięcznego programu obniżającego ceny paliwa – ich ceny gwałtownie wzrosły – mówi Kuźmiuk. – Oczywiście rolnictwo nie żyje jedynie dzięki wsparciu państwa. Najlepszym mechanizmem na jego rozwój są opłacalne ceny. A przypominam, że w czasie naszych rządów pszenica była po 1200 zł/t, ale rolnicy żądali jeszcze dopłat. Zaś te dopłaty były po 300–400 zł/t. Teraz cena rynkowa wynosi 600–700 zł/t i o dopłatach nawet nikt nie piśnie. Obecny rząd pozostawił rolników samych sobie. Czeka ich fundamentalnie zła sytuacja. Często słyszę, że rolnicy nawet zastanawiają się nad samym zbieraniem zboża. Rządzący się cieszą, że kosztem rolników spada inflacja. Ale rolnicy płaczą – dodaje poseł.

Niższe tegoroczne plony

Niższe ceny w skupie to niejedyny problem trapiący polskich farmerów. Choć żniwa w pełni, ze statystyk GUS wynika, że wstępny szacunek głównych ziemiopłodów rolnych i ogrodniczych w br. wskazuje, że zbiory wszystkich głównych upraw rolnych i ogrodniczych będą niższe od ubiegłorocznych o od co najmniej kilku do kilkunastu procent. Według GUS zbiory zbóż podstawowych z mieszankami zbożowymi szacuje się na o około 4,9 proc. mniej od zbiorów ubiegłorocznych; zbiory rzepaku i rzepiku – prawie 14,4 proc. mniej od zbiorów ubiegłorocznych; produkcja warzyw gruntowych będzie niższa o 4,5 proc. w porównaniu do ubiegłego roku; zbiory owoców z drzew będą niższe o około 18,6 proc. od ubiegłorocznych; produkcja owoców z krzewów owocowych i plantacji jagodowych ma być niższa o około 6,5 proc.

Bierność rządzących

Niższe tegoroczne szacunki wielkości zbiorów to również skutek zadziwiającej niemocy obecnie rządzących, w tym Ministerstwa Rolnictwa, które o wspomnianych pogarszających się od miesięcy warunkach działalności rolniczej w kraju nie mogło nie wiedzieć. Tymczasem na przełomie lipca i sierpnia br. na swoich stronach internetowych wspomina o zakończeniu naboru wniosków o przyznanie premii dla młodych rolników (wpłynęło ich 7 275, o łącznej wartości blisko 1,9 mld zł, tj. dwukrotnie więcej niż w ubiegłym roku). Ale nie wiadomo, czy i kiedy zostaną one przyznane i w jakiej wysokości. Ze stron resortu dowiadujemy się także m.in., że „Filipiny otwierają się na polskie jabłka" oraz jak chronić przed upałami hodowane w gospodarstwach zwierzęta...

Resort rolnictwa zaczął wreszcie myśleć o realnych rekompensatach dla rolników stosujących nawozy sztuczne, które podrożały średnio o 30 proc. w stosunku do ubiegłego roku w związku ze wzrostem cen gazu. Planowane dopłaty do tych nawozów mają wynieść do 500 zł/hektar, z maksymalnym limitem do 300 ha na jedno gospodarstwo (tj. do 150 tys. zł wsparcia). Niestety – jak zaznacza portal WiesciRolnicze.pl – tego, kiedy ruszy nabór wniosków w tej sprawie i jaka kwota ostatecznie trafi do gospodarstw, minister rolnictwa Stefan Krajewski nie ujawnił.

Dwa sztylety w plecy

– Nie przypominam sobie rządu, który by tak lekceważył naszych rolników – komentuje dla „GP" Janusz Szewczak, analityk gospodarczy, były główny ekonomista

> *Rolnicy już na starcie nie mają szans, by konkurować z płodami rolnymi importowanymi ze wszystkich innych kontynentów. Zatem ceny produkowanych przez polskich rolników produktów spadają.*

Kasy Krajowej SKOK. – Przecież poważne protesty z ich strony odbywały się bez żadnego efektu. Wbito rolnikom nóż w plecy – przede wszystkim w postaci unijnej umowy z krajami Mercosuru.

Drugi cios związany był z napływem ogromnych ilości produktów rolniczych z Ukrainy, zwłaszcza zbóż i kukurydzy. Wskutek tego ceny zbóż przez ostatnie dwa lata kompletnie załamały się. Przy tym nie było do tego żadnej specjalnej formuły dopłat ze strony państwa. Ponadto branżę tę wykorzystują działające w naszym kraju wielkie sieci handlowe – w większości pochodzenia zagranicznego, sprzedające produkty spożywcze za grosze. Dodatkowo nasze rolnictwo w obecnym okresie żniw dobijają skrajnie wysokie ceny paliwa dieslowskiego – nierzadko już w granicach 8,5–9 zł za litr. Wszystko to przełoży się na wzrost cen produktów spożywczych i rolnych na jesieni.

Mniej pieniędzy z UE od 2028 roku

To nie koniec plag dotykających naszych rolników. Już wiadomo, że od 2028 roku, tj. w kolejnej tzw. perspektywie finansowej UE, dotychczasowa Wspólna Polityka Rolna, z której rolnicy – nie tylko z Polski, ale i ze wszystkich krajów UE – otrzymywali określonej wysokości dopłaty do każdego hektara uprawianej ziemi, zostanie wrzucona do jednego worka z tzw. polityką spójności. Budżet UE borykający się z ogromnym zadłużeniem chce w ten sposób zaoszczędzić wydatki na wspomaganie rolnictwa. Ekspert Andrzej Strojny z Warsaw Enterprise Institute do listy przyczyn zmniejszenia środków UE na rolnictwo dopisuje niewykluczoną w kolejnych miesiącach akcesję Ukrainy do UE i objęcie także jej branży rolnej wspomnianymi dopłatami. Strojny szacuje, że możemy stracić od 7 do 8 mld euro w jednej siedmioletniej perspektywie budżetowej, a najwięcej zyskać mogą wielkie agroholdingi. Te ostatnie to wielkie podmioty dominujące na ukraińskiej wsi. Według Strojnego tym samym polskim rolnikom zostanie przyznane z UE 31–39 proc. środków mniej niż dotąd.

Nie mamy szans, by konkurować z innymi

Łukasz Zbonikowski, sekretarz NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność", podkreśla w wypowiedzi dla „GP", że sytuacja w rolnictwie jest katastrofalna ze względu na decyzje polityków – euroentuzjastów. – Pootwierali oni wszystkie pozaeuropejskie kontynenty na bezcłowe kontyngenty płodów rolnych, bez norm i bez wszystkich czynności dla zachowania odpowiednio wysokiej jakości hodowanych przez siebie płodów rolnych, które muszą wykonywać europejscy rolnicy, w tym polscy. W związku z tym my już na starcie nie mamy szans, by konkurować z płodami rolnymi importowanymi z wszystkich innych kontynentów – przyznaje Zbonikowski. Dlatego ceny płodów produkowanych przez polskich rolników spadają. – W tym momencie dobry rząd uruchomiłby jakiś program rekompensat – dopłat, myślał nad tym, jak obniżyć dopłaty obszarowe czy jak poszatkować tzw. ekoschematy, z których co roku coraz mniej otrzymuje rolnik. Nie ma możliwości, by europejski rolnik produkował tanio, bez środków na produkcję, jakie mają rolnicy z krajów Azji, Ameryki Południowej czy nawet Afryki, za to z dwa razy wyższymi niż tam cenami energii, paliw i robocizny – dodaje. **GP**

GOSPODARCZY FLASH

FUNDACJE RODZINNE POD LUPĄ MF

Według portalu Prawo.pl Ministerstwo Finansów wraca do pomysłu zmian uszczelniających przepisy dotyczące opodatkowania fundacji rodzinnych – poinformował serwis PAP MediaRoom. Proponuje uzależnienie stosowania preferencyjnego opodatkowania od utrzymania własności składników majątku przez 36 miesięcy, a także objęcie wypłat stawką 19 proc. (zamiast 15 proc.). Projekt MF zakłada też doprecyzowanie zasad opodatkowania osiąganych przez fundację rodzinną przychodów z umów, których przedmiotem jest oddanie nieruchomości do odpłatnego korzystania (najem krótkoterminowy).

Z JEDNEGO DUŻEGO TRZY MNIEJSZE

Zamiast jednego województwa mazowieckiego trzy nowe: warszawskie, płocko-siedleckie i staropolskie, które połączyłoby region radomski z województwem świętokrzyskim. Z taką propozycją wyszedł niedawno ekspert Instytutu Sobieskiego dr Łukasz Zaborowski. W rozmowie z agencją Newseria podkreślił, że nowy podział administracyjny wzmocniłby pozycję stolicy na tle europejskich metropolii, a pozostałym częściom regionu stworzyłby lepsze warunki do rozwoju. Pojawiają się jednak obawy o konsekwencje ewentualnych zmian w kontekście m.in. organizacji transportu, edukacji czy usług.

FOT. PIOTR GALANT/GAZETA POLSKA, ADOBE STOCK

Wieści z UE

Najnowsze newsy i nie tylko z obszaru Unii Europejskiej

Tomasz **Mysłek**

Europa w skrócie

UE wypłaciła Ukrainie kolejne miliardy na broń 30 lipca komisarze UE przekazali Ukrainie 3,47 mld euro z przyznanej jej w kwietniu „pożyczki" 90 mld euro, którą będą musieli spłacać wszyscy podatnicy z wszystkich krajów UE. Te środki mają trafić „na pilne potrzeby wojskowe Ukrainy", w tym na zakup dronów dalekiego zasięgu, różnych rakiet i myśliwców Gripen. W sierpniu mają być wypłacone dalsze miliardy na drony, amunicję i rakiety. Komisja UE przypomniała, że w ramach tego programu już wypłaciła Ukrainie 3,9 mld euro 30 czerwca i 1,1 mld euro 15 lipca. A 25 czerwca przekazała 3,2 mld euro na cele cywilne. W tym roku Ukraina ma otrzymać z UE aż 28,3 mld euro na wsparcie przemysłu obronnego.

Holenderskie sankcje Holenderskie ministerstwo spraw zagranicznych ogłosiło, że od 22 września będzie obowiązywał zakaz kupowania i importu do Holandii towarów pochodzących z nielegalnych żydowskich osiedli na okupowanych terenach palestyńskich. Te osiedla są uznawane za nielegalne na mocy międzynarodowego prawa. Dotychczas Holandia odbierała 1/3 produktów eksportowanych z ww. osiedli, a krajom UE nie udało się osiągnąć wspólnego porozumienia w sprawie zakazu importu tych towarów.

Ceny noclegów w krajach UE wzrosły bardziej niż inflacja Słowacka firma Finax podała, że w ciągu ostatnich pięciu lat noclegi hotelowe i inne w krajach UE poszły w górę średnio aż o 46,5 proc. Szczególnie mocno podrożały w najpopularniejszych turystycznych krajach, jak choćby w Chorwacji, gdzie ceny noclegów niemal się podwoiły (wzrost o 92,2 proc.). W Grecji ceny te wzrosły o 68,3 proc., a w Hiszpanii o 76,1 proc.

Rośnie liczba tych, których nie stać na wakacje Eurostat podał, że w 2025 roku 27,5 proc. mieszkańców krajów UE w wieku 16 lat i więcej ze względów finansowych nie mogło sobie pozwolić na tygodniowy wakacyjny urlop poza miejscem zamieszkania. Oznacza to wzrost o ponad 0,5 proc. w porównaniu z 2024 rokiem. W roku ubiegłym w Polsce było 24,5 proc. takich mieszkańców, w Rumunii 61,4 proc., w Grecji 46,6 proc., a w Bułgarii i na Węgrzech po 39,1 proc. Najmniej takich osób było w Szwecji (12,4 proc.) i Niderlandach (12,8 proc.).

SPRZECIW LEKARZY WE FRANCJI

Na kilka tygodni przed spodziewanym wejściem w życie ustawy o „pomocy w umieraniu" i eutanazji 150 dyrektorów chrześcijańskich szpitali we Francji zapowiedziało, że nie zastosuje się do nowego prawa.

Zalew kolejnych milionów imigrantów w Hiszpanii Dziennik „ABC" podał, że proces legalizacji pobytu w Hiszpanii ponad 1,3 mln nielegalnych imigrantów, zainicjowany w maju przez rząd socjalistów i komunistów, spowoduje wzrost liczby imigrantów w Hiszpanii o ponad 3 mln w ciągu pięciu lat. Tak to oceniają źródła policyjne. Przybysze z Ameryki Południowej czy z Afryki, którzy już zalegalizują swój pobyt, będą zabiegać o sprowadzenie do Hiszpanii swoich bliskich. Obecnie wśród około 50 mln ludzi, którzy mieszkają w tym kraju, aż prawie 1/5 urodziła się za granicą. **GP**

FOT. FACEBOOK

Rosyjskie sobolowe futra wracają na rynki UE

Państwa UE przyjęły 21. pakiet sankcji wobec Rosji. Z listy towarów objętych sankcjami UE wykreślono sobolowe skóry. Władze UE przywróciły zgodę na ich import, bo za tym lobbowały Włochy i Grecja, które należą do największych odbiorców tych produktów. Decyzję uzasadniono dominującą pozycją Rosji na światowym rynku sobolowych skór i futer oraz mocno ograniczoną dostępnością innych dostawców.

KLUBY GAZETY POLSKIEJ

Kluby „Gazety Polskiej” oddały hołd Bohaterom Powstania Warszawskiego

W Warszawie tysiące osób zatrzymały się w Godzinę „W”, by oddać hołd powstańcom warszawskim. W Jastrzębiu-Zdroju, Dzierżoniowie, Inowrocławiu, Gliwicach, Piotrkowie Trybunalskim i wielu innych miastach biało-czerwone kwiaty, znicze, modlitwa i chwila ciszy stały się wyrazem wdzięczności wobec tych, którzy 82 lata temu stanęli do nierównej walki o wolność stolicy.

WARSZAWA | Już od wczesnych godzin porannych do Warszawy zaczęły docierać autokary i samochody z klubowiczami „Gazety Polskiej” z całej Polski. Dla wielu środowisk był to planowany przez wiele miesięcy wyjazd, by wspólnie uczestniczyć w obchodach 82. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego. Z biało-czerwonymi flagami, banerami klubowymi „GP” przyjechali, by oddać hołd bohaterom jednego z najważniejszych zrywów niepodległościowych w historii Polski. Punktualnie o Godzinie „W” stolica zatrzymała się. Rozległy się syreny alarmowe i dzwony kościelne, zamarł ruch uliczny, a mieszkańcy oraz tysiące przybyłych gości minutą ciszy uczcili pamięć powstańców warszawskich. Następnie liczna reprezentacja Klubów „Gazety Polskiej” uczestniczyła w Marszu Powstania Warszawskiego zorganizowanym przez Roty Niepodległości oraz Ruch Obrony Granic. Tysiące uczestników przeszły ulicami stolicy z biało-czerwonymi flagami i symbolami Polski Walczącej, przypominając, że pamięć o bohaterach sierpnia 1944 roku nadal jednoczy kolejne pokolenia Polaków.

BYDGOSZCZ | Klub „Gazety Polskiej” Bydgoszcz po raz kolejny współorganizował rozbudowane obchody rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego, udowadniając, że pamięć historyczną można przekazywać kolejnym pokoleniom w atrakcyjny i angażujący sposób. Mimo niesprzyjającej pogody wydarzenie zgromadziło licznych mieszkańców, którzy wspólnie uczcili pamięć powstańców. Jeszcze przed Godziną „W” na uczestników czekało wiele atrakcji przygotowanych przede wszystkim z myślą o najmłodszych. Dzieci brały udział w grze terenowej i konkursie plastycznym poświęconym Powstaniu Warszawskiemu, a każdy uczestnik otrzymał pamiątkowy upominek, natomiast autorzy najlepszych prac zostali nagrodzeni. Czas oczekiwania na Godzinę „W” umilał koncert zespołu wokalnego Ludmiły Małeckiej, a ulicami przechadzały się postacie stylizowane na mieszkańców okupowanej Warszawy – gazeciarz, pucybut, handlarz, tajniak, warszawskie cwaniaki oraz kobieta z dziecięcym wózkiem, tworząc niepowtarzalny klimat tamtych lat. Punktualnie o godzinie 17 rozległy się syreny alarmowe. Po wspólnym odśpiewaniu hymnu państwowego w niebo wypuszczono sto biało-czerwonych balonów jako symbol pamięci o bohaterach Powstania Warszawskiego. Następnie odbyła się widowiskowa rekonstrukcja starcia powstańców z niemieckim okupantem, która – zgodnie z tradycją – zakończyła się zwycięstwem polskich żołnierzy. W dalszej części uroczystości mieszkańcy wspólnie śpiewali pieśni powstańcze przy akompaniamencie zespołu Ludmiły Małeckiej. Artyści otrzymali pamiątkowe dyplomy i upominki, a na wszystkich uczestników czekała kuchnia polowa serwująca tradycyjną powstańczą grochówkę oraz kiełbasę z grilla.

Z biało-czerwonymi flagami, banerami klubowymi „GP” klubowicze przyjechali do Warszawy, by oddać hołd bohaterom jednego z najważniejszych zrywów niepodległościowych w historii Polski.

FOT. ARCH.

PABIANICE | Członkowie Klubu „Gazety Polskiej” Pabianice oddali cześć powstańcom warszawskim, składając wiązankę kwiatów oraz zapalając znicze pod Pomnikiem Legionisty. W krótkiej, lecz uroczystej ceremonii podkreślono znaczenie pamięci o bohaterach walczących o wolność Polski.

INOWROCŁAW | Jak co roku mieszkańcy Inowrocławia zgromadzili się, by uczcić rocznicę wybuchu Powstania Warszaw-

skiego. W uroczystościach uczestniczyli przedstawiciele wielu środowisk, którzy mimo różnic potrafili wspólnie oddać hołd powstańcom. Klubowicze „Gazety Polskiej" Inowrocław złożyli wieniec pod pomnikiem, przypominając również postać jednego z najmłodszych uczestników Powstania Warszawskiego, z którym związana jest historia miasta.

BĘDZIN II | Klub „Gazety Polskiej" Będzin II już po raz kolejny zorganizował społeczne obchody rocznicy Powstania Warszawskiego przy tablicy upamiętniającej pułkownika Bronisława Banasika oraz jego rodzinę – uczestników powstania. Po Godzinie „W", odśpiewaniu hymnu państwowego i wspólnej modlitwie odczytano wiersz Józefa Szczepańskiego „Czerwona zaraza".

DZIERŻONIÓW | W obchodach uczestniczyli wspólnie członkowie klubów „Gazety Polskiej" Dzierżoniów i Dzierżoniów II. Uroczystości zgromadziły mieszkańców miasta, samorządowców, parlamentarzystów oraz liczne środowiska patriotyczne. Po syrenach o Godzinie „W" odśpiewano hymn państwowy, wysłuchano wystąpień okolicznościowych oraz programu artystycznego.

PIOTRKÓW TRYBUNALSKI | Klub „Gazety Polskiej" w Piotrkowie Trybunalskim po raz 11. zorganizował akcję porządkowania grobów powstańców warszawskich. Członkowie klubu „GP" wraz z rodzinami myli nagrobki, zapalali znicze i ozdabiali mogiły biało-czerwonymi szarfami. Szczególnym symbolem wydarzenia był udział dzieci, które własnoręcznie zapalały znicze przy grobach powstańców.

GLIWICE | Klub „Gazety Polskiej" Gliwice uczcił rocznicę Powstania Warszawskiego na Cmentarzu Centralnym. Wcześniej klubowicze „GP" uporządkowali groby powstańców oraz przygotowali okolicznościowe materiały poświęcone roli kobiet w powstaniu. Przed Kaplicą „Golgota Polska" wspólnie z mieszkańcami, parlamentarzystami i przedstawicielami organizacji patriotycznych odmówiono modlitwę, złożono kwiaty i zapalono znicze, a uroczystość zakończono okrzykiem: „Cześć i chwała bohaterom!".

PŁOCK | Członkowie Klubu „Gazety Polskiej" Płock pod pomnikiem powstańców warszawskich na Cmentarzu Katolickim w Płocku złożyli kwiaty i zapalili znicze, oddając hołd uczestnikom zrywu z 1944 roku. W uroczystościach uczestniczyli również przedstawiciele Stowarzyszenia Historycznego im. 11. Grupy Operacyjnej NSZ oraz Towarzystwa Przyjaciół Armii Krajowej w Płocku. Szczególnie wzruszającym momentem obchodów była wizyta u Katarzyny Nowakowskiej – 102-letniej sanitariuszki Powstania Warszawskiego, rannej w pierwszych dniach walk. Odznaczona Medalem Stulecia Odzyskania Niepodległości i awansowana do stopnia podpułkownika kobieta została otoczona serdecznością rodziny, przyjaciół oraz przedstawicieli środowisk patriotycznych. Hołd oddali jej również płoccy motocykliści, którzy przejechali przed jej domem z biało-czerwonymi flagami i symbolami Polski Walczącej, dając wyraz wdzięczności za jej służbę ojczyźnie.

ZGORZELEC | Już po raz trzeci Klub „Gazety Polskiej" Zgorzelec zorganizował w centrum miasta spotkanie upamiętniające rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego.

STASZÓW | Klub „Gazety Polskiej" uczestniczył w miejskich obchodach zorganizowanych w Parku im. Adama Bienia. Wspólnie z przedstawicielami władz samorządowych, wojska i mieszkańcami oddano hołd bohaterom Powstania Warszawskiego.

Obchody 82. rocznicy Powstania Warszawskiego pokazały, że pamięć historyczna pozostaje jednym z najważniejszych obszarów działalności Klubów „Gazety Polskiej". W różnych częściach Polski miała ona różne formy – od oficjalnych uroczystości państwowych, poprzez marsze pamięci, koncerty i rekonstrukcje historyczne, aż po cichą pracę przy porządkowaniu grobów powstańców. Wszystkie te inicjatywy łączył wspólny cel – zachowanie pamięci o pokoleniu, które w sierpniu 1944 roku podjęło walkę o wolną Polskę, oraz przekazanie tej pamięci kolejnym pokoleniom.

Klub „Gazety Polskiej" Perth (Australia) wraz z klubowiczami „Gazety Polskiej" z ogromnym smutkiem żegna swoją klubową Koleżankę Dorotę Zdanowicz.
„DOROTKO, dziękujemy za wszystkie wspólne chwile, za Twoją miłość i dobroć. Twoje ciepło, uśmiech i życzliwość na zawsze pozostaną w naszej pamięci i w naszych sercach. Nie umiera ten, kto trwa w sercach żywych.
Spoczywaj w spokoju".

NOWE KLUBY „GP", ZMIANY I REAKTYWACJE

ZAMOŚĆ (woj. lubelskie) – reaktywacja klubu „Gazety Polskiej". Przewodniczącym został Leszek Tabiszewski, tel.: +48 504 958 300, e-mail: klubgp.zamosc@gmail.com.

ZAPROSZENIA klubowe

PABIANICE – Klub „Gazety Polskiej" Pabianice zaprasza na Festyn Patriotyczno-Rodzinny 15 sierpnia, który rozpocznie się o godz. 16 przy Parafii św. Maksymiliana Marii Kolbego, ul. Jana Pawła II 46, Pabianice.

Kontakt dla osób, które chcą założyć klub „GP"

Tomasz Sakiewicz
REDAKTOR NACZELNY „GP"

Ewa Wójcik
PREZES KLUBÓW „GP"

Biuro Klubów „GP": ul. Bracka 15, I piętro, 31-005 Kraków,
e-mail: klubygp@gazetapolska.pl, tel. (12) 422 03 08, 505 038 217, 609 447 449

Tomasz **Panfil**

BITWA WARSZAWSKA 1920 ROKU

W 1873 roku mistyczka Wanda Malczewska zapisała słowa, które usłyszała od Matki Bożej: „Dostaliście się do niewoli wskutek niezgody wewnętrznej i sprzedajności wielu waszych rodaków. Rozebrali was na kawałki, ale Pan Bóg na moją prośbę tego rozbioru nie zatwierdził. Zbliża się czas, że sprawiedliwość Boska upokorzy chciwość zaborców waszych, tępicieli wiary katolickiej i nabożeństwa do Serca mojego Syna. Oni upadną, a Polska na moją prośbę będzie wskrzeszoną i wszystkie jej części będą złączone". Dnia 15 sierpnia Matka Boska przemówiła ponownie: „Uroczystość dzisiejsza niedługo stanie się świętem narodowem, dla was Polaków, bo w tym dniu odniesiecie świetne zwycięstwo nad wrogiem dążącym do zagłady waszej. To święto powinniście obchodzić ze szczególniejszą okazałością".

JEŻELI BÓG Z NAMI, KTÓŻ PRZECIW NAM?

FOT. ARCH.

W szkołach wojskowych kadeci czytają pisma wielkich wodzów i strategów: Sun Tzu, Juliusza Cezara, Stefana Żółkiewskiego, króla Sobieskiego, Clausewitza. Również w najbardziej militarnej z ksiąg Starego Testamentu, Księdze Machabejskiej, jest fragment, który winien być jednym z fundamentów strategii wojny obronnej. Juda Machabeusz mówi do swoich oficerów: „Bardzo łatwo wielu można pokonać rękami małej liczby, bo Niebu nie czyni różnicy, czy ocali przy pomocy wielkiej czy małej liczby. Zwycięstwo bowiem w bitwie nie zależy od liczebności wojska; prawdziwą siłą jest ta, która pochodzi z Nieba. Oni przychodzą do nas pełni pychy i bezprawia po to, aby wytracić nas razem z żonami naszymi i dziećmi i aby nas obrabować. My zaś walczymy o swoje życie i o swoje obyczaje" (1 Mch 3; 18-21).

Geniuszem Wodza, męstwem żołnierza, wysiłkiem narodu

Józef Piłsudski był wprawdzie militarnym konserwatystą, jednak potrafił doceniać nowoczesne metody prowadzenia wojny. Na przykład zaakceptował – choć niechętnie – pomoc doświadczonych amerykańskich pilotów Meriana C. Coopera, Cedrika Fauntleroya i ich kolegów, sprowadzonych do Polski przez gen. Tadeusza Rozwadowskiego. Generał Rozwadowski był dobrze wykształconym i doświadczonym oficerem sztabowym umiejącym myśleć i planować strategicznie, na poziomie wielkich jednostek, jak armie i fronty. Dlatego w lot zrozumiał, twórczo rozwinął i precyzyjne zaplanował ogólną koncepcję Józefa Piłsudskiego.

Obaj – i marszałek, i generał – bazowali na koncepcji zaczepnego zwrotu armii francuskich i brytyjskich, które we wrześniu 1914 roku przeszły z pełnego odwrotu do działań zaczepnych. Ta pierwsza bitwa nad Marną, która zdecydowała o przebiegu wielkiej wojny na froncie zachodnim, została nazwana „cudem nad Marną", bowiem nie tylko złamała niemiecką ofensywę, ale de facto zniweczyła błyskotliwy plan Schlieffena, który – w razie powodzenia – doprowadziłby do zajęcia Paryża i być może upadku Francji.

Generał Rozwadowski opracował plan polegający na maksymalnie głębokim wciągnięciu wojsk sowieckich i pełnym ich zaangażowaniu w walki pod Warszawą.

Kluczowe dla losów wojny polsko-bolszewickiej było utworzenie w czerwcu 1919 roku najtajniejszej z tajnych komórki Sztabu Generalnego: Sekcji Szyfrów. Na jej czele stanął kpt. Jan Kowalewski, który w sierpniu tegoż roku złamał szyfr radiowy armii bolszewickiej. Od tej pory Naczelnik Państwa mógł praktycznie na bieżąco czytać o zamiarach i planach wroga. „Nasz radio-wywiad przejął wielostronicowy szyfrowy telegram 16 Armii bolszewickiej. Był to rozkaz operacyjny, przy tym musiał być ważny, skoro użyto do jego przekazania nowego szyfru. Możecie sobie wyobrazić, z jakim napięciem zabraliśmy się do roboty. Szczęśliwie w niespełna godzinę szyfr zaczął się rozwiązywać. Jeszcze depesza ta nie była w pełni odczytana, gdy już wiedzieliśmy z fragmentów, że jest to wielki rozkaz o decydującym natarciu na samą Warszawę. (…) Jeszcze gorączkowo kończyliśmy »rozwiązywanie« szyfru, lecz już podaliśmy jego zasadniczą treść do Belwederu, zapytując, czy mamy go przetłumaczyć. Marszałek Piłsudski zadowolił się jednak tekstem rosyjskim i wyraził zadowolenie z zamiarów przeciwnika, gdyż chodziło właśnie o to, by jak najbardziej związać bolszewików na froncie warszawskim. (…) Sztab nasz zadecydował: uniemożliwić bolszewikom łączność radiową przez 48 godzin od chwili naszego uderzenia. Marszałkowi chodziło teraz tylko o to, by bolszewicy nie zmienili za wcześnie swego pierwotnego planu. Cały nasz aparat musieliśmy przestawić na to nowe wówczas w technice wojennej zadanie. (…) Nasz podsłuch, znając na pamięć fale i sygnały wywoławcze wszystkich stacji bolszewickich, pozwalał im tylko wywoływać siebie nawzajem i nawiązywać łączność. Lecz z chwilą, gdy tylko rozpoczynali nadawanie depesz, nasze stacje nadawcze rozpoczynały zagłuszanie na tej samej fali". Tę radiową, najnowocześniejszą formę walki, Polacy prowadzili, czytając nieustannie fragmenty Biblii. Czy mogło być coś bardziej symbolicznego, jak uniemożliwienie bezbożnym bolszewikom komunikacji przy pomocy natchnionych słów Starego i Nowego Testamentu?

Si Deus pro nobis, quis contra nos

„Gdy Bóg z nami, któż przeciw nam?" – pytał retorycznie św. Paweł w Liście do Rzymian (Rz 8; 31). Tę prostą, choć nie zawsze oczywistą prawdę doskonale znali polscy monarchowie i wodzowie. Zdanie to, umieszczone na wiodącej na dziedziniec arkadowy Bramie Berrecciego, mógł – i może do dziś dnia – przeczytać każdy wkraczający do wawelskiej siedziby polskich królów.

Gdy sowieckie armie zbliżały się do Warszawy, jej mieszkańcy coraz liczniej stawiali się w punktach poborowych. Nie było czasu na szkolenie – ledwie umiejący trzymać karabin młodzi kierowani byli do oddziałów obsadzających okopy na przedpolu stolicy Polski.

Zapełniały się też kościoły. Mężczyźni, kobiety i dzieci dniami i nocami trwali na modlitwie za ojczyznę i jej obrońców. Od 6 sierpnia dwa razy dziennie odprawiano nowenny.

W niedzielę, 8 sierpnia, we wszystkich kościołach stolicy odbyła się całodzienna adoracja Najświętszego Sakramentu, a po jej zakończeniu 100-tysięczna procesja z relikwiami bł. Andrzeja Boboli i bł. Władysława z Gielniowa przeszła ulicami miasta.

Szczególnie mocno modlili się Warszawiacy do patronki stolicy, Matki Bożej Łaskawej. Żarliwa pobożność cechowała nie tylko lud. Generał Józef Haller organizował najpierw Armię Ochotniczą, potem dowodził Frontem Północnym. Każdą chwilę wolną od obowiązków wojskowych spędzał na modlitwie. Wraz z ludem modlił się nuncjusz Achille Ratti (późniejszy papież Pius XI), jedyny z ambasadorów, który w obliczu zbliżającej się bolszewickiej nawały pozostał w Warszawie. Kardynał Aleksander Kakowski, pamiętając o słowach Jezusa, że owce się rozpraszają, gdy braknie pasterzy, zwrócił się do kapłanów: „Całemu podwładnemu duchowieństwu polecam z jak najbardziej wytężoną gorliwością spełniać wszystkie obowiązki pasterzowania

nie tylko za siebie, lecz i za tych, co obsługiwać będą zastępy ochotnicze obrońców ojczyzny". Ochotniczo do armii wstąpiło około 500 księży. Wśród nich Ignacy Skorupka, 27-letni kapelan 236. ochotniczego pułku Legii Akademickiej, złożonego głównie z gimnazjalistów i studentów. Gdy 14 sierpnia, w walce o Ossów, niedoświadczeni, nieostrzelani ochotnicy zaczęli się cofać, ksiądz Ignacy stanął w pierwszej linii. Po bitwie dowodzący 1. Armią gen. Latinik napisał w meldunku: „Bohaterską śmiercią poległ kapelan 1. Baonu ks. Ignacy Skorupka, który w stule i z krzyżem w ręku poprowadził tyralierę do ataku". Nieoczekiwanie nacierający na Ossów krasnoarmiejcy, weterani z brygady Grigorija Chachaniana, zatrzymali się, a potem rzucili do ucieczki. Jak pisał we wspomnieniach kardynał Kakowski: „Bolszewicy wzięci do niewoli opowiadali, że widzieli księdza w komży i z krzyżem w ręku, a nad nim Matkę Boską".

W nocy 15 sierpnia porucznik Stefan Pogonowski, dowódca batalionu w pułku strzelców kaniowskich, wbrew otrzymanym rozkazom zdecydował się pod Radzyminem uderzyć na tyły mijających jego oddział, a idących na Warszawę brygad bolszewickich. Mówił gen. Lucjan Żeligowski: „W samorzutnej inicjatywie śp. kapt. Pogonowskiego leży wielkość jego czynu. Był to… moment zwrotny w historii tej wojny. Psychologia klęski, cofania się, ciągłych odwrotów została nareszcie przełamana. Odwróciła się karta historii". Udział w odwróceniu się karty dziejów miała też Matka Boska. Wzięci do niewoli krasnoarmiejcy z przerażeniem opowiadali, że zobaczyli na niebie ogromną postać kobiecą osłaniającą Warszawę, „mówili, że miasta nie zdobyli, ponieważ zobaczyli nad stolicą Matkę Bożą i… nie mogli z Nią walczyć. Mówili też, że pod Warszawą KTOŚ zabrał im zdolność dowodzenia i chęć do walki".

Czwarta Armia nad Wieprzem

Francuski generał Maxime Weygand w 1920 roku był członkiem Międzysojuszniczej Misji w Warszawie. Brał udział jako doradca w pracach polskiego Sztabu Głównego. Sympatyzował raczej z endecją, nie ufał Piłsudskiemu. W propagandzie antypiłsudczykowskiej to jego próbowano kreować na autora zwycięstwa w bitwie o Warszawę. Jednak Weygand wiedział, że wojny wygrywają na polach bitew wodzowie cieszący się zaufaniem żołnierzy, nie sztabowcy pochyleni nad mapami. Zawsze twierdził, że to marszałek Piłsudski „w ciągu trzech dni spędzonych pośród wojsk IV Armii zelektryzował je, przelał ze swej duszy w dusze walczących swoją ufną wiarę i swoją wolę tryumfalnego pokonania wszystkich trudności. Nikt inny poza nim nie mógł się o to pokusić. Pod żadnym dowódcą wojska polskie nie dokonałyby z tym uniesieniem zażartym ofensywy, która miała doprowadzić je w ciągu kilku dni aż do niemieckiej granicy, przedzierając się z boku i rozbijając siły czterech armii sowieckich, które dopiero co miały się za zwycięzców". Oceniając kontrofensywę znad Wieprza, dostrzegł, że „wyzyskanie powodzenia było prowadzone mistrzowską ręką, diabelskim rozpędem i z namiętną energią przez marszałka Piłsudskiego, który nie dał zaskoczonemu nieprzyjacielowi ochłonąć i na miejscu go unicestwił".

Aleksandra Piłsudska wspominała: „Gdy żegnał się z nami, przed wyjazdem do Puław, był zmęczony i posępny. Ciężar olbrzymiej odpowiedzialności za losy kraju przygniatał go i sprawiał mękę (…), pożegnał się z dziećmi i ze mną. Tak, jak gdyby szedł na śmierć… »Rezultat każdej wojny – powiedział przed rozstaniem – jest niepewny aż do jej skończenia. Wszystko jest w ręku Boga«".

Ręka Boga i ludzkie starania

Jedną z przyczyn upadku Polski szlacheckiej był prowidencjalizm – wiara, że Boża Opatrzność będzie zawsze i wszędzie wspierać Polaków, bez konieczności wysiłku z ich strony. Lecz każdy katolik winien wiedzieć, że wprawdzie „łaska Boska jest do zbawienia koniecznie potrzebna", lecz obowiązkiem człowieka, obdarzonego wolną wolą, jest z tą łaską współdziałać. Rozumieli to już żołnierze wojny polsko-rosyjskiej z 1830 roku, rozumieli powstańcy styczniowi, rozumieli legioniści wyruszający w sierpniu 1914 roku z podkrakowskich Oleandrów. Rozumieli to także powstańcy wielkopolscy i żołnierze Wojska Polskiego wyruszający na wyprawę kijowską. A najbardziej chyba wiedzieli o tym ochotnicy broniący Warszawy przed bolszewikami w sierpniu 1920 roku i żołnierze czekający nad Wieprzem na rozkaz do kontrataku na przeważające i zwycięskie oddziały Armii Czerwonej.

Wiedzieli wszyscy, od generałów po ochotników z przysiółków Podlasia – nawet nie czytając Świętego Augustyna – że „jeżeli Bóg jest na pierwszym miejscu, wszystko znajdzie się na właściwym miejscu". Polityczne spory, czy ważniejszy był Piłsudski, czy Rozwadowski, czy Haller, tracą na znaczeniu, gdy zrozumiemy, że dla nich to Matka Boża była Hetmanką. A wszyscy nasi bohaterowie tej wojny byli jej żołnierzami. Jak wiosną 1920 roku powiedział Naczelny Wódz: „Losy wojny są w ręku Boga, ale ludzie są po to, aby wojnie dopomóc". **GP**

FOT. ARCH.

FELIETON

{ PRZESZŁOŚĆ POWRÓCI IDEĄ }

WALCZYMY O POMNIK BŁĘKITNEGO GENERAŁA W WARSZAWIE!

Tadeusz **Płużański**

Jako jeden z niewielu najwyższych rangą polskich oficerów walczył kolejno z Rosjanami, Austriakami, Niemcami, Ukraińcami i bolszewikami. Stał się wzorem żołnierza, obywatela, społecznika i wychowawcy młodzieży. Generał Józef Haller (ur. 13 sierpnia 1873 roku) dawał przykład osobistego męstwa, wiary i poświęcenia. Ten honorowy obywatel Warszawy zasłużył na upamiętnienie w stolicy. Podstawy polskiego harcerstwa czy Polskiego Czerwonego Krzyża, które współtworzył, dały asumpt do powstania prężnie działających do dziś organizacji społecznych. To doskonały wzorzec dla młodego pokolenia Polaków, którego patriotyczny i wychowawczy rozwój zawsze był dla generała priorytetem. Ceniony w stolicy Polski i w całym kraju, serdecznie przyjmowany przez amerykańską Polonię, dodawał otuchy żołnierzom i cywilom, inspirował duchownych i świeckich, leciwych weteranów zrywów powstańczych, jak i akademicką młodzież. Zwalczał totalitaryzm niemiecki i komunistyczny. Swoją postawą przyczynił się do obrony Warszawy przed zajęciem jej przez barbarzyńskie hordy bolszewickie w 1920 roku. Po wygranej Bitwie Warszawskiej w Mińsku Mazowieckim przed obrazem Matki Bożej Anielskiej dziękował Bogu za otrzymane łaski i zwycięstwo. Pomnik Józefa Hallera miał stanąć w stolicy, ale zablokowali go dominujący tu lewacy. „Projekt pomnika przedstawia postać gen. Hallera w pozie stojącej, prawa ręka oparta na szabli” – opisuje swoje dzieło rzeźbiarz Stanisław Szwechowicz. Koncepcja ukazuje wybitnego dowódcę, jakim był gen. Haller, w ujęciu pełnym siły i energii. Stąd prócz elementu wojskowego – szabli – jest gest lewej ręki i dłoni wskazującej jakby na umiejscowione na cokole osobiste przesłanie gen. Hallera: „Dla Ciebie, Polsko, i dla Twojej Chwały”. Ten gest lewej dłoni jest przeznaczony dla obecnych i przyszłych pokoleń, wskazując na obowiązek wielkiego oddania dla spraw ojczyzny. Na jednej ze ścian cokołu znajdzie się tablica z czarnego granitu z tekstem: „W hołdzie Polonii, która na wezwanie stawała zawsze, by bronić Ojczyzny”. O pomnik generała Józefa Hallera w Warszawie musimy walczyć dalej! **GP**

FELIETON

{ PLAGI AKADEMICKIE }

FIKCJONARIUSZE NAUKI

Józef **Wieczorek**

Paradoks naszych czasów polega na tym, że im szybciej rozwija się nauka, tym słabsze staje się społeczne zaufanie do ludzi nauki i efektów ich działalności. Na spadek prestiżu pracują sami naukowcy, którzy zamiast wiedzy nieraz produkują jej imitację. Dość często można przeczytać o plagiatach, naruszaniu praw autorskich popełnianych nie tylko przez studentów, ale i przez „doskonałych” profesorów. Zdarza się jednak, że nawet przedstawiciele środowiska profesorskiego uznają takie czyny za społecznie mało szkodliwe (sic!). Faktem jest, że naruszanie praw autorskich, jakkolwiek winno być karalne, nie jest największą szkodą dla nauki. To przede wszystkim szkoda dla pokrzywdzonych naukowców. Większą szkodą dla nauki są oszustwa naukowe w postaci fikcyjnych badań ogłaszanych w prestiżowych czasopismach, które mimo recenzji nie zostały zidentyfikowane. No cóż, recenzje też bywają zawodne, a nieraz fikcyjne. Stąd producentów fikcyjnych badań, rzec można: fikcjonariuszy nauki, wysoko uplasowanych w systemie, mamy wielu. Wśród zagranicznych takich „naukowców” niektórzy szczycą się i ponad 200 fikcyjnymi pracami „naukowymi”, które po zidentyfikowaniu podlegają retrakcji (wycofaniu z obiegu naukowego). Ale przed wycofaniem mogą spowodować poważne szkody dla gospodarki (jeśli ta oparta jest na takiej „wiedzy”) czy zagrożenie dla zdrowia/życia ludzkiego, jeśli takie prace dotyczą aspektów medycznych. Do tej patologii przyczynił się zanik merytorycznej krytyki i dyskusji, nawet na najlepszych uniwersytetach. Kto się odważy podważyć tezy profesora, decydenta akademickiego? Niestety do takiego stanu doprowadziła nader częsta eliminacja z systemu tych, którzy byli zdolni do rzetelnych, krytycznych, nonkonformistycznych recenzji, także prac tworzonych przez tzw. niekwestionowane autorytety. W takim systemie większe szanse na awans ma często „yes man”, potakujący autorytetom i aprobujący błędy, niż recenzent skłonny do krytycznej oceny. Nic więc dziwnego, że „fikcjonariusze nauki” mają się dobrze. **GP**

UWAGA: Nowa książka autora „Z akademickiej otchłani” do nabycia w sklepie „Gazety Polskiej”.

ARMIA POLSKA W ZSRS

Tomasz **Łysiak**
SZEF DZIAŁU HISTORIA

Wybawienie z „nieludzkiej ziemi”

KU WOLNEJ POLSCE

Dla wielu Polaków w Związku Sowieckim to wszystko wyglądało na jakiś cud, zbawienie, że oto nagle – zrządzeniem dobrego losu – mogą wyjść na mocy „amnestii” z łagrów, miejsc zsyłek i więzień. Wiadomość o tworzeniu się polskiego wojska dawała iskrę nadziei na wyrwanie się z piekła tej „nieludzkiej ziemi”. Generał Anders miał się stać dla dziesiątków tysięcy żołnierzy i cywili Mojżeszem, który naród wyprowadzi z domu niewoli ku wyśnionej wolności. 85 lat temu na mocy układu Sikorski–Majski i zawartej potem umowy wojskowej zaczęto tworzyć Polskie Siły Zbrojne w ZSRS.

Kiedy nagrywałem, na potrzeby filmu dokumentalnego, opowieści weteranów 2. Korpusu Polskiego, byłem pod wrażeniem nie tylko siły ich ducha czy skali trudności, jakie musieli pokonać, by w ogóle dostać się do tzw. Armii Andersa (czyli Polskich Sił Zbrojnych w ZSRS), ale także swego rodzaju punktów wspólnych, punktów stycznych, składających się na coś, co można by nazwać pamięcią zbiorową. Wśród nich był początek wojny i agresja sowiecka z 17 września 1939 roku. Były też tam także przeżycia związane z masowymi deportacjami Polaków w głąb ZSRS. Łomotanie do drzwi, „sabirajsia z wieszciami” („zabierajcie się z rzeczami”), wagony towarowe, mróz, głód, choroby, rozdzielenie rodzin, tajga, ciężka praca, wszy, wyrąb lasu…

A potem takim punktem wspólnym była umowa Sikorski–Majski. Gdy weterani o niej opowiadali, w ich oczach pojawiała się iskra radości. Zaraz za tym padało słowo „amnestia”. „Zwalniano nas z więzień, łagrów i miejsc zsyłek na mocy amnestii. Ale czemu używano słowa »amnestia«, skoro myśmy żadnej zbrodni nie popełnili? Skoro nas spotykały te nieszczęścia wszystkie jedynie z tego powodu, iż byliśmy Polakami?” – taki

FOT. ARCH.

LICZBY

Według planów NKWD amnestią miało być objętych 381 220 osób, określanych jako byli obywatele polscy, w tym 26 160 jeńców wojennych.

mniej więcej był ton wspólny tych wypowiedzi. Radość przemieszana z żalem i złością za doznawaną niesprawiedliwość. Jak doszło do tego, że na mocy amnestii uwolniono z łagrów setki tysięcy Polaków (chociaż nie wszystkich, a wielu z nich musiało wywalczyć sobie uwolnienie)?

Londyńska umowa

22 czerwca 1941 roku Hitler zaatakował Związek Sowiecki. Był to jeden z zasadniczych, przełomowych punktów w historii II wojny światowej. Nagle sojusze się odwróciły. Stalin z miejsca stał się „aliantem" dla mocarstw zachodnich. To stawiało Polskę w pozornie (co się później okazało) dobrej pozycji – przynajmniej na tym etapie. Wielka Brytania, wchodząc na drogę sojuszu ze Związkiem Sowieckim, jednocześnie wciągała w ten proces Polskę – to w Londynie, u boku Brytyjczyków, funkcjonował polski rząd. Zarówno Winston Churchill, jak i minister spraw zagranicznych Anthony Eden naciskali na gen. Sikorskiego, by ten podpisał układ polsko-sowiecki, na nowo regulujący stosunki obu państw. I tak się stało – umowa została sygnowana w Londynie 30 lipca, w obecności Churchilla i Edena. Sygnatariuszami byli: ze strony polskiej gen. Sikorski, a ze strony sowieckiej ambasador Iwan Majski. Najważniejsze części umowy przewidywały, że Polska i ZSRS wracają do stosunków dyplomatycznych, że oba państwa będą wspomagać się w walce z Niemcami oraz że na terytorium Związku Sowieckiego zostanie utworzona Armia Polska. Do tego jednak potrzebna była odrębna umowa. Żeby ją podpisać, do Moskwy udała się polska misja wojskowa pod dowództwem gen. Szyszko-Bohusza. Najważniejszym zadaniem było to, aby – pomimo podległości siłom sowieckim – zachować niezależność i całość tworzonych w ZSRS sił.

Gdzie są nasi oficerowie

4 sierpnia 1941 roku z więzienia na Łubiance, po 22 miesiącach zamknięcia w bardzo trudnych warunkach, został zwolniony gen. Władysław Anders. Do sowieckiej niewoli trafił we wrześniu 1939 roku – ranny, cierpiący, był trzymany za kratami najpierw we Lwowie, a potem w słynnej moskiewskiej tiurmie. Zrzucano go ze schodów, torturowano, trzymano w zimie w celi pozbawionej szyb. Mimo to przetrwał. Miał na tyle szczęścia, że nie został zamordowany w czasie ludobójstwa katyńskiego. O obozach w Starobielsku, Kozielsku i Ostaszkowie Anders dowiedział się od współwięźnia na Łubiance – Polaka, kapitana Kuszela, którego trzymano najpierw w Starobielsku, potem przeniesiono do Pawliszczewa Boru, a następnie na Łubiankę właśnie. Notabene losy „zaginionych" oficerów polskich niepokoiły generała ciągle. W trakcie kolejnych spotkań ze Stalinem dopytywał o nich ze szczególnym naciskiem. Zawsze otrzymywał idiotyczne odpowiedzi. Dlaczego po ogłoszeniu amnestii żaden z nich się nie odnalazł? „No nie wiadomo, wszystkich wypuszczono, więc zapewne sami gdzieś zaginęli, uciekli może do Mandżurii" – brzmiały kolejne wykrętne tłumaczenia…

„Około połowy lipca wprowadzono do mojej celi płk. Nikodema Sulika i Rafała Lubomirskiego, studenta Politechniki Gdańskiej" – zapisał gen. Władysław Anders w swoich wspomnieniach zatytułowanych „Bez ostatniego rozdziału". „Pułkownik Sulik walczył w Polsce w roku 1939, następnie należał do polskiej organizacji wojskowej w Wilnie. Przeszedł śledztwo połączone z katowaniem, w Lefortowie i spodziewał się wyroku śmierci". Nikodem Sulik będzie potem dowódcą 5. Kresowej Dywizji Pie-

choty, przejdzie szlak bojowy 2. Korpusu Polskiego i zapisze piękną kartę w czasie bitwy o Monte Cassino.

„Amnestia" dla Polaków

Atak Hitlera na Stalina także Andersowi wydawał się darem niebios, już wcześniej o nim marzył: „Modliłem się o wojnę między Niemcami a Rosją: nie wierzyłem w możliwość odbudowania Polski, jeśli przyjaźń szakala z tygrysem będzie trwała".

Oznaki zmian na lepsze Anders zauważył już na przełomie lipca i sierpnia – inaczej zaczęto go traktować, ogolono mu zarost, pomagano, gdy szedł o kulach. Wreszcie zabrano go na spotkanie z wysokimi oficerami NKWD – Berią i Mierkułowem, gdzie oświadczono, że… jest „wolny"!

Anders natychmiast zażądał herbaty i papierosów. I dopiero zaciągając się z rozkoszą dymem, pozwolił na dalszą rozmowę, widząc i czując, że to „im zależy".

I tak było – Beria zaczął najpierw opowiadać o „zdradzieckim" ataku Niemców na ZSRS (co jedynie podkreślało przecież fakt uprzedniej przyjaźni), a także dodawał, że „teraz trzeba żyć w zgodzie, położyć krzyżyk na przeszłość, bo najważniejszą rzeczą jest pobicie Niemców". I to z tego powodu Sowieci zawarli traktat z Wielką Brytanią i podpisali umowę z Polską. Beria dodał także, że planowana jest „amnestia" dla Polaków (1 sierpnia Beria informował Stalina o szczegółach szykowanego dekretu o amnestii). Amnestii mieli podlegać obywatele RP (ta kwestia obywatelstwa miała potem też sporo ważyć przy sprawach związanych z Ukraińcami czy Żydami) – w tym jeńcy wojenni, więźniowe z łagrów i więzień, osoby internowane, zesłane oraz wysiedlane i deportowane rodziny. Według planów NKWD amnestią miało być objętych 381 220 osób, określanych jako byli obywatele polscy, w tym 26 160 jeńców wojennych. Dekret wszedł w życie 12 sierpnia 1941 roku, na dwa dni przed podpisaniem umowy wojskowej.

Marsz ku wolnej Polsce

Ludowy komisarz spraw wewnętrznych ZSRS Ławrientij Pawłowicz Beria oznajmił „oficjalnie", że rząd polski, za zgodą rządu

Zarówno Winston Churchill, jak i minister spraw zagranicznych Anthony Eden naciskali na gen. Sikorskiego, by ten podpisał układ polsko-sowiecki, na nowo regulujący stosunki obu państw.

ZSRS, postanowił przekazać generałowi Andersowi dowodzenie nad mającą powstać armią. Samo zaś powstanie tej armii to wynik londyńskiej umowy z Sikorskim. Przyszły szef i „ojciec" 2. Korpusu Polskiego patrzył na Berię oraz jego oficerów spod oka, nieufnie, gdy mu gratulowali wyboru na dowódcę: „Cieszą się bardzo, że to właśnie ja, gdyż mogą stwierdzić, że jestem najpopularniejszy wśród Polaków w Rosji. Jakoby 96 procent Polaków miało się opowiedzieć za mną. Do dziś dnia to dokładne określenie jest dla mnie zagadką, gdyż nic takiego nie było". Oficerowie NKWD uśmiechali się i prosili, by zwracać się do nich w wypadku jakichkolwiek trudności. Generał natychmiast poprosił, żeby zwolniono Nikodema Sulika. Mierkułow podszedł do aparatu telefonicznego, wykręcił numer, przez chwilę rozmawiał, a potem rozłożył bezradnie ręce: nie ma takiego więźnia. Ależ jest! – uparł się Anders, dodając, że kilka dni wcześniej siedział z Sulikiem w jednej celi. „A w takim razie musi być – padła odpowiedź – poszukamy". Poszukali i znaleźli. Sulika zwolniono.

4 sierpnia generał Anders wyszedł na wolność. Dość szybko spotkał się z wysłaną z Londynu misją wojskową. Zaczęły się rozmowy z Szyszko-Bohuszem. Wyszły na jaw pewne rozbieżności, które dzieliły środowisko londyńskiego rządu w kwestii umowy wojskowej. Pełnomocnikiem rządu sowieckiego do spraw Armii Polskiej został generał Gieorgij Siergiejewicz Żukow (nie należy go mylić z marszałkiem o tym samym nazwisku). Po kilku tygodniach leczenia Anders mógł odrzucić kule i zacząć chodzić o lasce. Uszyto mu nowy mundur.

85 lat temu, 14 sierpnia 1941 roku, została w końcu zawarta polsko-sowiecka umowa wojskowa. Było w niej zapisane m.in.: „Armia Polska będzie zorganizowana w najkrótszym czasie na terytorium ZSRS, przy czym będzie ona stanowiła część sił zbrojnych suwerennej Rzeczypospolitej Polskiej (…). Będzie ona przeznaczona do wspólnej, z wojskami ZSRS i innych mocarstw sojuszniczych, walki przeciwko Rzeszy Niemieckiej. Po zakończeniu wojny powróci ona do Polski".

Zaczynał się marsz. Marsz „ku wolnej Polsce", jak głosił tytuł gazety Brygady Karpackiej. Ruszali Polacy z łagrów i z miejsc zsyłek, z obozów jenieckich i z więzień. Szli poruszeni wizją, nadzieją, celem – powstaje Armia Polska! Jakaż to była piękna wiadomość! Szli, spotykali się w punktach werbunkowych, zaczynali tworzyć oddziały, kompanie, bataliony, dywizje. Głodni, bez butów, bez broni. Ale z modlitwą na ustach. „Dojdziemy!" – obiecywał generał Anders. A oni poszli za nim… **GP**

FOT. ARCH.

GAZETA POLSKA

SŁOŃCE MOŻE STAĆ SIĘ USŁUGĄ

Federalna Komisja Łączności Stanów Zjednoczonych wydała zgodę na misję budzącego ogromne emocje satelity Eärendil-1. Konstrukcja jest wyposażona w potężne lustro, które może odbijać światło Słońca i kierować je na wybrane obszary Ziemi nawet w środku nocy. Przeciwko projektowi protestuje potężne grono naukowców.

Jan **Przemyłski**

SATELITA, KTÓRY ROZŚWIETLI ZIEMIĘ NAWET PO ZMROKU

W 2002 roku na ekrany kin trafił film „Śmierć nadejdzie jutro", będący finałowym występem Pierce'a Brosnana w roli agenta 007. James Bond mierzy się w nim z twórcami satelity zdolnego skupiać promienie słoneczne w dowolnym miejscu na Ziemi, którego możliwości zostają ostatecznie wykorzystane jako broń. Technologia przedstawiona w filmie wydawała się wówczas odległą wizją przyszłości, jednak wystarczyło niecałe ćwierć wieku, aby weszła w fazę realizacji.

Federalna Komisja Łączności Stanów Zjednoczonych (FCC), czyli rządowa agencja odpowiedzialna m.in. za przyznawanie komercyjnym satelitom licencji na korzystanie z częstotliwości radiowych, wydała w lipcu zgodę na misję wywołującego sporo dyskusji satelity Eärendil-1. Konstrukcja, za którą stoi start-up Reflect Orbital, jeszcze w tym roku ma trafić na niską orbitę ziemską – około 600 km nad powierzchnią planety. Złożona, przypomina ciasno spakowaną wielką skrzynię, jednak w kosmosie rozkłada się, tworząc lustro ze specjalnej folii refleksyjnej o wymiarach 18 metrów na 18 metrów, które może odbijać światło słoneczne i kierować je w określone obszary na Ziemi. Jest to możliwe niezależnie od pory doby w danym regionie, gdyż Eärendil-1 ma się poruszać na linii terminatora – czyli granicy dnia i nocy. Oznacza to, że choć na powierzchni naszej planety pod satelitą panuje już ciemność, on sam operuje na tyle wysoko, że wciąż znajduje się w blasku naszej centralnej gwiazdy. Technologia ma umożliwić oświetlanie na Ziemi punktu o średnicy około 5 km. Zdaniem twórców pozwoli ona na maksymalne wydłużenie pracy farm fotowoltaicznych i produkcję czystego prądu niemal przez całą dobę, bez konieczności budowania kosztownych magazynów energii. Ponadto mogłaby zostać wykorzystana podczas różnego rodzaju katastrof, takich jak trzęsienia ziemi, huragany, powodzie i inne tego typu sytuacje, w których noc utrudnia akcje ratunkowe. Jako argument za satelitą podaje się też możliwość doświetlania wielkich placów budowy czy kopalń odkrywkowych, co miałoby pozwolić na zwiększenie ich wydajności.

Odpowiadając na uwagi, FCC podkreślała, że kwestie związane z oddziaływaniem lustra nie leżą w jej kompetencjach.

Projekt ma jednak też spore grono krytyków. Ponad 1800 naukowców, astronomów i przyrodników przesłało do FCC swoje uwagi i zastrzeżenia. Podkreślali w nich m.in., że tego typu satelity, a start-up chce ich wysłać nawet 50 tys. na orbitę w ciągu kolejnych lat, doprowadzą do drastycznego zanieczyszczenia świetlnego nocnego nieba, oślepią czułe teleskopy i tym samym mocno utrudnią prowadzenie naziemnych obserwacji kosmosu. Z kolei biolodzy alarmowali, że zaburzenie naturalnego rytmu doby może dezorientować ptaki, zakłócać rozmnażanie zwierząt i negatywnie wpływać na całe nocne ekosystemy. **GP**

FOT. AI GENERATED

ZACISZE MELOMANA

★★★★☆☆

NOWY GŁOS TRICKY'EGO

Tricky, DIFFERENT WHEN IT'S SILENT
False Idols

Tricky, gwiazda trip-hopu, ostatnimi solowymi albumami zdawał się potwierdzać, że jego najlepszy okres należy już do przeszłości. Tym większym zaskoczeniem okazuje się premiera krążka „Different When It's Silent". Współpraca z młodym artystą z Bristolu, Mitchem Sandersem, wnosi do twórczości Brytyjczyka świeżą energię i otwiera ją na nowe muzyczne przestrzenie rozciągające się między smyczkami uroczego „Marinade" a mocnym bitem „Radany". To także dobra okazja, by podczas wakacyjnych podróży wrócić do złotych lat Tricky'ego – rewolucyjnych nagrań z Massive Attack oraz niezapomnianych duetów z PJ Harvey, Björk czy Red Hot Chili Peppers.

★★★☆☆☆

BEZ REWOLUCJI

The Strokes, REALITY AWAITS
RCA Records

Za sprawą „Reality Awaits", nowej płyty The Strokes, przenosimy się do świata muzyki gitarowej. Ale czy na pewno? Ćwierć wieku po znakomitym debiucie Nowojorczyków („Is This It") na ich siódmym studyjnym krążku perkusja już nie ma ochoty porywać swym rytmem, ustępując raczej miejsca spokojniejszym syntezatorom. Głos Juliana Casablancasa momentami męczy, nie tylko przez ostentacyjnie nadużywany auto-tune, ale też przez przewidywalne teksty o „niszczeniu planety" i „upadku kapitalizmu". To może jakieś pomysły na zmianę? Nic z tego. Ładne melodie muszą wystarczyć, a rewolucji raczej wypatrujmy u młodszych artystów.

Przygotował
Marek **Kalinowski**

KSIĄŻKA { LITERATURA FAKTU }

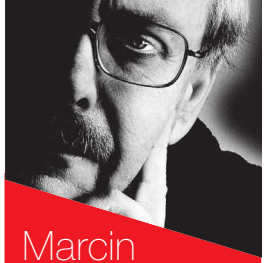

Marcin **Wolski** poleca

★★★★☆☆

Witajcie w eurołagrze!

„Tak nas zniewalają"
Gudula Walterskirchen
Biały Kruk, Kraków 2026

Do pewnego momentu wydawało się, że rozwój ludzkości to doskonalenie się gatunku i jego możliwości. Wierzył w to Marks, wierzył Hegel, a także pomniejsze markso-hegle. Ludzie mieli coraz więcej praw i wolności, a ich rozszerzenie wydawało się nie mieć końca. Do czasu. W pracy „Tak nas zniewalają" Gudula Walterskirchen – austriacka autorka, swego czasu dziennikarka „Die Presse" – udowadnia, że w drugiej połowie XX wieku koła historii zabuksowały, a w XXI wieku wyraźnie zaczęły obracać się wstecz. Oczywiście nikt nigdzie, chyba że we własnym gronie, nie powiedział otwarcie: „przykręcamy śrubę!". Z klęski nazizmu i komunizmu wyciągnięto wnioski, toteż odbieranie wolności postępowało niepostrzeżenie, w dodatku pod oszukańczymi hasłami (na przykład „ochrona danych osobowych" powoduje, że nie można znaleźć nazwisk lokatorów na klatce schodowej, natomiast coraz więcej instytucji ma nieomal całkowity wgląd w nasze życie). Inspiracji można było szukać u Platona, który wymyślił idealne państwo składające się z głupich rządzonych przez mądrych. Jednak musiało minąć 2,5 tysiąca lat, by mogło dojść do urzeczywistnienia projektu. Potrzebne było do tego rozbicie tradycyjnych struktur, zniszczenie dawnych norm, rozbicie rodziny i atomizacja społeczeństwa, przy ogromnych możliwościach manipulacji, jakich dostarczały coraz bardziej wszechwładne media. Z totalitaryzmem jest jak z diabłem, mnóstwo wysiłku zostaje włożone, by go nie dostrzegać. Jest demokracja, ale partie przestały się różnić między sobą, toteż zawsze wygrywają ci, którzy powinni. Jest tolerancja, ale nie dla wrogów tolerancji. Autorka nie przedstawia recepty wyjścia z sytuacji, trwanie przy wartościach i etyce to środki słuszne, ale defensywne. Być może najważniejsza jest świadomość, że każdego dnia wybieramy między dobrem a złem. Jeszcze możemy! **GP**

Zamów w naszym sklepie pod adresem sklep.gazetapolska.pl | infolinia: 22 232 37 70

MIX Kulturalny

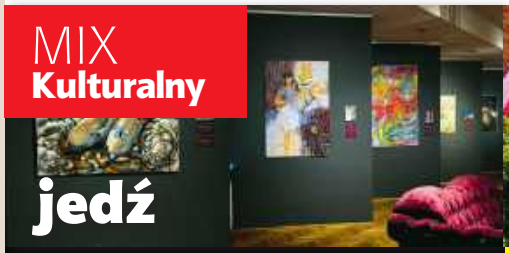

jedź

DO PELPLINA

Ta sztuka z Paryża zawędrowała do Pelplina. W Muzeum Biblii Gutenberga i Sztuki Sakralnej podziwiać można prace artystów z Europy, Stanów Zjednoczonych i Japonii. Wcześniej prezentowane były w paryskim Grand Palais.

czuj dumę

Z WATAHY

Choć rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego za nami, wciąż w sercach mamy echa pięknych chwil. Wśród miłośników powstańców są tacy, którzy ciągle rozczulają nas głosem i miłością do Polski. Wataha pod Biało-Czerwoną.

GAZETA POLSKA

★★★★★★

Cierpienia młodego Parkera

„Spider-Man: Całkiem nowy dzień”

SF/Przygodowy

Reż. Destin Daniel Cretton, USA 2026

Łukasz **Czarnecki**

Do kin wpadł właśnie z impetem Człowiek-Pająk. Niewidziany na wielkim ekranie od 2021 roku, w końcu powrócił i zrobił to w sposób doskonale znany fanom opowiadających o nim komiksów – wywracając wszystko do góry nogami, rzucając żarcikami, a równocześnie wywołując w kącie oka łzy, nieraz spływające po policzku. Bo historia opowiadana przez „Całkiem nowy dzień” w idealnej równowadze łączy w sobie elementy komedii i dramatu, a w trakcie seansu nie brakuje zarówno momentów, gdy widownia wybucha śmiechem, jak i chwil głośnego pociągania nosem…

Od chwili zakończenia „Sagi nieskończoności” Marvel Cinematic Universe zgubiło gdzieś dawny wigor i przez następne lata bezskutecznie poszukiwało nowego pomysłu na siebie. Czwarta część przygód Spider-Mana przełamuje to fatum, dostajemy bowiem film będący godnym następcą dawnych arcydzieł kina rozrywkowego z MCU.

„Całkiem nowy dzień” oddaje istotę komiksowych losów Pajączka. Tym, co już od lat 60. przyciąga czytelników do tej postaci, jest dźwigany przez nią ciężar dwoistej egzystencji. Jako zamaskowany pogromca złoczyńców Spider-Man radzi sobie doskonale, ale gdy ściąga kostium i staje się zwyczajnym Peterem Parkerem, przemienia się w kupkę nieszczęścia i nieustannie zmaga się z kolejnymi przerastającymi go osobistymi klęskami. W filmie, podobnie jak na kartkach komiksów, służba społeczności tak bardzo pochłania Pająka, że uniemożliwia mu normalną egzystencję, prowadząc do postępującej autodestrukcji skrytego pod maską herosa człowieka – Petera Parkera.

„Spider-Man: Całkiem nowy dzień” jest niczym gwiazda nadziei, wskazująca drogę znużonym wędrowcom. Jeśli tylko włodarze MCU podążą tym szlakiem, to jeszcze czeka nas z nimi podróż pełna przygód. **GP**

Jedyne zastrzeżenie budzi przemilczenie wątku problemów finansowych, z którymi w komiksach nieustannie borykał się żyjący na granicy ubóstwa Peter Parker. W filmie co prawda gnieździ się on w obskurnej klitce, ale tworzy w niej zaawansowane technicznie laboratorium, wypełnione wartym miliony dolarów sprzętem. Ale usunac Skąd z dużej litery bierze na to pieniądze?

FOT. FACEBOOK, YOUTUBE, MAT. PRAS.

BLISKO MATKI

Książka Wincentego Łaszewskiego zatytułowana „Wszystko o ikonie, która może wszystko” próbuje odczytać Czarną Madonnę nie tyle jako pamiątkę przeszłości, ale jako znak na przyszłość. Ta ikona to uchylone niebo.

NA TWARDOWSKIEGO

Po intrygujących premierach, takich jak „Zły. Warszawska jazz opera” czy „Lalka ‘89”, Teatr Rampa w Warszawie w nowym sezonie zaprasza na familijny edumusical „Pan Twardowski. Szkoła Czarów” w reż. M. Walczaka.

WILCZYCH SEKRETÓW

Thriller historyczny z Mazur: jezioro Omulew, bunkry, tajemnica z czasów II wojny i prawda, za którą grozi śmierć. Książka Przemysława Kaweckiego „Wilcze sekrety. Tajemnice jeziora Omulew” na sklep.gazetapolska.pl.

GAZETA POLSKA

Krzysztof
Wołodźko

SMUTEK I NADZIEJA

EKRANIZACJA BRYTYJSKIEGO BESTSELLERU DLA MŁODZIEŻY

ODKRYCIE

Najważniejsze rozgrywa się między ludźmi: wielu film może wydawać się wręcz naiwny, ale moment, w którym zostaje odkryta ponura prawda, bardzo zmienia całą opowieść.

„500 mil" to z pozoru nieco zbyt ckliwa familijna opowieść o dwóch chłopcach próbujących uratować małżeństwo rodziców. Za podróżą do Irlandii kryje się jednak wielka osobista i rodzinna tragedia, najmroczniejsze rozstanie i krzywda, której nie da się łatwo wybaczyć. Wielu widzów chętnie obejrzy ten film ze względu na rolę Maisie Williams (Arya Stark w „Grze o tron") i Dextera Sola Ansella, czyli młodego Aegona „Jajo" Targaryena w „Rycerzu siedmiu królestw".

„500 mil" (reż. Morgan Matthews) jest swobodną adaptacją powieści „Charlie and Me: 421 Miles From Home" brytyjskiego pisarza Marka Lowery'ego, autora popularnego na Wyspach cyklu young adoult „Socks Are Not Enough". Lowery nie jest jeszcze tłumaczony na polski, choć niewykluczone, że wkrótce może się to zmienić. Od 4 września rodzima widownia będzie miała szanse zobaczyć film w kinach. Obraz ma spore szanse na sukces – to pełne emocji kino, które porusza najważniejsze życiowe sprawy i nierzadko pozwala starszym i młodszym nastolatkom zmierzyć się z najsmutniejszymi wyzwaniami.

Od pierwszych minut filmu widz zastanawia się, co przyczyniło się do rozpadu kochającej się, wielopokoleniowej brytyjsko-irlandzkiej rodziny. Dziadek, artystyczna dusza, opiekuje się swoją żoną cierpiącą na alzheimera. Rodzice wiodą zwykłe, niezbyt zasobne życie: łączy ich miłość do synów (Clare Dunne, Michael Socha), ale małżeństwo przeżywa kryzys. A chłopcy? Starszy, Finn (Roman Griffin Davis), na oko 13-letni, to spokojny, normalny dzieciak. Młodszy, Charlie, (wspomniany już Dexter Sol Ansell) to prawdziwy rozrabiaka, niespokojny duch, który urodził się jako wcześniak i choroby na trwałe naznaczyły jego życie. Gdy nad rodziną pojawiają się ciemne chmury, Finn postanawia zabrać brata do Irlandii, do dawno niewidzianego dziadka, z którym rodzice zerwali nagle kontakty.

Angielsko-irlandzka opowieść uroczo gra wyspiarskimi animozjami i obyczajami, wiele w niej zachwytu nad sielską, bliską naturze Irlandią, przeciwstawioną „miastowej" Anglii. Najważniejsze jednak rozgrywa się między ludźmi: wielu film może wydawać się wręcz naiwny, ale moment, w którym zostaje odkryta ponura prawda, bardzo zmienia całą opowieść. Z nieco naiwnego kina familijnego, połączonego z filmem drogi, „500 mil" przemienia się w obraz najtragiczniejszych zrządzeń losu i kruchości międzyludzkich więzi. To równocześnie historia o miłości i próbach przebaczenia, które potrzebują odpowiedniego czasu i miejsca.

Angielsko-irlandzka opowieść uroczo gra wyspiarskimi animozjami i obyczajami, wiele w niej zachwytu nad sielską, bliską naturze Irlandią, przeciwstawioną „miastowej" Anglii.

Nie chcę zdradzać fabuły, ale spodziewam się, że niektóre filmowe wątki wydadzą się kontrowersyjne polskiemu widzowi, szczególnie dotyczące prawa i obyczajów w Irlandii. Nie wykluczam, że film wywoła w Polsce dyskusję o religijnych i świeckich formach czczenia pamięci najbliższych – czeka nas ona prędzej czy później. „500 mil" nie jest może filmem wybitnym, ale jest dziełem poważnym, dobrze wpisującym się w nurt ambitniejszego young adoult. Choć również starsi nie pozostaną obojętni na smutek i nadzieję tej opowieści. **GP**

FOT. MAT. PRAS.

GAZETA POLSKA

POWSTANIE WARSZAWSKIE jak ciemna strona księżyca

Sylwia **Krasnodębska**
SZEF DZIAŁU KULTURA

Przeżycie, które było widać w całym kosmosie. „Było niegoręco" Aleksandry Bielewicz to spektakl, w którym szukano wspólnego mianownika dla Powstania Warszawskiego i misji Artemis II okrążającej Księżyc. I była to próba udana, co jak na historię teatralnych premier w Muzeum Powstania Warszawskiego wcale nie było takie oczywiste.

PRZEDSTAWIENIE W RAMACH 82. ROCZNICY WYBUCHU POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Życie w strachu, głodzie, piwnicach, pod ostrzałem, w ciemnych kanałach, którymi 2,5 km szło się 10 godzin. Życie z czyhającą śmiercią – dramatyczne losy powstańców są pełną nieludzkich potworności materią do opowiadania. Anna Świrszczyńska 30 lat szukała języka, którym mogłaby pisać o powstaniu, choć przecież była pisarką. Na podstawie jej testów oraz tekstów Mirona Białoszewskiego powstał spektakl Bielewicz. (Swoją drogą Świrszczyńska po wojnie, wraz z innymi pisarzami ze Związku Literatów Polskich w Krakowie, poparła 8 lutego 1953 roku reżim stalinowski. Tym większy skandal, że doszło do tego tuż po fikcyjnym procesie krakowskiej kurii, w którym bezpodstawnie oskarżonych duchownych skazano na karę śmierci).

Pomysł, by powstańczą opowieść przeplatać fragmentami nagrań z misji Artemis II, był ekstrawagancki, ale jednak błyskotliwy. Scena, w której astronauci zbliżają się do swojej ukochanej Ziemi, zestawiona jest z tą, gdy powstańcy wychodzą z kanałów ostatniego dnia powstania. Gdy zaś kosmiczni wysłannicy lecieli za Księżycem, czyli byli po jego ciemnej stronie, nie mieli kontaktu z naszą planetą. Byli w innym, odległym, jakimś niemożliwym świecie. Jak ci, którzy przez 63 dni byli zamknięci w mieście, gdzie z każdą chwilą „było coraz mniej życia".

Aktorzy dźwignęli opowieści o idącej kanałami matce, której wypada z rąk dziesięciomiesięczne dziecko. Nie może się cofnąć, bo idzie w ciasnym rządku ludzi. Nie może poprosić o pomoc, bo Niemcy z góry nasłuchują. Tak samo jak opowieść o kobiecie, która przeprasza trupy, z którymi leży pod kocem. Przeprasza za to, że ona żyje, a oni nie. Wbijało w krzesło Sali pod Liberatorem, gdy jedna z postaci mówi, że „powinni w szkole uczyć, jak strzelać w oczy". Chwytało za serce odegranie dramatycznych słów: „chciałabym, by wszystkie kule trafiały we mnie, by już w nikogo innego nie trafiały".

Pomysł, by powstańczą opowieść przeplatać fragmentami nagrań z misji Artemis II, był ekstrawagancki, ale jednak błyskotliwy.

Twórcy próbują udowodnić, że Powstanie Warszawskie było przeżyciem, które widać było w całym kosmosie, a jego finał – wyczekiwanym świętem i potworną żałobą jednocześnie. Wokalizy Michała Sławeckiego odgrywającego śmierć przeniosły nas w niepojęte rewiry polowania na życie człowieka. Przez półtorej godziny sala Muzeum Powstania Warszawskiego zamieniła się w miasto rządzone przez kostuchę, nad którym palą się chmury. I może było niegoręco? Może to była jednak zima w środku lata? **GP**

FOT. MAT. PRAS.

Stefan
Czerniecki
CZERNIECKI.NET

Młody Szczyt ze Schodami Śmierci

LIMIT
Dziennie na Huayna Picchu może wejść do 400 osób w dwóch grupach po 200 osób. Jedna przed południem, druga po południu. Wszystko ze względów bezpieczeństwa.

W DRODZE DO MIASTA INKÓW

W oddalonym o ponad 100 kilometrów stąd Cusco znacznie częściej mówią o niej Waynapicchu. Jednak im bliżej będziemy słynnego zaginionego miasta Inków, tym częściej będziemy słyszeć o Huayna Picchu.

Waynapicchu" czy „Huayna Picchu" – dla przeciętnego białego turysty różnica będzie trudna do wychwycenia. Wszak w wymowie obie wersje praktycznie niczym się nie różnią. Jednak to, której wersji użyjesz w piśmie, dla miejscowych będzie ważnym komunikatem, skąd jesteś, na co kładziesz akcenty oraz co wiesz o danym miejscu.

Niewielu z przybywających do wioseczki Aguas Calientes – noclegowej bazy wypadowej pod sławne Machu Picchu – zdaje sobie sprawę z tego, co oznacza zbitka słów „Huayna Picchu". Że po quechuańsku to tyle, co „Młody Szczyt". Dopiero gdy ktoś zacznie szukać w etymologii oraz znaczeniu indiańskich słów, pojmie, skąd taka nazwa. Wszak bardziej słynne określenie „Machu Picchu" to w tym samym narzeczu „Stary Szczyt". Czego zatem dotyczy to rozróżnienie? Dlaczego w inkaskim „mieście na szczycie" mamy tak wyraźny – że aż rezonujący na oficjalną nazwę osady – podział na starą i nową górę?

– Musisz się spieszyć, gringo – poważnie wyglądająca pani zza oszklonej kasy budynku Ministerio de Cultura właśnie drukuje mi bilety wstępu do najpopularniejszej atrakcji turystycznej Peru. Dla niej akurat jestem zwykłym turystą, z którym woli rozmawiać po angielsku, niż słuchać, jak kaleczę jej ukochany hiszpański. – Dziennie na Huayna Picchu może wejść do 400 osób. W dwóch grupach po 200 osób każda. Jedna przed południem, druga po.

– Ale dlaczego tylko tyle osób? – dopytuję.

– Bo Schody Śmierci są w opłakanym stanie. Pod większą liczbą turystów mogłaby wydarzyć się katastrofa. No, a poza tym więcej ludzi nie minęłoby się na schodach.

– Przepraszam, czy ja dobrze zrozumiałem? Nazwała je pani „Schodami Śmierci"?

– Jutro sam się przekonasz dlaczego.

Jest kilka minut po 9. Ponad dwie godziny temu zameldowałem się pod bramą parku. Udało się. Dzięki wyjściu w góry przed wschodem słońca zmieściłem się w grupie pierwszych 200 osób oczekujących na wejście do Machu Picchu. Panowie przy wejściu przybijają specjalną pieczątkę umożliwiającą wejście na szczyt Huayna Picchu. To było jednak kilka godzin temu. W tej chwili zaś przekonuję się, co pani w kasie miała na myśli, mówiąc o Schodach Śmierci. Inkaskie kamienne schody są rzeczywiście strome. I dość wąskie. Nie sposób pokonywać ich tak, jak zwykle chodzimy po schodach. Różnica poziomów między kolejnymi stopniami jest tak duża, że trzeba wpierw wdrapać się obiema stopami na każdy schodek. I dopiero potem zaczynać forsować kolejny. Z początku wspinaczka nie wydaje się skomplikowana. Trudności zaczynają się dopiero nieco wyżej. Gdy ciało jest już nieco zmęczone. Gdy nogi wspominają przeszło godzinną wędrówkę z Aguas Calientes pod bramę parku. Gdy swoje zaczynają robić wysokość i przepaścista ekspozycja. Pewnie dlatego na Schody Śmierci nie wpuszcza się dziś dzieci poniżej 12. roku życia.

Wierzchołek Huayna Picchu znajduje się na wysokości 2693 m n.p.m. Na to przynajmniej wskazuje drewniana tabliczka znajdująca się na początku szlaku. Wąska ścieżka prowadzi wpierw przez porośniętą gęstą subtropikalną roślinnością górską skałę Roca Sagrada. Gdzieniegdzie widać jeszcze pozostałości po inkaskich domach. Z czasem stok robi się już tak stromy, że na żadne zabudowania nie ma miejsca. Podobnie na żadne większe drzewa czy rośliny. Rzecz jasna prócz mchów i paproci.

Schody Śmierci, czyli inkaskie kamienne stopnie, są rzeczywiście strome i dość wąskie.

MIĘDZY MŁODYM A STARYM SZCZYTEM

SCHODY ŚMIERCI Kamienne schody na Huayna Picchu charakteryzują bardzo strome i wysokie stopnie. Część turystów pokonuje je, pomagając sobie rękami. Do lęku przestrzeni (obok znajduje się urwisko) przyczynia się tutaj nachylenie: schody prowadzą po pochyłości około 60 stopni (!). Jednak wbrew nazwie na Schodach Śmierci nie odnotowano dotąd żadnego wypadku śmiertelnego.

NAJSTARSZE Niektórzy badacze są zdania, że części miasta, które Bingham nazwał Machu Picchu, liczą nawet 6 tys. lat. Czyniłoby je to wówczas starszymi o tysiąc lat od starożytnego Babilonu.

OSADA-SCHRONISKO Archeolodzy twierdzą, że Machu Picchu nie było, jak sądził sam Bingham, głównym ośrodkiem życia Inków. Według nich miasto było jedynie wiejskim schronieniem dla arystokracji.

WYWÓZ Warto wiedzieć, że ekspedycja Binghama wywiozła z ruin Machu Picchu około 40 tys. artefaktów – m.in. mumie, kości i ceramikę. W 2007 roku, po wieloletnich dyskusjach i zabiegach dyplomatycznych, wiele z tych rzeczy zostało zwróconych przez Yale peruwiańskiemu rządowi.

Górna partia Huayna Picchu to przede wszystkim właśnie one i naga skała, z najsłynniejszym widokiem w Peru. A może i nawet w całej Ameryce Łacińskiej.

To właśnie stąd – ze szczytu, który miejscowym przypominał kształtem indiański nos – inkaskie plemię wypatrywało wroga. Od północy pod stromą ścianą strażnicy widzieli w dole wijącą się niczym wąż rzekę. To ciemnobrunatna Rio Urubamba. Dalej za nią już tylko pradawny las. Od południa drugi szczyt warowny: to góra Machu Picchu. Inkaskie miasto o tej samej nazwie znajdowało się właśnie między tymi dwoma szczytami. Młodsza Góra pilnowała północy. Starsza Góra – południa. I tu rozwiązanie zagadki ze wstępu. To nie są nazwy, które masywom nadali sami mieszkańcy inkaskiej osady. Nazwy szczytom, o czym zresztą mało kto wie, nadał ich amerykański odkrywca Hiram Bingham. Jak nazywali je sami Inkowie, tego niestety nie wiemy.

Był 23 lipca 1911 roku, gdy ekspedycja Hirama Binghama, nikomu nieznanego wykładowcy historii z Uniwersytetu Yale, dotarła w strugach deszczu na farmę miejscowego rolnika Melchora Arteagi. Mężczyzna obiecał, że następnego dnia zaprowadzi odkrywcę do „ciekawych ruin", i słowa dotrzymał.

Poszli sami. Z lokalnym policjantem, który robił za tłumacza. Nikt inny z grupy Binghama nie okazał zainteresowania opowieścią. Po dwóch godzinach wyczerpującej wspinaczki dotarli do niewielkiej chaty zajmowanej przez chłopów, którzy uprawiali tam zboże. To właśnie oni wysłali z Binghamem małego chłopca, aby ten pokazał Amerykaninowi zdumiewające

Czy to właśnie stąd inkaskie plemię wypatrywało wrogów?

Wierzchołek Waynapicchu znajduje się na wysokości 2634 m n.p.m. Na to wskazuje drewniana tabliczka znajdująca się na szlaku.

rzeczy znajdujące się w pobliżu. Pokazał porośnięte mchem i zaroślami ruiny miasta ulokowanego w górskim siodle, usytuowanego między dwoma szczytami. Miasta otoczonego granitowym murem z jedną bramą wejściową. Z labiryntem tysiąca zrujnowanych domów, świątyń, pałaców i klatek schodowych. Właśnie taki widok – już bez tych mchów i zarośli – rozpościera się teraz, gdy docieram do wierzchołka Młodego Szczytu. Jednego z dwóch, który góruje nad rzeką Urubamba. **GP**

FOT. STEFAN CZERNIECKI

Ruszył program ochrony niedźwiedzi w Bieszczadach. Zaczęło się już wydawanie pieniędzy. Jest za co hulać, bo do wydania jest 19 mln zł. Ale to nie wszystko, niedługo ma ruszyć drugi projekt, który za 20 mln zł ma badać duże drapieżniki. Gruby zwierz, to i w grę wchodzą grube pieniądze.

Niedźwiedzi interes

PRZETARGI NA MILIONY ZŁOTYCH

CIEKAWOSTKI O NIEDŹWIEDZIACH

Ludzie kochają misie. Każdy z nas miał taką przytulankę, a także czytał książeczki o niedźwiadkach. W rzeczywistości może być nieco inaczej z tą tolerancją.

PRZED WOJNĄ

W Polsce po II wojnie światowej niedźwiedzie występowały tylko w Tatrach i Bieszczadach, a liczbę osobników szacowano na 10–14. Od tego czasu populacja zaczęła się powoli odradzać. Dziś jest ich kilkadziesiąt razy więcej.

OFICJALNE STATYSTYKI

W Polsce niedźwiedź brunatny występuje głównie w Karpatach: Tatrach, Bieszczadach i Beskidach (populacja rzędu 100–150 osobników według różnych szacunków). Nieoficjalnie mówi się, że liczba niedźwiedzi może być większa.

Jacek Liziniewicz

POLUB NAS /GazetaPolskaPL

FOT. ADOBESTOCK, FACEBOOK

Po rajdzie niedźwiedzia na rynku w Przemyślu o temacie zrobiło się cicho. Nic bardziej mylnego. Cały czas temat żyje w regionie. Teraz jednak najczęściej w kontekście strat, jakie dotykają branżę turystyczną.

W tym roku, po latach wzrostów, region zanotuje mniejszą liczbę przybyszów. Pisał o tym już w stanowisku Bieszczadzki Park Narodowy. „Panika medialna wywołała już duże straty w turystyce, przede wszystkim w tej powszechnej, opartej o przyrodę i unikalny bieszczadzki krajobraz. W zeszłym roku mieliśmy m.in. 230 umów z firmami i osobami z otuliny społecznej na wykonywanie różnych prac, przede wszystkim w turystyce. W weekend 1–3 maja zanotowaliśmy na szlakach obecność 22,9 tys. turystów i mimo krótszego tego okresu w tym roku, i tak widać, iż liczba turystów jest mniejsza. W roku 2025 mieliśmy 34 tys. gości, w 2024 ponad 50 tys.” – czytamy w piśmie BPN.

Odpowiedzialność samorządów

Przypomnijmy, że panika medialna wybuchła po 23 kwietnia 2026 roku, gdy niedźwiedź zabił 58-letnią Edytę w gminie Bukowsko. Od tamtego czasu odbyły się dwa posiedzenia komisji sejmowych, podczas których przypomniano o licznych incydentach z drapieżnikami. Posłowie przyjęli nawet dezyderat, aby to samorządy podejmowały decyzję o ewentualnym odstrzale niedźwiedzia.

Na to nie ma na razie żadnych realnych szans. Tak wynika z pisma, które otrzymał poseł Bartosz Romowicz z Polski 2050. „Niezadowolenie z sytuacji powstałej na kanwie ostatnich wydarzeń w Gminie Bukowsko jest jednak błędnie przeniesione na organy ochrony przyrody, ponieważ to samorządy terytorialne mają ustawowy obowiązek zapewnienia bezpieczeństwa powszechnego (por. art. 7 ust. 1 pkt 14 i 14a ustawy o samorządzie gminnym). Organy samorządu terytorialnego (gminy/miasta) są powołane do świadczenia na rzecz społeczności samorządowej pakietu usług niezbędnych tej społeczności – taka jest bowiem podstawowa idea samorządności. W budżetach samorządów przeznacza się środki na realizację zadań własnych samorządów, a w razie potrzeb finansowo-organizacyjnych można tworzyć związki międzygminne (por. art. 64 ust. 1 ustawy o samorządzie gminnym) do wspólnego realizowania tych zadań. W określonych przypadkach organy samorządu wyższego rzędu, a niekiedy centralne, mogą współdziałać pomocniczo (zasada pomocniczości) i wspierać organy samorządowe w realizacji określonych zadań. Wypada zatem zauważyć, że organy ochrony przyrody, w tym GDOŚ, nie mogą zastąpić organów jednostek samorządu terytorialnego w wykonywaniu ich zadań własnych – godziłoby to w zasadę samorządności”

NA SŁOWACJI POLUJĄ

Słowacja, nasz karpacki sąsiad, to kraj, w którym wznowiono polowania na niedźwiedzia. Na razie dopuszczono odstrzał 350 osobników. W całym 2025 roku zabito 213 zwierząt. W tym roku myśliwi odstrzelili kolejne 28 osobników.

NIE ŚCIGAĆ SIĘ Z MISIEM

Uciekanie przed niedźwiedziem nie ma większego sensu. Nie dość, że te zwierzęta potrafią biegać dużo szybciej niż najszybszy człowiek świata, to jeszcze bez problemu wspinają się na drzewa. Najlepiej spokojnie się oddalić.

CHRONIONY

Niedźwiedzie do XIX wieku występowały w wielu regionach Polski, m.in. w Górach Świętokrzyskich, na Mazurach i w Puszczy Białowieskiej. W Polsce niedźwiedź brunatny jest objęty ścisłą ochroną gatunkową od 1952 roku.

– odpisał posłowi Piotr Otawski, generalny dyrektor ochrony środowiska.

Jest więc tak, że system orzekł. Wszystko ma zostać po staremu.

Miliony na niedźwiedzie

Jak się okazuje, Ministerstwo Klimatu i Środowiska nie ma w planach odstrzału tych zwierząt. Takie decyzje podjęto m.in. na Słowacji. „Resort środowiska opowiada się za stosowaniem rozwiązań prewencyjnych oraz działaniem ukierunkowanym na problemowe okazy zwierząt. Należy podkreślić, że masowy odstrzał nie jest rozwiązaniem systemowym i nie daje gwarancji eliminacji osobników naprawdę konfliktowych. Strategia resortu zakłada ścisłą ochronę niedźwiedzia brunatnego i wilka" – podało ministerstwo w odpowiedzi na interpelację posła Adama Dziedzica.

Okazuje się, że śmiertelny atak niedźwiedzia nie jest zdaniem resortu przesłanką do tego, aby zmieniać cokolwiek w obowiązujących przepisach. „Przy spełnieniu przesłanek zawartych w ustawie z dnia 17 kwietnia 2004 roku o ochronie przyrody mogą być wydawane derogacje umożliwiające odstraszanie, jak również eliminację określonych osobników. Takie zgody były wydawane w przeszłości i obecnie nie dostrzega się przesłanek prowadzących do zmiany takiego stanu rzeczy" – czytamy w odpowiedzi na interpelację.

Za to tragedie ludzkie są okazją do… wydatkowania olbrzymich pieniędzy. RDOŚ w Krośnie rozpoczął projekt „Ochrona niedźwiedzia brunatnego poprzez minimalizowanie sytuacji konfliktowych z jego udziałem na terenie województwa podkarpackiego i małopolskiego". Pomysł ten to duma Ministerstwa Klimatu i Środowiska.

Powołano już zespół ds. odstraszania, który kompletuje sprzęt. Za 466 tys. zł kupiono już dwa pick-upy, aby ludzie mieli czym dojechać w góry. Teraz RDOŚ ogłosił przetarg na utworzenie sadów dla niedźwiedzi. „Celem jest stworzenie rozproszonych sadów ekologicznych (tzw. dzikich sadów), które będą dostarczać wysokokalorycznego pokarmu dla niedźwiedzi brunatnych w okresach krytycznych (przed hibernacją). Pielęgnacja pojedynczych drzew ma na celu poprawę ich warunków wzrostu oraz stymulację ich owocowania. Nasadzenia mają na celu zwiększenie bioróżnorodności i ograniczenie konfliktów na linii człowiek–zwierzę" – czytamy w specyfikacji zamówienia.

W opisach wszystko wyszczególniono. „Należy stosować wyłącznie gatunki rodzime lub tradycyjne odmiany drzew owocowych, odporne na mróz i choroby posiadające stopień kwalifikacji CAC. Drzewa owocowe: jabłoń dzika (płonka), grusza pospolita (ulęgałka, na podkładkach kaukaskich), czereśnia ptasia, a także stare odmiany jabłoni (np. antonówka, kosztela), śliwa (ałycza, potocznie mirabelka, węgierka), proporcjonalnie w ilości około 25 proc. każdego gatunku" – czytamy w zamówieniu.

O MLEKU

Mleko niedźwiedzicy jest nawet trzy razy bardziej kaloryczne niż mleko krowie. Nic dziwnego, bo małe niedźwiadki rodzą się małe i bardzo bezbronne. Z czasem stają się potężnym drapieżnikiem, największym w Polsce.

FANI MIODU

Wiele bajek o niedźwiadkach mówi, że lubią one miód. Opowieści te są z pewnością prawdziwe. Prasłowiańska nazwa „niedźwiedź" dosłownie oznacza „jedzący miód". Jednym ze staropolskich określeń było słowo „bartnik".

REWELACYJNY WĘCH

Niedźwiedź ma jeden z najlepszych organów węchu w świecie zwierząt – jest on lepszy niż u psa. Zwierzę wyczuwa zapachy z wielu kilometrów. Dla równowagi niedźwiedzie mają jednak dość kiepski słuch i wzrok.

Drzewka mają być już większe, bo dwuletnie, i początkowo mają być zabezpieczone metalową siatką. Wykonawca został również zobligowany do podlewania roślin. W sumie ma powstać blisko 16 ha takich sadów.

Trudno określić, jaki będzie tego koszt, bo przetarg nie jest jeszcze rozstrzygnięty, ale kwota może sięgnąć 3 mln zł.

Jak się okazuje, sprawa budzi kontrowersje. Niedźwiedziowe sady mają powstać blisko osad ludzkich. W niektórych przypadkach to nawet 500 metrów. Trudno więc zakładać, że niedźwiedź, który potrafi wyczuć zdobycz z kilku kilometrów, utrzyma się w sadzie, a nie pójdzie dalej, aby narobić szkód w pasiekach lub gospodarstwach.

Nowy monitoring

Jak się okazuje, Polska szykuje się też do kolejnego projektu obejmującego niedźwiedzie pod nazwą „Watching the Hunter (WATAHA) Project – implementation of new research methods in large carnivores monitoring in Poland" („Obserwując łowcę – wdrożenie nowych metod badawczych w monitoringu dużych drapieżników w Polsce").

W tym przypadku gra idzie o jeszcze większe pieniądze. Szacowany całkowity budżet projektu to 4,7 mln euro, a źródłem finansowania jest unijny program Zielona Transformacja. Jak czytamy w cytowanym już piśmie GDOŚ: „Celem projektu jest wzmocnienie monitoringu dużych drapieżników w Polsce, takich jak niedźwiedź, ryś i wilk, zgodnie z unijną strategią ochrony różnorodności biologicznej do 2030 roku oraz rozporządzeniem w sprawie odbudowy zasobów naturalnych. Obecny monitoring w ramach Państwowego Monitoringu Środowiska (PMŚ) nie dostarcza aktualnych danych o populacji ze względu na wysokie koszty i nakład pracy. Projekt wprowadzi innowacyjne i opłacalne metody badawcze, takie jak techniki molekularne, fotopułapki i analiza z wykorzystaniem sztucznej inteligencji (AI), aby poprawić jakość danych, zapewnić wiarygodne oceny stanu ochrony zgodnie z art. 17 dyrektywy siedliskowej UE oraz wspierać skuteczną ochronę i zarządzanie tymi gatunkami konfliktowymi".

Na razie nie wiadomo, kto zarobi na programie. Jak poinformował nas GIOŚ, trwa etap przygotowawczy. „Projekt prowadzony będzie we współpracy z Generalną Dyrekcją Ochrony Środowiska oraz z partnerem norweskim – Rovdata, jednostką Norweskiego Instytutu Badań Przyrodniczych (NINA), realizującą monitoring populacji rysia, rosomaka, niedźwiedzia brunatnego, wilka i orła przedniego w Norwegii. Wykonawcy prac w ramach projektu będą wyłaniani zgodnie z prawem zamówień publicznych" – poinformował „GP" Tomasz Matusiak z GIOŚ.

Polska może nie ma największej populacji niedźwiedzi na świecie, ale wszystko wskazuje na to, że będzie ona nas kosztować rekordowe kwoty. Widocznie nas stać. **GP**

HERBOWE ZWIERZĘ

Niedźwiedzie często pojawiają się w heraldyce. W Polsce niedźwiedzia w herbie mają m.in.: Przemyśl, Chełm, Węgrów i Radzyń Podlaski. Wiele herbów rodowych i miejskich nawiązuje do dawnych królewskich polowań w puszczach.

CHRONIONY ŚCIŚLE

Niedźwiedź brunatny jest w Polsce objęty ochroną od 1952 roku. Oznacza to, że na ten gatunek nie ma polowań od blisko 75 lat. Liczebność gatunku nie rośnie jednak bardzo szybko. Samo zwierzę w zoo potrafi przeżyć 50 lat.

FOT. FACEBOOK, WIKIPEDIA, YOUTUBE

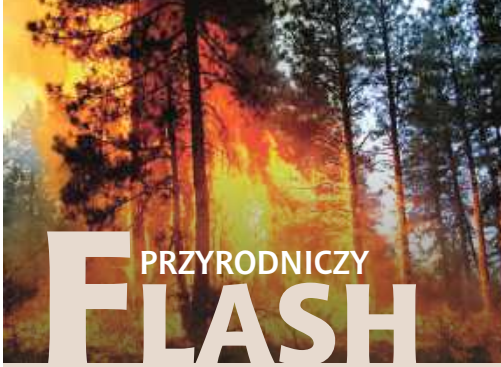

PRZYRODNICZY FLASH

DUŻO POŻARÓW LASÓW

„Do 4 sierpnia 2026 roku odnotowano aż 5425 pożarów lasów. To o ponad 1000 więcej niż w analogicznym okresie ubiegłego roku, a jesteśmy dopiero w połowie sezonu. Co najbardziej niepokoi? Aż 9 na 10 pożarów jest skutkiem działalności człowieka. (...) W lesie: nie używaj otwartego ognia, nie wyrzucaj niedopałków, nie zostawiaj śmieci, zwłaszcza szklanych butelek, nie wjeżdżaj samochodem na trawy i leśną ściółkę – rozgrzane elementy pojazdu mogą zapalić suchą roślinność" – napisało na portalu X Ministerstwo Klimatu i Środowiska. Urzędnicy powielili mit, według którego pożary w lesie powstają od śmieci.

KAPIBARY ROZRABIARY

W siedzibie parlamentu w mieście Cuiaba, w środkowobrazylijskim stanie Mato Grosso, pojawiły się kapibary. Największy gryzoń świata ponoć często wchodzi na recepcję w tym budynku. Wszystko dlatego, że parlament stoi w bliskiej okolicy parku. W zeszłym tygodniu ujawniono jednak nagranie, jak kapibary rozglądają się po budynku. Na razie nie wiadomo jednak, czy oznacza to, że będą tworzyć partię. Sympatię społeczną jednak już zdobyły.

Leszek
Galarowicz

MAMY POTENCJAŁ NA IDEALNĄ REPREZENTACJĘ

Z MARCINEM MOŻDŻONKIEM ROZMAWIA LESZEK GALAROWICZ

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

TRENER
To jest podobnie jak w wojsku: do najlepszych oddziałów dajemy najlepszych dowódców. Sami żołnierze, czyli zawodnicy, nie graliby tak dobrze, gdyby nie Nikola Grbić.

Jak chce się być najlepszym, należy zmagać się z presją, z oczekiwaniami. Trzeba mierzyć się ze wszystkimi trudnościami. Presja w sporcie była, jest i będzie. Powiem więcej, presja jest bardzo pomocna – mówi „Gazecie Polskiej" Marcin Możdżonek, wielokrotny reprezentant Polski w siatkówce, a dziś polityk, ekspert telewizyjny i popularyzator siatkówki wśród dzieci i młodzieży.

Karierę sportową zakończył Pan w 2020 roku, ale z siatkówką Pan się nie rozstał. Jest Pan telewizyjnym ekspertem, popularyzuje Pan siatkówkę wśród dzieci i młodzieży. Ciągnie wilka do lasu...

To jest 20 lat mojego życia, 20 lat wyczynowego uprawiania sportu. To pozostawiło trwały ślad. Siatkówka, sport w ogóle, to moja miłość. Dalej się ruszam, dalej jestem aktywny, staram się promować zdrowy tryb życia, dając przykład przede wszystkim swoim dzieciom. Siatkówkę kocham, bo wiele dzięki niej osiągnąłem, wiele się nauczyłem i wiele jej dałem.

Śledzi Pan na bieżąco poczynania kolegów z reprezentacji? Praktycznie z każdej imprezy w ostatnich latach wracamy z jakimś medalem. Liderujemy w światowym rankingu. Polscy kibice przyzwyczaili się do sukcesów. To dobrze?

Pewnie, że dobrze! Trzeba wysoko stawiać sobie poprzeczkę. Nasi siatkarze zawiesili ją najwyżej, jak to możliwe. I słusznie. Jak chce się być najlepszym, należy zmagać się z presją, z oczekiwaniami, trzeba mierzyć się ze wszystkimi trudnościami. Presja w sporcie była, jest i będzie. Powiem więcej, presja jest bardzo pomocna. Jeśli umie się panować nad stresem, oczekiwaniami kibiców, rodziny, dziennikarzy, kolegów z drużyny, prezesów czy działaczy, to ta presja jest czynnikiem motywującym, który daje dodatkową energię.

Czego o tej reprezentacji dowiedzieliśmy się po tegorocznym cyklu Ligi Narodów? Coś Pana zaskoczyło?

Powiem nieskromnie, że spodziewałem się bardzo dobrego wyniku, finału i wygranej. Od początku wiedziałem, jaki mamy potencjał. Widziałem, jakimi składami inne zespoły ruszyły do rozgrywek Ligi Narodów, i nie miałem wątpliwości, że mamy najmocniejszą ekipę. Trzeba to tylko pokazać na parkiecie.

Początek turnieju, głównie ze względu na eksperymenty w składzie, nie był idealny. Biało-Czerwoni powoli się rozkręcali, ale kiedy się rozkręcili, trudno było ich zatrzymać…

Zgadza się. Mamy tak mocną reprezentację na tle innych drużyn, że my nie mogliśmy patrzeć na eksperymenty. One są oczywiście ważne, trener je robi, próbuje różnych wariantów, ustawień taktycznych. Aczkolwiek my jesteśmy reprezentacją na takim poziomie, że bez względu na eksperymenty trenera my i tak musimy grać o wynik. Nie ma znaczenia, jakim gramy składem, jaka jest taktyka…

Widziałem, jakimi składami inne zespoły ruszyły do rozgrywek Ligi Narodów, i nie miałem wątpliwości, że mamy najmocniejszą ekipę.

Zgadza się Pan z opinią, która często pojawia się w mediach, że kadra Nikoli Grbicia jest kompletna w tym sensie, że może on wystawić dwie równorzędne szóstki, a poziom sportowy w żaden sposób na tym nie ucierpi?

Jest w tym dużo racji, ale w najważniejszych meczach, w których gramy o najwyższe cele, nie jesteśmy w stanie wystawić losowo wybranych zawodników, żeby zagrali taki mecz, bo wtedy istotne są doświadczenie i indywidualna odporność psychiczna. Ważne jest to coś, co mają najlepsi gracze na świecie, którzy nie boją się grać o najwyższą stawkę. Takimi zawodnikami w naszej reprezentacji są Wilfredo Leon, Kamil Semeniuk, Tomasz Fornal... Proszę zwrócić uwagę, że w meczu finałowym trener musiał dokonać ciekawej roszady i za Bartosza Bołądzia, który w Lidze Narodów grał świetnie, ale w finale zagrał słabiej, wystawił nominalnego przyjmującego Wilfreda Leona.

Naszą specjalnością stała się Liga Narodów. Trzy zwycięstwa w czterech ostatnich sezonach. Polacy mają patent na zwyciężanie w tych rozgrywkach. Jaki jest klucz do sukcesu?

My po prostu jesteśmy na bardzo wysokim poziomie sportowym, mamy zastępowalność pokoleń, szeroką ławkę rezerwowych, zwyciężamy. Przyzwyczailiśmy się do tego, że chcemy więcej i więcej. Historia zna takie przypadki. Jeszcze kilkanaście lat temu to Brazylia tak dominowała na świecie.

Jaka jest w tym rola trenera Nikoli Grbicia? Przed serbskim trenerem Polska zdobywała sukcesy w MŚ czy ME, czy innych turniejach, ale dopiero kiedy przyszedł Serb, sukcesy stały się powtarzalne…

Z mojej perspektywy to wygląda tak: Raul Lozano dał nam pozytywny impuls i wprowadził nas na ssssnajwyższy poziom. Stopniowo pięliśmy się do góry, aż w końcu weszliśmy na sam szczyt. I Nikola Grbić przejął drużynę, kiedy ona ma potencjał na najlepszą drużynę świata. To nie jest tak, że chcę umniejszyć zasługi serbskiego szkoleniowca. Wręcz przeciwnie, dzięki temu, że został on trenerem naszej reprezentacji, dodał to coś, co pozwala „wycisnąć" z drużyny jeszcze więcej. I dzięki temu, że jest Nikola Grbić w naszej drużynie, osiągamy takie sukcesy. To jest podobnie jak w wojsku: do najlepszych oddziałów dajemy najlepszych dowódców. Sami żołnierze, czyli zawodnicy, nie graliby tak dobrze, gdyby nie Nikola Grbić.

Pan jako były środkowy pewnie z ciekawością przygląda się temu, co się dzieje na tej pozycji w dzisiejszej kadrze. Jakie są Pana obserwacje, przemyślenia na temat potencjału kadry na tej pozycji?

Jestem pod wrażeniem tego, jak duża konkurencja panuje na tej pozycji. W tej edycji nie grali przecież wicemistrzowie olimpijscy: Kochanowski, Bieniek, Huber, a świetnie zastępują ich Jakubiszak i Lemański. Zatrzymam się na chwilę przy tym drugim. Bartka znam, grałem z nim w Rzeszowie. On na początku swojej kariery nieco się pogubił. Nie mógł się odnaleźć, nie radził sobie z presją… Zaliczył też falstart w reprezentacji, grał poniżej swojego potencjału i swoich możliwości, ale zaczął ciężko pracować, trafił do klubu z Bełchatowa, skupił się bardziej na siatkówce niż wszystkim dookoła i wyrósł na dojrzałego zawodnika. Proszę zwrócić uwagę, że on ma około 30 lat, a to dopiero pierwszy jego sukces w reprezentacji. Jestem bardzo podbudowany tą postawą Bartka, miałem przyjemność z nim grać i wspólnie trenować, jako starszy służyć radą, a teraz wielką przyjemnością jest go oglądać.

Ważne jest to coś, co mają najlepsi gracze na świecie, którzy nie boją się grać o najwyższą stawkę. Takimi zawodnikami w naszej reprezentacji są Wilfredo Leon, Kamil Semeniuk, Tomasz Fornal.

Czasem w mediach pojawiają się głosy, że nasza kadra nie ma słabych punktów.

Zawsze można coś poprawić. Przeciwnik też nie śpi. Możemy cały czas ulepszać grę, pracować nad każdym elementem siatkarskiego rzemiosła: lepiej dogrywać proste piłki, lepiej wystawiać sytuacyjnie, zagrywać z większą regularnością... To są takie małe rzeczy, których kibic nie dostrzega, ale one mają szalenie ważny wpływ na przebieg spotkania. Jest nad czym pracować. My mamy potencjał na idealną reprezentację, ale to jest potencjał. Czy go wykorzystamy, czy nie, to już zależy od zawodników. Wierzę, że wykorzystamy. Zresztą ważna rzecz, jeżeli mamy jakieś niedoskonałości, a mamy, jak każda reprezentacja na świecie, ważne jest to, aby umieć je zamaskować. Jeżeli jakiś zawodnik jest gorszy w jakimś elemencie, to po to ma kolegów w drużynie, aby mu pomogli.

Jak Pana zdaniem rysuje się przyszłość polskiej kadry narodowej? Jest Pan dużym optymistą czy są jakieś powody do niepokoju?

Nie dostrzegam powodów do niepokoju poza bieżącymi sprawami, które dotyczą wszystkich reprezentacji. Nie spodziewam się, aby w naszej kadrze wydarzyło się cokolwiek złego. Oczywiście zagadką będą igrzyska olimpijskie – najważniejsza impreza dla siatkówki. Jestem bardzo ciekaw, jak poradzimy sobie w Los Angeles. **GP**

Iwona **Balcerak**
TEKST I ZDJĘCIA

Czereśnie
– słodki rubinowy skarb lata

To jedne z najbardziej wyczekiwanych owoców lata – słodkie, soczyste i pełne słońca. Choć kojarzą się przede wszystkim z letnią orzeźwiającą przekąską, kryją w sobie bogatą historię, cenne właściwości zdrowotne i kulinarne możliwości, które warto odkryć.

DESER Z **CZEREŚNIAMI**

- 500 g dojrzałych czereśni
- 3 duże jajka
- 100 g cukru
- 1 łyżeczka ekstraktu waniliowego lub 1 opakowanie cukru wanilinowego
- 100 g mąki pszennej
- 250 ml mleka
- 125 ml śmietanki 30%
- szczypta soli
- 30 g roztopionego masła + odrobina do wysmarowania formy
- cukier puder do posypania

Rozgrzej piekarnik do 180°C (góra–dół), a formę do pieczenia wysmaruj masłem. Resztę masła rozpuść i ostudź. Umyj czereśnie, usuń ogonki i pestki. Rozłóż owoce równomiernie na dnie formy. W misce ubij jajka z cukrem na jasną, puszystą masę, po czym dodaj ekstrakt waniliowy i sól. Wsyp mąkę pszenną, wymieszaj do gładkości, a następnie stopniowo wlewaj mleko oraz śmietankę, cały czas mieszając. Na koniec połącz całość z roztopionym, lekko przestudzonym masłem. Wylej ciasto na owoce i piecz, aż wierzch się zarumieni, a środek stanie się sprężysty. Po upieczeniu odczekaj chwilę, oprósz deser cukrem pudrem i podawaj na ciepło lub w temperaturze pokojowej (forma 24–26 cm). **GP**

CZAS	**15 MIN + 40 MIN PIECZENIE**
KOSZT	**20 ZŁ**
LICZBA PORCJI	**8**
STOPIEŃ TRUDNOŚCI	**ŁATWE**

CZY WIESZ, ŻE...

Czereśnie pochodzą z Bliskiego Wschodu i Azji Mniejszej. W I w. p.n.e. rzymski wódz Lukullus sprowadził je z miasta Cerasus (stąd słowa „cherry" czy „cerise"). W Polsce dawniej zwano je m.in. trześnią, krzesznią i strześnią.

Czereśnie i wiśnie należą do tego samego rodzaju (Prunus), ale mają inne zastosowanie w kuchni.

Są skarbnicą składników odżywczych. Zawarte w nich antocyjany wykazują silne działanie przeciwutleniające, dzięki czemu pomagają chronić komórki przed stresem oksydacyjnym i wspierają zdrowie układu krążenia. Owoce te zawierają także naturalną melatoninę i mogą wspierać zdrowy sen.

Kupując czereśnie, wybieraj te o gładkiej, błyszczącej skórce oraz elastycznych, intensywnie zielonych ogonkach. Matowa skórka i brązowe szypułki świadczą o tym, że owoce nie są już pierwszej świeżości.

Czereśnie zachwycają również w daniach wytrawnych. Przesmażone na maśle z czerwonym winem, rozmarynem i octem balsamicznym, tworzą doskonały sos do kaczki, polędwiczek, dziczyzny czy steków.

ZAPRASZAMY NA
www.prenumerata.swsmedia.pl

Listy

Apel do Warszawy

Warszawiacy, mieszkańcy stolicy, głosujcie, żeby pozbyć się tych szkodników, którzy rządzą miastem. Pilnujcie następnych, żeby godnie reprezentowali i zarządzali stolicą! Zachodniopomorskie Was pozdrawia!

Sebastian N.

Gwóźdź do trumny rolnika

W mediach zapowiadają krach polskiego rolnictwa. Ale to już mamy, bo zboże po 500 zł z banderlandii przed żniwami zapełniło wszystkie magazyny. Jeśli teraz KE zniesie całkowicie embargo na zboże z Ukrainy, to będzie tylko ostatni gwóźdź do trumny dla rolnika.

Sławomir Ż.

Dziś i kiedyś

Słyszę, że nasz system ostrzegania nie działa. Chciałam przypomnieć, że o wybuchu II wojny światowej Polacy dowiedzieli się głównie za pośrednictwem Polskiego Radia. Historyczny komunikat zaczynający się od słów: „A więc wojna!", wyemitowano 1 września 1939 roku, chwilę po rozpoczęciu niemieckiego ataku. W całym kraju zadziałały również syreny alarmowe, a w wielu miastach informacje przekazywali sobie sami mieszkańcy i lokalne władze. W poszczególnych kanałach informacja wyglądała następująco: Polskie Radio: słynny komunikat odczytany przez spikera Józefa Małgorzewskiego przerwał poranną audycję, informując społeczeństwo o bombardowaniach i wzywając do zachowania spokoju oraz gotowości. Prasa codzienna: dodatki specjalne do gazet zaczęły trafiać na ulice miast w ciągu dnia, potwierdzając agresję III Rzeszy na Polskę. Kościoły: w wielu parafiach dźwięk dzwonów zwoływał wiernych na msze święte, a księża ogłaszali tragiczne wiadomości z ambon.

Jagoda J.

Patrz, kto cię krytykuje

Gdyby ta pseudoelita chwaliła teraz Karola Nawrockiego, tak jak jego fani, to po co nam taki prezydent? Gdyby go wysławiała ubecja, to na pewno byśmy takiego nie wybrali. To, że oni go krytykują, to tylko bardzo dobrze o nim świadczy.

Adam W.

Adres redakcji:
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Tel. (+48 22) 290-29-58
redakcja@gazetapolska.pl

DO KOŃCA ISTNIENIA POLSKI

Wszystko, co osłabia PiS, jest w interesie Juska. I dlatego Jusk będzie rządził „do końca świata i jeden…", a raczej do końca Polski.

Marek O.

redaktor naczelny Tomasz Sakiewicz, zastępcy redaktora naczelnego Katarzyna Gójska i Piotr Lisiewicz, sekretarz redakcji Martyna Hajdo-Trolińska (kier.), Małgorzata Wiankowska

kraj Piotr Lisiewicz (kier.), Piotr Nisztor, Hubert Kowalski, Grzegorz Wierzchołowski, Grzegorz Broński, świat Maciej Kożuszek (kier.), kultura Sylwia Krasnodębska (kier.), gospodarka Maciej Pawlak (kier.) historia Tomasz Łysiak (kier.), publicystyka Piotr Grochmalski, Joanna Lichocka, Grzegorz Wszołek, Ewa Wójcik (kluby), Konrad Wysocki (Obronność), Jacek Liziniewicz (Środowisko), Stefan Czerniecki (Podróże), Jan Przemyłski (Technika), Iwona Balcerak (Kulinaria), stali felietoniści Krzysztof Karnkowski, Tadeusz P. Płużański, Michał Rachoń, Marcin Wolski, Józef Wieczorek, Dawid Wildstein

projekt layoutu i logotypu Mariusz Troliński

nadzór Mariusz Troliński, Krzysztof Lach-Kubica
DTP Paweł Chrzanowski, Aleksander Razcwarkow, Paweł Pawluszek, Grzegorz Lipka

sekretariat redaktora naczelnego Anna Kazimierczuk
Druk: P/mint, Wyszków

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie zwraca niezamówionych materiałów.

Kontakt z czytelnikami, interwencje w godz. 9–13:
Anna Kazimierczuk, tel. 603 117 483;
tel. 22 290 29 58 (wew. 1);
e-mail: kontakt@gazetapolska.pl
WYDAWCA
Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.
Kontakt z działem reklamy:
e-mail reklama@gazetapolska.pl,
tel. (+48) 603 117 134
Kontakt z działem promocji:
e-mail promocja@gazetapolska.pl

GAZETA POLSKA
www.gazetapolska.pl

WESPRZYJ DZIENNIKARZY
mediów Strefy Wolnego Słowa
Fundacja Niezależne Media · Gazeta Polska · Gazeta Polska Codziennie · niezalezna.pl · Nowe Państwo · R
Zachęcamy wszystkich do wpłaty na FUNDACJĘ NIEZALEŻNE MEDIA
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Nr konta: 62 1240 1053 1111 0010 5517 7864
TYTUŁEM – DAROWIZNA NA RZECZ FUNDACJI NIEZALEŻNE MEDIA
www.fundacjaniezaleznemedia.pl

FOT. WIKIPEDIA

Quiz

GAZETA POLSKA

1. Brytyjski dyplomata Edgar Vincent D'Abernon uznał Bitwę Warszawską za jedną z przełomowych batalii w dziejach świata, która uratowała naszą cywilizację. Który numer jej nadał?

2. Które europejskie państwo podjęło decyzję o udzieleniu pomocy Polsce, przekazując nieodpłatnie i dostarczając w lipcu 1920 roku na własny koszt zaopatrzenie wojskowe?

3. Jak się nazywał znany Francuz, który w lipcu i sierpniu 1920 roku walczył w szeregach polskiej dywizji i został awansowany do stopnia majora?

4. Kiedy wydano rozkaz do Bitwy Warszawskiej i dlaczego to szczególna data?

5. Jednym z decydujących momentów w Bitwie Warszawskiej było zniszczenie przez Polaków rosyjskiej radiostacji. W jakim to było mieście?

6. Jakie zasługi dla przebiegu Bitwy Warszawskiej miał porucznik Jan Kowalewski?

ODPOWIEDZI:
1. 18.; 2. WĘGRY; 3. CHARLES DE GAULLE; 4. 6 SIERPNIA 1920 ROKU – DATA BYŁA NAWIĄZANIEM DO DNIA WYMARSZU STRZELCÓW W KRAKOWIE W 1914 ROKU; 5. CIECHANÓW; 6. ZŁAMAŁ SZYFRY ARMII SOWIECKIEJ

PRENUMERATA
Ceny prenumeraty papierowej „Gazety Polskiej":
rok – 460 zł, pół roku – 244 zł;
kwartał – 129 zł; miesiąc – 45 zł.
Kontakt: prenumerata@swsmedia.pl
www.prenumerata.swsmedia.pl
Tel.: **605 900 002, 22 336 79 06**
Konto do wpłat: Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.
konto: Bank PEKAO SA
Nr konta:
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelewy z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW IBAN: PL)
Zamówienia książek na:
sklep.gazetapolska.pl
lub tel.: (22) 232 37 70
Nr konta:
61 1240 6003 1111 0010 7516 5807

ZAPRASZAMY NA
www.prenumerata.swsmedia.pl

MIESIĘCZNIK „NOWE PAŃSTWO”

DOSTĘPNE WYŁĄCZNIE W PRENUMERACIE!

Zamów na www.prenumerata.swsmedia.pl
i zyskaj dostęp do treści, które mają znaczenie!

Prenumerata roczna ELEKTRONICZNA **99 PLN**

Prenumerata roczna PAPIEROWA **155 PLN**

Więcej informacji

NAPISZ / prenumerata@swsmedia.pl ZADZWOŃ / 605 900 002 SPRAWDŹ / www.panstwo.net
WEJDŹ / prenumerata.swsmedia.pl DANE DO PRZELEWU / **PL 82 1240 5963 1111 0010 3867 3017**
ADRES / Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o. o., ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

REPUBLIKA

Najważniejsi w Polsce goście. Kluczowe tematy. Odważne pytania. Mocne opinie. Istotne analizy. Rozmowy, które wyznaczają kierunek. **Tomasz Sakiewicz** zaprasza na program dla widzów, którzy chcą znać prawdę.

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę można oglądać w jakości HD na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA